

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Wacław BERENT
OZIMINA

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

CZEŚĆ PIERWSZA

Lodowy połysk czarnej tafla fortepianu i mocne lśnienie posadzki rzucały mu na salę jakby pył powietrzny i ogromne zmalowanie barw w głębi. W tym dla oka oddaleniu tonowała się jaskrawa różnaitość kobiecych strojów w kilka plam zamglonych pod czarnym wirem mężczyzn. Tylko na krześle najbliższym odsadą barw mocnych – widniała jakaś bluzka o wodnej zieleni, twarz otwarta, jasna i włos ciemny, rozjaśniany w ciepłe połyski, zda się, kontrastem do tej hebanowej czerni fortepianu, sponad której padały oczy jego.

Stał jak wyczekujący rybak tej czarnej łodzi, przerzucając białe karty nut rozłożonych na hebanie.

A dziewczyna przyglądała mu się przez zmrużone rzęsy pozornie nigdzie nie patrzących oczu. Obserwowała go z przedziwnie długim spokojem, zamknawszy złożonymi na kolanach dłońmi dwa doskonałe półkola toczonych ramion, obciśniętych wysoko w białą skórę rękawiczek. Czoło spokojne, prawie kamienne, z odgarniętym zuchowato ciemnym włosem, oczy zmrużone, a żywe jak u węża, rzucały aż na skroń wibrującą zmarszczkę uwagi. Rozmigotanie ciekawości, pytań i półuśmiechów przepływało, zda się, spod oczu przez pełne jak jabłka policzki ku ustom i wracało falą pod zmrużoną powiekę; zaciśnięte wargi rzucały od kątów w stronę uszu drgające rysy swawoli czy czegoś gorszego. Zastawiał się za ten wyraz głupkowaty podbródek o migdałowym owalu i miękkości dziecięcej. Siedziała nieruchoma jak posąg, półkręgami ramion obejmując wydatną pierś; pazury krótkich łapek, rzekłbyś, miękko złożone, tkwiły w rękawiczkach – pod to przymrużone, wężowe zapatrzenie skośnych oczu.

Gdy po niejakiem czasie wyszedł do dalszych pokojów, w małym przejściu za salonem spotkał się oko w oko z tym uśmiechem na wibrujących policzkach. Dłoń spokojnie złożona w dłoni zamykała toczony półkręgi ramion nieruchomych.

„Cóż to znów znaczy? – myślał. – Obcej kobiety uśmiech dobrze mi znany zastępuje mi drogę jak w wizji.”

„Pan mnie nie poznaje?” – pytały oczy zmrużone.

„Nie. Ponieważ rzecz dzieć się powinna w ponurym wąwozie.”

Roześmiała się niemo: białym błyskiem zębów oraz niewolnym podrzuceniem piersi wydatnej, a cała postać rozbłysła życiem w tym uśmiechu. W bliskości tej kobiety uderzył w niego wiew świeżyzny jak od owoców, a zarazem skwaru, w którym one dojrzewają; jakaś tryumfująca wegetatywność bujnego życia, leniwa do słowa, ciężka do głosu i gestu – jak w letnie południe.

Urażona czy też zbyt opieszła, aby się przypominać w rozmowie, zwróciła się ku drzwiom sąsiedniego pokoju; na znak, że wyszła tu jedynie dla poprawienia uczesania, wyjęła szpilkę rogową i wbijała ją po drodze niedbale w włosy, jak widły w snop.

„Amalteo!” – zaczął już było, gdy ten gest ostatni tajemniczym kojarzeniem drobiazgów naprowadził go na dawne wspomnienie. „Czyżby ta mała ze wsi? Czyżby ona?”

– Panna Nina? – zgadywał tedy, zapatrzonej w sowy jędrność i pełnię kształtów, które, rychło patrzeć, staną się przelewne.

– Ja!

Krwiste wargi rozchyliły się w uśmiechu długą szczeliną, jak pękający owoc granatu, a słowo z nich wyluskało się ciężkie, soczyste, jak purpurowe tego granatu ziarno; zakwitły policzki.

Roześmiał się. „To dumne samopoczucie tego «ja»! Ta smakowita błogość tego słowa, jak u Murzyna. Wierzę, tu można być zwięzłą w słowie; wszystko inne jest zresztą zbyt wymowne.”

– Już?! – krzyknął. – Już „ja”? Ależ to poszło w tempie tropikalnym! Kiedyż przeniesiono do miejskich cieplarni?

– Pan utył.

Ta lapidarność powitalnej konstatacji obcięła mu od razu słowa i myśli wszelkie. Czuł się tak samo oglądany i ważony nieomal, jak sam to czynił; bodajże z jednym wynikiem. Jego ostatnie pytanie i jej konstatacja zbiegały się na jednym motywie. Myśl ruchliwa utkwiała mu nagle na wzajemnych uśmiechach.

„Doświadczam lakonicznego szczęścia młodego padyszacha – pomyślał, splatając dłonie na dołku. – Odzyskawszy kontenans, pozostawałoby już chyba tylko sięść na tym miękkim jak puch dywanie, wesprzeć głowę o taboret z poduszek, jeść sorbet i całować się słodkimi wargi.”

„Cóż za ubikacja przedziwnie leniwego nabożeństwa! – mówił do siebie, rozglądając się po tym spiętrzeniu dywanowych poduszek, taboretów, otoman, foteli, portier, kotar, kobierców i wezgłowi. – Cóż za wykwint kaukaski! Jakaż profuzja tapicerskiego geniuszu i perskiego natchnienia!”

Poczęła wyluskiwać z rękawiczek pięści małe i twarde jak orzechy, ogromnie żywe tym ogorzeniem i połyskami jak na miedzi. Ręce, w sobie krzepkie, zdały się jeszcze jędrniejsze spod rękawiczek.

– Pani musi być silna?

W odpowiedzi wystawiła mu na zgiętych łokciach swe szpony. Zanurzył palce w ich ciepło żywe i pozwolił sobie oczywiście przegiąć dłonie. Lecz w tejże chwili pożałował tego. „Na tę głupią stawkę gotówem na samym wstępie przegrać wszystko.”

– Jaki pan słaby! – rzekła, odymając wargi. Podeszła wreszcie do lustra, by poprawić włosy.

– Któż to jest ta panna Ola? – pytała wzgardliwie. – Och, jak ja jej nie cierpię.

– Za co?!

– Ona pewnie jest taka sztuczna, a wy ją wszyscy może tak adorujecie: artystka!

Odpowiedź rozprysła mu się w śmiechu.

– „Pewnie” i „może” – powtórzył.

– A ja wiem o tym panu Tańskim. A co!

– Już?

– O, kobiety wszystko o sobie wiedzą! Ja mu się tam dobrze przypatrzyłam.

– Wcześniej! – mruknął. – Ile też panna Nina ma lat? Pokazała mu czubek języka w lustrze.

– No, a pani domu – drażnił dalej – pani Lena? Ta jest naprawdę piękna.

Panna Nina stała się uważającą; źrenice pod zmrużonymi powiekami spłynęły na boki: „Och, te palce pod pięściami!” – zauważył mimochodem.

– Panie, co to było z nią i z tym poetą? – zadygotała cała z naglej ciekawości.

– Z Woydą? Nie wiadomo. Dwa lata temu na takim jak dziś zebraniu przyszedł tu oto, do tego pokoju, chodził długo po tym miękkim jak śnieg dywanie i dziwił się pewno, czemu śnieg jest tak purpurowoczerwony, jakby krwią nasiąkły. Nalał sobie wody – ot, z tego dzbanka, który trzyma ta wielka kukła Murzyna – nalał wody, połknął coś wyjętego z kieszeni od kamizelki, popił i siadł tu... w tym oto kącie... Tak usiadł.

– Niech pan przestanie! – krzyknęła nagle i przysłoniła oburącz oczy. – Fe, i ten dywan! – kaprysiła pod grą wyobraźni, podgarniając czym prędzej suknię. A gdy uległ temu wezwaniu i zaniechał opowiadania:

– No i co było dalej?

– Tu usiadł. A tam na sali grano właśnie kwartet jakiś jemu na rozmarzenie, więc mu się głowa tak oto w tył pochyliła w zasluchaniu, otwierały się oczy. Tak. A z salonu wymknęła się tymczasem piękna pani i przysiadła się do niego marząca.

Tym razem wstrząsnęła się całym ciałem i poczęła przysłaniać sobie na przemian oczy i uszy. Im dłużej myślała, tym większego impetu nabierała wyobraźnia. – Nie! nie! – krzyczała coraz gwałtowniej. – Niech pan nie mówi! – A do zadyszanej piersi przyciskając obie dłonie, pytała wnet tłumionym szeptem przerażenia:

– I co było dalej?

Ale on kończył już niechętnie:

– Piękna pani poczuła rychło, przy kim siadła. I pierwszym jej uczuciem był pewno wstręt, drugim strach, trzecim groza, że z człowiekiem, z nami, tak łatwo stać się to może. I wtedy zapewnię zemdlą. Po ocuceniu się, oczywiście, rozpaczała. Gdy zaś w samotności o rozpaczaniu zapomnieć musiała, wtedy zjawił się może nawet i żal. Dziś, gdy samej siebie zapyta, czy go aby jeszcze pamięta, odpowiada sobie bez wątpienia: „O, tak.” Ale pani, panno Nino, wcale już mnie nie słucha?

Ocknęła się z zadumy podrzutem ciemnej grzywy zuchowato odgarniętej z czoła. I wtedy dopiero ujrzał te skośne oczy po raz pierwszy otwarte: ich źrenice małe jak grochy; złotoczarne, złe, niespokojne oczy.

– Dla niej?! – krzyknęła. – Dla niej?!... Oo!

I jęła chodzić nagle po pokoju; zrazu ociężale, przelewnie jak gołąb; potem stawał się jej krok miękki na dywanie, szukającym rytmu, nerwowym i czujnym jak u kota.

– Co?! – zatrzymała się nagle, jakby przerażona wibracją swych wyobrażeń czy też jego zapażeniem się badawczym.

– Ni – ic – odpowiadał przeciągle. – Ja nic nie mówiłem.

– I czemu pan tak na mnie patrzy? Nie, ja nie chcę! – kaprysiła, otrząsając z siebie jego spojrzenie. – Czy ja co powiedziałam? A może co złego? Pan tylko ze mnie wyciąga...

– Liszkę. Policzki ma panna Nina jak jabłka.

W nagłym opadzie w nieufność co do siebie powróciła smętnie pod lustro, do kominka. Jakaś chusteczka, tegoż wodnego koloru co i bluzka, znalazła się w dłoni, potem między dłońią a zębami, w upartym widocznie postanowieniu nieobcierania oczu. Czego on od niej chce?

Dopiero kiedy ujął ją za rękę, wlało w nią to ufność do siebie, a wraz z nią i zaczepność.

– Niech mi pan lepiej zapnie rękawiczki – mówiła obrażona, wyciągając ramię w tył, by nie widzieć go na oczy.

Ale jemu splątały się rychło palce; zapiął krzywo, krzywe rozpiął i rozchylił szczelinę rękawiczek aż poza łokieć. A gdy spiżowej zwartości i chłodu ciała dotknęły jego wargi, ramię wydłużyło się niewolnic: mięśnie same przeżyły się pod pocałunkiem.

– Jacy wy wszyscy jesteście nieznośni!

– Już „wszyscy”?! – mruknął smętnie. Lecz w tejże chwili drobna garść schwyciła go za czarny czub włosów nad czołem.

– Zawsze się ze mną drażni – jak wtedy na wsi! Zawsze mnie tylko na słówkach przyłapuje. Niejedno mi wyskoczy, bo ja sobie nic w głowie nie układam. Mnie wszystko samo przychodzi.

– Tam do diabła, wierzę!

W gwałtownym pod uściskiem w tył pochyleniu piersi i szyja dziewczyny zdały się jak z granitu ciosane. A uśmiech jej ust rozedrganych rozplynał się w pocałunku długim i powol-

nym jak ła. Zaś to warg roztkliwienie przelotne przeniosła wibrująca fala na jabłkowe policzki, pod rzęsy długie, w czujną ciekawość wciąż przymrużonych oczu. A gdy głowa szarpała się raz w raz: – Dosyć!... Ludzie! – pulsujące przy ustach rysy pytały ze złośliwym spokojem:

„Co dalej?...”

„Rzeczywiście, ludzie!” – krzyknęło w nim niepokojem. – Ładnie byśmy wyglądali potem! – wyrwało się z ust głośno.

I odskoczył.

Rozbieganymi palcami zapieła w mig rękawiczki na ramionach. Lekkie przyglądzenie włosów przed lustrem, wraz spokojne i kokietyjne, chwyt boczny za suknię i, ku temu chwytowi lekko podana, oddalała się do salonu swym gołębim krokiem wśród suchego turkania sukien. Wargi szeptały coś. Już wpółukryta za portierą zwróciła ku niemu usta i tę ryse przy nich, w profilu tak jawnie złośliwą.

– „Potem?”, „potem?” O tym nie myśli się przedtem.

Parsknął suchym śmiechem jak ryś i poskoczył. Zaplątany w ciężką portierę, targnął ją w pasji i uderzył się z całym rozmachem w czoło.

Drzwi za portierą były już zamknięte.

Przez szczelinę ledwo uchylonych drzwi przemknęła się niebawem osóbka malutka i cicha jak ćma i cieniem zapadła w głęboki fotel najmroczniejszego kąta pokoju. Coś jakby skrzydła tej ćmy zatrzepotało się koło głowy płowej – splotły się dłonie na twarzy i przysłoniły oczy. Kształtem drobnym wsiąkła w fotel, ledwo płaską plamą w krzyż znaczyła się na szerokim kadłubie oparcia i w wysokich jego ramionach jak w skrzydłach nietoperza – jasna główka i przezrocze dłonie jakby poświatą muśnięte. I tak oto wniosła ze sobą oćmę, księżyc, ciszę i to trzepotanie się stworzenia nocnego.

„Oto jest przeciwny biegun – myślał przerywając swą zadumę – oto i artystka! Do gorączkującej główki przykładają sobie kataplazm z swych rąk zimnych zawsze jak lód; swe małe, udręczone ciało, o którym sama nie dowiedziałaby się nigdy, chce nieść w mrok, w zapomnienie – i składa je w nietoperzowe objęcia nocy: w rojenia okrutne.”

Przysłuchiwał się oddechowi dziewczyny – w zrywanym jego tempie trzepotało się serce znużone. Lecz w miarę słuchania i jego piersi stłaczać coś poczęło i przyspieszać puls w rytmy nierówne. Nieznośne uczucie fizycznego jakby niestatkowi wszystkich organów rozlewać mu się poczęło cierpkością po żyłach. „Dziwna rzecz – mówił do siebie – że ja przy niej zawsze czegoś podobnego doświadczać muszę. Jak się te rzeczy potwornie udzielają!?”

Otrząsnął z siebie to licho i powstał z miejsca, aby wyjść z pokoju.

Poświatowa przepaska splecionych dłoni usunęła się z czoła: spojrzenie oczu dziwnie okrągłych o zaprzepaszczonej gdzieś błysku, niby płomyk tlejący gdzieś w głębiach czaszki, pod siwą źrenicą. Wpiły się w niego te sowe oczy i zatrzymały odchodzącego we drzwiach.

– I pan jest taki sam! – rzekła głosem kobiecej goryczy: apatycznym, a przecie z upartym akcentem pewności, z przyspiewem na ostatnim słowie. – Taki sam – powtórzyła – jak ja.

– Co?! – zachnął się mimo woli i nie opanował nawet wydęcia warg.

Pod dłońmi rozległ się wymuszony śmiech. Opuściła wreszcie ręce sprzed twarzy i wsparła je szeroko na poręczach fotelu. „Że też ona zawsze pozować się musi” – przemknęło mu ubocznie w myślach na widok tej hieratyczno-egipskiej posągowości układu na siedzeniu ciemnym jak tron bazaltowy. „I te ręce! – dodał w duchu – wysztywnione i prężne na oparciach, dłonie boleśnie smukłe, o długich, prześwieconych palcach: ręce królowej z dwunastej dynastii faraonów lub memfijskiego Ptaha.”

– Jak pana oburzyło to przyrównanie do mnie! – próbowała się uśmiechnąć. – Ja sama nie wiem, skąd mi się i to wzięło... Wie pan – mówiła z tym impetem kobiet nerwowych, które, gdy raz przerwą swe uparte milczenia, wpadają wraz w nową inercję – wie pan, ja zawsze o

sobie myślę; ciągle, nieustannie. Obrzydliwe to jest! – wiem. Ale przy tym wszystkim myślę inaczej: nie osobą, nie postacią. Gdy ujrzę chałupę omszałą w smugach deszczu, oślizgłą, brunatną, opłotek przy niej rozpadły, krzyż bez ramion ulewą ociekły, jakiś szmat drogi błotnej, wiodący po pustkowiu pewno nigdzie – wówczas myślę aż do bólu w piersiach, że to ja. Nie w przenośni żadnej, ale tak, po prostu, w pierwszej chwili. Nie myślę nawet wcale, czuję tak. I cóż ja na to poradzę... Gdy maluję kwiaty... Powiadają, że moje kwiaty są jakby dreszczem zatulone, pąki zawsze zwiędłe...

„Uch! – westchnął w duchu. – Brunatne, rude, rdzawe, żółtawe, oślizgłe, ociekłe, dymne, nadgniłe, błotne, zwiędłe: cała śłota miejska! Przed chwilą widziałem dziewczynę, której milczenie mieni się wszystkimi barwami słońca.”

I przysiadłszy się do niej, mówił z jakąś głuchą i bezceremonialną już pasją:

– Wyobraźnia jest dla kobiet niebezpieczniejszym ogniem od zmysłów, zwłaszcza ta wielkomijska: sztucznie hodowana i już w dziecku boleśnie znużona.

Szare jej źrenice rozbiegły się w niepokoju jak krople rtęci.

– Po co pan to mówi? – wyszeptwała zaledwie.

I nagle łyzy sypkie i podłużne jak perły poczęły się ścigać z ogromnym pośpiechem po policzkach. Zagryzł gniewnie usta, które się przegadały, i pochylił się czym prędzej nad nią.

– Panno Olo, ja dalibóg...

Opuszczała głowę coraz to niżej. Miał wrażenie, że gdyby musnął dłonią te jej płowe włosy, z suchego ich puchu sypnie mu się w palce grad drobnych iskier. Ujął ją za rękę – i oto chłodnym prądem poczęło mu się rozlewać po żyłach poprzednio już zaznane uczucie jakiegoś przygnębienia, fizycznej jakby niechęci do samego siebie, goryczy wewnętrznej, która podejmowała się niby suchą i palącą zgagą, włąziła mu w szczęki i zamykała je twardym zaciskiem. „Nerwy! – myślał. – Ta jest wyładowana tą energią czyśćca! A te jej siły wewnętrzne, wymknięte z ślepych konieczności organicznego ładu i z panowania woli, siepią się oto bez sprzęgu i wybijają na zewnątrz jakąś potępięńczą władzą bolesnych odgadywać, przeczuć, wróżnoczucia. Czarownica!”

Oto opadła ta gorączkująca głowa dziecka w chłód splecionych dłoni, chyli się coraz niżej, zwisa coraz to bezsilniej, zginając w pokurcz rozpaczy jej postać drobną. Jemu na ten widok krew uderzyła do głowy, a wraz z nią i ta myśl nagła:

„Ratuj głowę chłodnym upieszczeniem dłoni. Spalać ludzie twym własnym ogniem!”

I nie patrząc już na nią, wyszedł szybko z pokoju.

– Przepraszam – usłyszał słowo rozlewne, szerokoustne, które owiało go jak zasapany oddech. Z tamtej strony drzwi natknął się na pana Tańskiego.

– Proszę! – krzyknął nieomal z pasją, rozchylając przed nim skrzydło drzwi, które był zamknął przed chwilą.

I przemykając się przez tłumy w salonie, wydostał się do gabinetu, gdzie palono. Wraz z dymem tytoniowym wracało opanowanie myśli.

„Uspokój się – mówił do siebie – tam się łatwiej zgodzą, niżli przypuszczasz... Nie ma takiego nieprawdopodobieństwa, które by w podświadomym po mrokach bytowaniu takiej émy dojrzeć nie mogło. Cóż łatwiejszego niż takiej bierności narzucić sposób odczuwania. Nie-wolą sama się zamota. Zażycie takiego stworzenia jest przecie tylko przebolesnym składaniem ofiary z ciała chłodnego za głowę gorącą.”

Ktoś wychodzący nie zamknął za sobą drzwi do przedpokoju. Tam w głębi stała ona w rotundzie na ramionach. Złota głowa o migdałowym owalu i ustach dziecka spoczywała na białym futrze podniesionego kołnierza jak na misie ofiarnej, cała w dymach od cygar jak w kadzidłach obrządkowych; tymi kłębami buchnęło ku niej powietrze androceum przez uchylone drzwi palarni. Ilu mężczyzn tu było, oczy wszystkie roziskrzyły się ciekawością. „Tak to czyściec w duszy kobiety – pomyślał – magnesem was pociąga i obiecuje gnuśności waszej rozkosze dziwne: spalenia tej ofiary jej własnym ogniem.”

„Przecież to jest chyba somnambula!” – krzyknęło w nim coś, gdy poczuł na sobie jej wzrok. Wielkie kręgi tych oczu świeciły w tej chwili blaskiem żółtym jak u sowy.

I to przez okna żrenic jakby widne, złowróżbne żagwienie się tego mózgu przyłgnęło do niego spojrzeniem czarownicy. Tym blaskiem oczu dziwnym w niego zapatrzona, zda się mówić, wróżyć mu uparcie:

„I pan jest taki sam!”

„Co?!” – szarpnął się cały. I doskoczył ku niej mimo woli zza progu palarni.

Podobno panna Ola zasłała, podobno pan Tański jest tak uprzejmy, że odprowadza ją – podobno do domu. Pono drzwi zatrzasnęły się w tej chwili za nimi.

Stał oto przed tymi drzwiami i powtarzał urągliwie:

„Zaszczytne jest dla mnie przyrównanie do takiej osóbkki żeńskiej! Co ta somnambula mogła mieć na myśli: «I pan jest taki jak ja?!» Trawiony zimną gorączką wielkomiejską? Wleczony biernie w tej gorączki rozpustę? Spalony przez innych ogniem własnym?...”

Do przedpokoju wpadł w rozwianym fraku młodzieniec, przez niego tu dziś wprowadzony: muzyk, o którym już tyle mówiono, że pani chciała go widzieć u siebie i popisać się nim przed swoimi gośćmi. Wpadł oto, zawiął połami, przebiegłszy do palarni, wichrzył tam długie włosy i zaglądał ludziom niespokojnie w oczy. Po chwili znów się we drzwiach ukazał.

– Nie widział pan przypadkiem panny Oli?

Że zasłała i powróciła do domu, odpowiedział w dymie.

– Z kim?... To jest, kto odprowadził? – z przymilającym się uśmiechem poprawiał czym prędzej impet pierwszego pytania. – Nie wie pan? – uprzedzał w arcynaiwny sposób cierpkie ociąganie się z odpowiedzią.

Był tak dalece nieopierzony w doświadczenie, że oszczędził mu w ogóle odezwania się, decydując w pośpiechu za niego:

– Pan nie zauważył!

I oglądał się, aby zagadnąć kogoś ze służby. Chłopak miał w oczach desperacką bezradność, jak zbłąkany pies.

O framugę drzwi wsparty, mdły tym ustawieniem niedbałym, w stroju frakowym wysmukły i wiotki, jakby rozchwiany w nonszalancji swojej, zwracał ku ludziom swą twarz białą, z uśmiechem warg nigdy nie domkniętych, podgarniał dłonią kruczą czuprynę.

W tym zbiorowisku mijał szybko oczami kobiety surowe, suche na twarzy i rękach, ubrane sztywno i bez gustu – niewiasty o charakterze żadnym w postaci, stroju i obliczu: młode reprezentantki posagów, matki skrofulicznych dzieci, osoby bez płci i wieku; przyschłe w hugonockiej cnocie bogobojne małżonki solidnych mężów.

Lecz oto inne: gładkie ciała wszelkich sfer, małżonki nabywane po wszystkich targach – białogłowy cieliste o miękkim wejrzeniu i pulchnych policzkach, rzekłbyś, jak to na Wschodzie, ciastem karmione i zopierzałe na tej strawie. Twarze lekko obrzękłe, mleczne i przezroczyste – przedziwne tło dla oczu ciemnych, w których tli się życie monotonne w lubieżności cichej. Ręce nie z tych, co się do rozkazywania lub marzycielskich bezczynności rodziły, raczej kuse, forsownie pielęgnowane, przebiałe; dłonie, które chyba nigdy niczego się nie dotykały i służyły na to tylko, by obładowane w pierścionki spoczywać przed oczyma ludzi na materiach sukien. Wszystkie te kobiety, rzucało mu się i to w oczy, siedzą nieco za szeroko na krzesłach – nie domykały się kolana nóg krótkich; sprawia to może pulchność osób lub, co prawdopodobniej, ta w bierności zawsze półsenna egzystencja hodowanych stworzeń, to ich nieustanne poczuwanie się do kobiecości – fizycznej.

Siedzą tedy luksusowe małżonki i dyszą perfumami, promieniują w powietrze fluidum cielesności białych – wytwarzają atmosferę cieplarni.

Przytrafia się wśród tych ciał wystawnych niewiasta dorodna, jak ta, na której zatrzymało się jego spojrzenie. Lico gładkie wykrzywia lekki wyraz semicki lub może nuda zastygła oto

w tym kwaśnym grymasie ust, rozchylonych w dziób ptaka na posusze. Ułożyła się melancholia tej głowy na przegięciu szyi smukłej, wsparła w czarnym opuchu włosów przebijających i spogląda przed siebie mdło – purpurowych warg kręgiem, zębów perłowych błyskiem i płowiejącym jakby aksamitem oczu.

Tych to oczu opieszalność i chłodne wyszczerzenie zębów zatrzymały się na nim, gdy stanął we framudze drzwi; a zwrócone ku niemu, zdały się mówić: „podziwiał!” Pod tych to oczu hipnozą podgambiał mimo woli czuprynę, poprawiał wąsa i uśmiechał się nie domkniętymi wargi oraz nonszalancją postawy całej, opływając równocześnie spojrzeniem wszystkie kształty tej najdorodniejszej. I tak oto wystawiali się oboje na jarmarku narcyzowych próżności, czyniąc beznamiętnymi oczy kłamne po salonach tokowiska.

Z drugiego końca spoglądała nań tymczasem swą długą twarzą pani domu.

Siedzi jakby niedbale, postacią swą pełną giętko zagłębiona w fotel głęboki. Jej suknie, w chodzie tak powłóczyście, mąciły się teraz w kapryśne fałdy, opadały ciężko na jeden bok, wyciskając obcisłe sowity kształt biodra. Z włosów bursztynowych pokrętnego snopa wywijał się splot łukowy i opasywał grubą liną szopę nad czołem: włosy, które wchłonęły, rzekłbyś, w siebie cały nadmiar wegetacyjnych soków wspaniałego ciała i zaskrzepły lśniąca żywicą. „I pomyśleć – mówił do siebie – że dla tej kobiety rozhucał ktoś swoją wyobraźnię aż do granic samobójczych.”

Lecz oto spogląda ku niemu wciąż z chłodnym i długim uporem, aż póki się nie domyślił i nie przystąpił.

– Chciałam pana o czymś uprzedzić – mówiła głosem, jakim porusza się bardzo drażliwą sprawę. Na jej długiej twarzy i szerokich wargach błąkał się uśmiech zakłopotania.

– Już wiem! Nieboszczka moja ma tu dziś śpiewać u pani, więc w wielkiej swej dobroci wołała mnie pani uprzedzić, aby mię nie przeraziło widmo postarzałe.

Uśmiechnęła się miękko szerokimi wargi. – Takie przeszłości nie umierają nigdy. Najlepszy dowód, że przybył tutaj – a teraz dopiero przychodzi jej do głowy, że nie mógł wiedzieć o tryumfalnym przyjeździe – nieboszczki. Co zaś do postarzenia się, czeka go miłe rozczarowanie.

Po chwili, nie mogąc pohamować lekkiego dreszczyku:

– Ogromnie ciekawa jestem waszego spotkania!

– Czy pani zna bliżej pannę Olę? – przecinał dosyć ostro tę sprawę.

– Ach, jak ona ślicznie dziś wygląda!

– Westalicznie – mruknął pod wąsem, nie spodziewając się wcale, że wywoła tym to zadrganie dziwnego uśmieszku wokół ust pani.

„Więc i tu wiadomo! – mówił do siebie. – Zresztą prawda: kobiety zawsze wszystko o sobie nawzajem wiedzą – powiadano mi dziś. I szeroko tolerują, o ile rzecz nie dochodzi do jawnego skandalu. A co ważniejsza, chłoną wszystko w indolencję dusz. Jakie warstwy cynizmu układać się w nich muszą!”

W tym błędnym uśmieszku wokół dużych warg była gotowa pobłażliwość na wszystko, co jej powiedzie zechce, a nawet pewne wezwanie. Zjawiało się to zawsze, ilekroć miała sposobność do krótkiej z nim rozmowy. „Hm! – pomyślał – więc tak?”

I częstował dalej tą tabaczką:

– Wyglądała rzeczywiście cudownie. Pan Tański musiał sobie nadzwyczajnie pochlebiać wyrzutami sumienia.

Krótki wyraz oburzenia wyparł przemożną siłą ów kaprys, wibrujący niepochwytym uśmieszkiem wokół warg.

– Pochlebiać sobie wyrzutami sumienia! – pani załamała białe ręce: przecież to jest straszny cynizm!

I w tejże chwili nieco ciszej, z tymże uśmieszkiem koło ust:

– Więc pan Tański pochlebia sobie tylko wyrzutami? Może pan śmiało powiedzieć – mówiła wobec jego milczenia. – Uszu moich pan wprawdzie nie oszczędza...

Zbliżył się do nich jakiś brodaczy wysoki i nawiązywał rozmowę z panią. Pozostawił mu ją tedy i ustąpiwszy, rozglądał się dalej po gwaronym wokół ulu.

Od tego roju oderwana błąka się z dala miodna pszczoła – w miód marzeń rozkładowych na życie zasobna: młody muzyk o bezradnym niepokoju w oczach snuł się po kątach.

W drugim końcu sali bzyka gestami wśród kobiet postać kosmata i niespokojna, o ruchach niby rozartagnionych, a dopraszających się uwagi oczu kobiecych: bzyka jak bąk wśród kwiatów. Wreszcie spada na kwiat upatrzony. Oto lilia o wątpliwym panieństwie w oczach, osóbką myjąca raz po raz kocią łapką swą czarną główkę, tak wdzięcznie, tak poduszkowe w ramionach pochyloną, że gest ten o miłych horoskopach przywabił do niej żuka. Przysiadł i zapuścił ryj w kielich, czy miodu w nim jeszcze wiele: wszczął rozmowę o sztuce i literaturze, by przemycać w niej rzeczy śliskie. Zawisł kosmaty nad kielichem, wystawia różki, maca płaty, eterycznych olejków szuka. Rzuca powiedzenia, które byłyby sprośne, gdyby nie powaga przedmiotu: gdyby nie sztuka i literatura. Trysnął tedy łatwy miód i dla niego. Żuk kosmaty zawiesza się nad kielichem, sięga w najwstydlwsze dno kwiatu i ssie wonne etery słów lubieżnych.

Młodzieniec flirtuje z panną.

Tuż obok małą i pulchną mężatkę o rozbieganym języku i niespokojnej nóżce zdobywał obcesowo dziennikarz, eksploatując jej specyficznie wielkowiejską, erotyczną ciekawość do popularnych ludzi dnia. Pytała równocześnie o kilku; był najhojniejszy w informacjach, nie tracąc spokojnej nadziei, że wszystko skończy się na nim.

Oto pani o długiej twarzy i bursztynowych włosach wsunęła się w fotel jak w siedzę kamienną. Ramię od łokcia wsparło się na niskiej poręczy, zwiśla opieszale ręka pani duża. Układem swych pełnych kształtów władna, zmysłami cicha, spoczywa niedbałym gestem wyniosłości cielesnej jak rzymska matrona. Wsparty ramieniem o niską kolumnę, chylił się nad nią wielki brodaczy i świeci szklami okularów. Rozpowiada jędrnie, jak ktoś ożywiony towarzystwem kobiety, mówi z tą przekonującą mocą powściągliwego gestu, jak to czynią starsi, uduchowieni mężczyźni. Pani ledwie brwi ściągnie lub rozchyli usta; półsłówka rzuca, spokojem nęci. Pochlebia jej ta rozmowa, nie przeraża natarczywy raz po raz wyblask okularów ani cierpkie od czasu do czasu uwagi rzucane pod adresem innych ludzi. Przyjeźdnemu z Krakowa niejedno nie podoba się tutaj, a że wypowiada się to przy niej tak ostro, sprawia to właśnie siła kontrastu. Wybaczają mu tedy przelotne akcenty surowości czy też karcenia, rozumiejąc, że jest to przełamanie się głosu pod wrażeniem chwili, jak u młodzieniaszków dyszkancik koguci w chwilach, gdy im coś piersi rozpiera; starsze koguty pieją wtedy basowym podrywem godności. Więc tylko gdy chmurniał zanadto, zwracała ku niemu uprzejmiej głowę jasną na półlęku szyi powolnym.

Wówczas milkł. Długimi muskularnymi palcami głaskał i grabił wielką brodę, a zezem oczu ponad szklami wpatrywał się w nią nieufnie. Po czym rozglądał się po obecnych, tu i ówdzie dłużej wzrok zatrzymał – wtedy gwałtowniej targał brodę.

I nagle pochylając się do niej:

– Pani – zaczął impetycznie, jakby ze środka swych myśli – wiek jeszcze nie minął, kiedy w takich oto salonach niewiasty zwracały się do mężczyzn z pytaniem: „Ileś waćpan harmat zdobył?” Jakże inne wiodą tu dziś gawędy!

Odpowiedziały mu jej brwi, wygięte nagle jak łuki. „Co to ma znaczyć?” – pytały. Wreszcie pochylili się ku niemu bokiem przez poręcz i przeplatając powoli palce białych rąk: – A więc, ileż waćpan tych harmat zdobył, profesorze?

Szarpnął okulary otwartą dłonią. Nie po myśli była mu w tej chwili szermierka z kobiecym językiem.

– Pani! – wybuchnął po raz drugi – onego czasu przychodzili tu ludzie po kontakt czuciowy ze społecznością. Każdy nić własnej przędzy wplatał w tę tkaninę duchowego stylu czasów. Tu się rozplamieniały serca i umysły przy rozumie i wdzięku kobiet. Nawet lekkomyślność tych pań wzbogacała życie. Bywały bo wtedy namiętności i uczucia, które nawet kaprys kobiecych względów potrafiły ponieść w niespodziane zupełnie ujścia czynu i ducha.

Brwi pani ściągnęły się chmurnie, a spojrzenie spod oka pytało nieufnie: „Co tobie właściwie po głowie się snuje? Czy nie tamten: nieboszczyk?”

– Ha – mówiła po chwili, rozplatając ręce – żyjemy w czasach bardzo niearmatnich. A mężczyźni? Niech się pan przyjrzy ich dzisiejszym namiętnościom...

Urwała nagle. I, przeprosiwszy go niemo błędnym uśmiechem, powstała szybko z miejsca.

Bo oto z szelestem ogromnym, jakby wleczonej za sobą gałęzi, sunęła ode drzwi kobieta w srebrzystobiałym stroju, o włosach jak miedź, cała od lśnień sukni i od brylantów na szyi jak od rosy połyskliwa. Gestem ramienia skrotnym podejmowała tren sukni z tyłu, nieco niżej stanu i niby łabędź nastroszony płynęła środkiem salonu, piersią i osadą bioder wypięta, kształtem litery S, łączącej dwie wysady nazbyt sowite i sobą jakby pyszne. Sukniami szumna, jakimś szalem czy też puchowym boa w barokowe arabeski obramiona, zwracała ku ludziom bardzo białą twarz i zimny na niej uśmiech, który jawił się i zamierał jak w automacie. Od nagiej piersi szedł wiew perfum mocnych.

Nieco zapóźniony wkraczał za śpiewaczką jej towarzysz światowych tryumfów: chłop nieco przytęgi, lecz doskonałym frakiem jak koń dobrze stoczony. Rozdawał swe szczęście w ukłonach, rozsiewał je w uśmiechach. Gdzie przeraźliwie lśniący gors jego koszuli ludziom w oczy zaświecił, tam ukłon, uśmiech i krótki rzut ubrylantowanej prawicy zdawał się mówić: „to ja!”, zaś zwrócona ku śpiewaczce dłoń lewa: „to my!”

Z lic kobiet co ładniejszych tryskała ciekawość na pierwszy widok śpiewaczki i jej sukni, lecz wnet potem odbiła się na nich jakby niechęć i osadzenie się nieufne. Starsze damy z ciekawością okrucieństwa szukały po sali Bolesława Zaremby, młodsze oglądały się za nim ze smętkiem w oczach, ogromnie w tej chwili kobiecych.

Lecz jego nie było już w salonie, przepadł gdzieś za drzwiami.

Młodzież męska doświadczała tymczasem obiecującego dreszczyku poznania sławnej diwy. Gradem tedy posypały się wersje, plotki i świństwa, szeptane na ucho.

Profesor miał wrażenie, że z wejściem tych egzotycznych ptaków buchnęła na salę woń jakby z areny: zapach ostrych perfum pomieszany z powiewem od końskiego nawozu. I myślał, że temu panu w nienagannym fraku byłoby zupełnie do twarzy z eleganckim biczem w ręku.

Lecz oto widzieć musiał, jak pani domu, zwykle o tak wyniośle ociągającym się kroku, teraz oto pośpiesza nerwowo i, chwytając podaną szeroko dłoń sławnej diwy, zmniejsza się jakby w fałdach sukien, przykuca nieomal dygiem. Widzi nadto, że zwykle tak chłodno odbierająca hołdy otoczenia, miesza się najwyraźniej i chce jakby cofnąć swą rękę, gdy sławny śpiewak w sztywnym ukłonie podnosi ją niezgrabnie do wygolonych szczęk swoich.

Profesor targał brodę. Bo wśród tych tu kauczukowych kobiet, na których odciskało się każde zaciekawienie elastyczną przymilnością wdzięku, ta jedna wydała mu się z kręgosłupem i mającą w sobie jeszcze jakąś nikłą resztkę rasy, jakiegoś ładu w instynktach: w tym pogodnym bodaj spokoju wejrzenia i gestu, którymi schlebiała dotychczas wszystkim zmysłom jego.

„Zgnuśniała, mieszczała Helena z Komierowskich baronowa Nieman!” – mrucał gniewnie w brodę.

Nie zauważył, jak tuż nad nim stanął drogą postacią o łysej głowie charmeur niewiast tujejszych: pan Horodyski. Na ostrych wąsikach i w oczach świdrujących wisiał już jakiś koncept o kobietach czy też sekret którejś z nich. Jakoż wskazując na trzy postacie z dala, jął coś opowiadać o mamie i dwóch córeczkach, o krótkich sukienkach i lekarzu. „Tfu!” – przerwał

mu w myślach profesor, nie siląc się nawet na zrozumienie, o co idzie. Omierzył był dlań ten typ wielkowiejskich doświadczonych, a jeszcze wstrętniejsze to przeświadczenie, że one właśnie, kobiety po miastach, bywają wprost fascynowane przez takie typy.

„Grzyb – myślał, spojrzawszy po chwili na tę łysą głowę na drogiej szyi. – Dostyc pajączy-ny gnuśności rozsnuwa się tu po kątach, aby z tej plechy nie miał wreszcie wyrosnąć właściwy plemnik cynizmu. A jest ich tu pono więcej: ilu zniszczonych i wytlonych w młodości bezambitnej, ile słabizny sentymentalnej, tyle purchawek zastoju, tyle grzybów z plemnią gatunkową jak one – we łbach! Bo ta szaruga brzydlivosti w słowach i myślach, zohydżająca nieomal oblicza ludzkie, wżera się przecie w niejedne oczy jak gęsta mgła, gotowa oślepić najniezawodniejsze w człowieku instynkty: zaszczone upiorami domniemanej życia brzydlivosti, egoizmy nieczynne a tęskliwe podlegają najłatwiej takiej właśnie sugestii. W ten sposób pleni się to lichy zastoju: od przegniłych ku najwrażliwszym.”

„Niech się pan przyjrzy namiętnościom dzisiejszym tych mężczyzn” – przypominały mu się jej słowa ostatnie.

„Tak! – dodawał w myślach – gdy fala energii powszechnych opada, kobietom przede wszystkim leniwieją dusze i zatruwają się wyobraźnie próżne. Już nie ci, co «harmaty» zdobywali, królują w marzeniach, lecz egzystencje na atmosferę pokojów najczulej wrażliwe – artyści; dokonywają im oni władz uczuciowych rozkładu lub też sami w tchnieniu dusz leniwych i wyobraźni zatrutych giną. To z Woydą nie było tylko egzaltacją uczuć zawiedzionych, lecz może głębszym sensem tego tu życia, jego koniecznością nieomal – tu sztuka sama zatrzuwa się dziś swą niegdyś podniętą romantyczną. Duch w kobietach z towarzystwa, szersze tchnienie ich wyobraźni i głębszy nurt marzycielstwa pozostanie pono na zawsze pogrzebaną legendą romantyzmu: kiedy to muzy sielskie, pełne szlachetnie stylowej pozy, pozwalały się ubóstwiać czarnym wieszczom, interesując się jednak bardziej harmat kolorowymi zdobycami. Zepchnięte z koturnów romantycznych, rozsznurowane z katolicko – salonowego gorsetu empirowej mody, «równo – uprawnione» przede wszystkim w pogoni za dosytem, te biedne niewiasty jałowięją po prostu z samego poczucia swojej dziś pospolitości. Taki ot grzyb wielkowiejski lub śpiewak przejezdny: oni to rozbudzają jeszcze ich ciekawość do życia, rozgrzewają wyobraźnię.”

Wśród wielkich czołobitności przystawiono tymczasem śpiewaka do fortepianu. Nad klawiaturą chylił się młody muzyk, znoszący z determinacją taką tu rolę oraz protekcyjną rękę na swoim ramieniu. Tylko gdy na nuty okiem rzucił, szarpnął się niechętnie i z tym większym impetem uderzył w pierwsze akordy. Śpiewak poprawiał mankiety, chrząkał. Ramiona zwiślał jak atleta, obłąkiem ku sobie, lekką nóżką kozła przed się wystąpił i – rozpromieniał.

Zaśmiały się ku niemu dziesiątki kobiecych oczu roziskrzonych ciekawością. Śpiewak chrząknął raz jeszcze, akordy władnym spojrzeniem przeciął, pierwszych nut czekał. Odął wreszcie grdykę indora, miechy podjął, łeb czarny na krótkiej szyi w tył chylił, wyrzucił ramię i uderzył jak w róg alpejski:

Niech ryczą! – niech ryczą! – niech ryczą!! –
wzburzone fale...

Jeszcze rozedrgane dźwięki pulsowały w sali, gdy śpiewak już zęby radośnie szczyrzył, podziw zbierał. I ku oczekiwaniu wdzięcznie pochylony, oddawał echo z piersi zasobnej, rozsiewał je ludziom na zachwyty:

wzburzone fa – le...

Tak żywioty uśmiechem zwyciężywszy, szczyrzył zęby dalej.
I ryczał za żywioty.

Gdy uciszono się wreszcie na żądanie bisów, gdy nawet pogwarki kobiet milknąć już zaczęły, wiotka dama z wyrazem nudy na ustach rozszerzonych w dziób ptaka, chyłąc powoli w stronę śpiewaka swój stan giętki i długą szyję, szepnęła prośbą smętną:

– *Chanson du Torero. Z Carmeny.*

On, widząc przepych perłowej kolii na tej szyi, kłaniał się z wielkim szacunkiem. I krótkim ruchem dłoni nakazał odpowiedni akompaniament.

A gdy padły pierwsze nuty, chylił się wraz ku słuchaczom, twarz jak księżyc uśmiechnięty obracał za tłumem i szerokim kołem ubrylantowanej prawicy wodząc po gościach, uderzył w dzwonną pierś:

Il circo e pien di festa!
Il circo e pien di su, di giu!
Gli spettator perdon la testa...

– wpieszczało się aksamitnie w rozkoszny dla pomocnych kobiet polectaniu niezrozumiałych słów włoskich.

Wywabiony śpiewem z dalszych pokojów stanął Bolesław Zaremba we framudze drzwi i wbił spojrzenie w podłogę. Powoli, jakby zmagając się ze sobą, uniósł głowę i zawiesił spojrzenie na niej. Zdziwiło go przede wszystkim mroźne tchnienie obcości, jakie owiało go w tej chwili. I równocześnie zastanowił rudy jej włos. „Jeszcze bardziej się przebarwił – myślał z zastanawiającą dla samego siebie apatią. – I przybyło tych włosów dziwnie na te spiętrzenia pokrętne, oploty i węże skłębione. Chociaż przy ogromnej bieli twarzy i marmurowym chłodzie piersi obnażonych niemal po brodawki niespokojna pokrętność tych włosów oraz ich barwa gorąca robią dobrą plamę – myślał patrząc zimno jak na dziw obcy – przy tych szatach zwłaszcza o srebrzystej bieli i łuskowych refleksach oraz białych rękawiczkach aż po pachy.”

Gestem królującej w salonie diwy bokiem o oparcie rzucona, słała sobie podnóże z spiętrzonych fałd trenu, bardziej jeszcze połyskliwych od sukni. Pochylona ku śpiewakowi, skręcała się w sobie jak łądyga słonecznika, prężąc w tym przegięciu pychę i chłód nagiej piersi i wytłaczając niemal w przeciwną stronę obciśnięte sukniemi biodra. Puchowe boa opadające z ramion ujmowało ją w białe ramy wirowych, niespokojnych skrętów, węzowym wychyleniem gięło się sztucznie i ramię wsparte na łokciu. I tym kształtem rysowała się cała: w kapryśnych esach, zygzakach, arabeskach – w barokowej fanfarze wielkostołecznego szychu.

I biła od tej kobiety fanfarą owa melodia wartkiego po stolicach życia, gdy roziskrzą się światła wieczorne i roztworzą najjaskrawsze kramy podniet nerwowych dla tłumów, gdy sztucznych światel podnieta gorączkowa zagra jakby do ataku wszystkim pulsom woli w tym podwieczornym niepokoju wibrującego wprost czasu, gdy bruki same niosą elastycznymi krokami w świetliste chromy tłumnej żądzy użycia.

Oto widzi wspomnieniem te wylęgające na podwieczerek ciżby. „Circenses!” – grzmi w tym gwarze i rozhuaku wieczornym. Wala tłumy z burzą tej żądzy tajemnej, co chleb życia na chleb wyobraźni mieniając im każe, te same nieomal, co ongi za widowiska sprzedawały imperatorom wolności dusze, a dziewczkę cyrkową wynosiły na tron Justynianowy. „Teodora!” – ryczał taki sam tłum może jak ten, który pcha się oto w natłokach po marmurowych schodach świetlistego pałacu, a szum swój głuchy przycisza nagle w szepty, rozstępuje się na boki; gdyż oto po marmuru stopniach, ścieżką purpurowego dywanu wstępuje lekką stopą, szelestna i wonna, w puchach zarzutki jak w piórach ptaka białego, czubem włosów miedzianych i lodowatą dla tłumów twarzą widna...

Ona!

Zaś dołem, w cieniu teatru – te z wieczornego przyływu tłumów na ulicach, z niezliczonych gorączkowych twarzy na schodach pałacu wylaniające się w półmroku sali postacie spokojne jak robaki w burzy: te dżentelmeny z mdłego Cosmopolis, te fraki i smokingi bezlicowe, którym zwierciadło twarzy chyba nie powtórzy; wejrzenia poprawno nijakie, nienagan-

nie żadne; ten stołeczny patrycjat użycia, te bezkręgowce miękkie, których najburzliwsza fala miękko niesie, te czarne robaki, żerujące z flegmą w barwnych burzach namiętności tłumnych.

„Ah – bravo Toro! urla la gente...” – wpieszczał się tymczasem w salonie głos śpiewaka bogaczom przywilny.

Tak było i wówczas! Taki sam głos, o tymże brzmieniu i barwie rozlegał się był wtedy na scenie, gdy zatopiony w morzu głów ludzkich w samym środku frakowych dżentelmenów kurczył się i jeżył na fotelu w swej kurtce aksamitnej – Pierrot chyba? – myślały monokle. Oto wtula głowę w ramiona, jak sowa w pióra, ręce wbił po łokcie w kieszenie szerokich rajtuzów, a białą twarzą i oczami wilka spogląda na nią, jak w kostiumie Cyganki czy też Colombiny jarmarcznej przemyka się oto ptakiem nieuchwytnym przed pożądaniami tysięcy – śmiechem i szydem śpiewająca.

I zdawało się monoklom, że nad krzesła wyrzuci się ramionami Pierrot i krzyknie temu rywalowi o wejrzeniu tysięcy:

„A jednak moja! moja! moja!”

W stonowanym blasku marmurowej hali, gdzie brązowe świeczniki rozlewały czerwonawe światła, jej postać zatulona w białych puchach zarzutki, włosów miedzianych błysk, twarzy sztuczne złodowacenie przed bliskimi oczami i uśmiech prawie bolesny, gdy jej podawał rękę do powozu. Drzwi ledwo słyszalne zapadnięcie w zamku, cwałem a lekko ponoszona po brukach kareta.

„A jednak moja! moja! moja!”

Oddechy obojga gorące, w usta sobie przerzucane, wargę o wargę. Przed nimi koni lekki cwał, za nimi szum odpływu głuchy: wezbrane morze tłumnej namiętności wraca w swe łożyska, bujny tłum rozplywa się po ulicach, rozszczepia w gnuśne jednostki.

„Patrzy!” – krzyknęło w nim jakby na alarm, gdy diwa, poruszywszy się nieco na krześle, teraz dopiero spojrzała po raz pierwszy w jego stronę.

Szarpnął się w tył i wywinął za portierę do sąsiedniego pokoju, omal nie nastąpiwszy na czarną kukłę Murzyna, wyciągającą ku niemu swą tacę mosiężną, a na niej dzban kryształowy i czarę: te same, które onego wieczora podawał było Woydzie.

Pamięta! Burza egzotycznej po świetle namiętności wyrzuciła go w życie rodzime jak rybę na piachy – w onym właśnie czasie, gdy tu Woyda skończył ze sobą.

Pamięta! Karawan brzydki aż do zatkania kołatał i zgrzytał chwiejnymi kołami pod zakaśaną spódnicą żalobnego wozu, pluskał po kałużach, kolebał trupem w pudle i podążał głupkowatym truchcikiem indolencji w grzęskie piachy podmiejskie. Chowano marzyciela. Ta smętna karykatura rodzimego pogwałcenia wrażała mu w mózg jakby brunatnożółtą barwę rdzy, co przeżera, zda się, tę nędzę okólną i rzuca się nieomal na ludzkie oblicza, stępną marudą bezduszną, która jest na tych twarzach beznadziejnym smutkiem apatii. Przez te nędze, halizny i piachy, pod spojrzeniem ludzi ponurych wiedzie droga do czyścica... chyba – myślał – w jakiś buddyjski koszmar dzisiejszego świata. I wlokąc się tak za trumną z owstręzionymi ustami, spostrzegł ze zdumieniem, że takich jak on jest tu więcej: ludzi porozumiewających się niemo wyrazem niesmaku i pogardy dla wszystkiego, co ich otacza, dusz czyścicowych, które zaprzepaściły w sobie impulsy do życia. Jak ten oto, którego chowają! I zdawało mu się, że temu samobójcy z miłości zaśpiewają jego żalobnicy to requiem krucze: „Ohyda fałszu i obłudy, pakość jadowita porasta dziś te niwy, na których ongi młodszy znajdowali zachwycenie i poryw, starsi – wolę i dokonanie. Zatrute jest źródło ochoty wszelkiej! Nie warto niczego chcieć! Nie warto ku niczemu marzeniem nawet wybiegać! Zaś ta nędza, ten smęt, to ponure niedołęstwo naokół: wszystko to pozostać widocznie tak musi.”

„Niejedzenie to sercu rezultat – myślał teraz – i niejedzenie życiu okólnemu zysk: to moje spalanie się w żądzy egzotycznej i to ich wytlenie w uczuciach rodzimego zastoju?”

I nagle stanęła mu przed oczami ta mała – Ola: to ciche marzycielstwo dziewczyny, zakażone gnuśnością okólną; jej drobne, zimne ciało, spalone przez gnuśnych żarem własnej zmyślonej duszy; jej słowa wreszcie, niby tego żagwienia się wewnętrznego dymy fatalne: „brunatne, rude, rdzawe, óciekle, błotne, zwiędłe, zmurszałe...”

Otrząsł się całym ciałem.

A gdy oczy podniósł, wzdrygnąć się musiał po raz drugi.

Spozierały na niego ślepie białe tej wielkiej kukły Murzyna, wyciągającej w swych łapach goryla tacę mosiężną, a w niej dzban kryształowy i lodową niby czarę: te same, które onego wieczora podawał było Woydzie.

Bydłęcą powagą nieodpartej jakby siły spoglądał na niego stróż zastoju, jak sam czas niemy, uczuć i namiętności rozkładowych świadek ponury, eunuch czarny z ślepiami jak przerażenie.

Ocknął go z tego otepienia głos śpiewaka donośny:

Perche la festa e del valore,
Perche la festa e del va-lor!!

„O czymże to on śpiewa? – zamyślił się nagle. – O «valore»: dzielności! że jej to świętem radosnym jest miłość – tam na świecie: gdzie krew z żył gorąca i w ramiona skore niby żelazo roztopione wpływa, gdzie każda namiętność czyni się sama życia potęgą zwycięską.”

Andiam! – Andiam in guardia! – Andiam!
Andiam! — Ah...

Śpiew wzbijał się wciąż! – jak gdy ostatni na wiosnę słowik w klask ostatni uderzy, gardłem czas jaki przebiera, nutę wyciągnie i zapamięta się śpiewakiem: za echem własnym śląc głos już nie swój – w te gwiazdy po nocy migające; by tam aż, w gwiazd obliczu, przełamać głos podniebny w krzyk żądy najniecierpliwszy!...

Cieliste kobiety z dobrobytowego opasu, panie o miękkich spojrzeniach i pulchnych policzkach, luksusowe małżonki siedzące zawsze z apatycznym ruchem kolan nie domkniętych i te wiotkie, z cierpkim grymasem nudy na licu zopierzałym – wszystkie te kobiety spięła iskra życia w jeden łańcuch oczekiwania, przez który przebiegał niespodziany prąd namiętności egzotycznej. I uderzył w nie ten prąd raz w raz! raz w raz! łechcąc, drażniąc, podrywając nerwy w ciałach tłustych aż do zachwytnego bólu.

A gdy się śpiew skończył, oczywista na nucie efektu wysokiej, rozdartej, samego śpiewaka podejmującej na palce, wówczas stał się z kobietami szal.

W długim grzmocie okłasków szelest sukien kobiecych podrywny, w zaszum mgły zerwanego stada kuropatw, skłębienie się szelestne barwnego wieńca kobiet wokół śpiewaka, gwarne rozkołysanie złotych i ciemnych główek, ramion w białych rękawiczkach wyrzucanie się w górę i kwiatów pęki przez nie miotane.

– Och, jakież to artysta! – wzdychały zasapane na krzesłach matrony.

Od strony gabinetu poczęły wchodzić do sąsiedniego pokoju grupy starszych panów w gęstej dymnicy od cygar i w basowym pomruku rozmów.

Zjawił się i gospodarz: gorzko uprzejmy, grzecznie wyniosły, ubrany z wyszukaną sztywnością. Czarny i tłusty włos okalający łysinę na ciemieniu miał coś z nadmiernego połysku i martwoty peruki, zresztą i niepokalany gors koszuli był trupiego blasku: wszystko jakby martwiało na tym człowieku, niby na uroczystość dworskiej żałoby. Najsztynniejsze wszakże były szeroko rozwidlone szpakowate baki, nadające obgolonym wargom w tej jamie włosów coś z rybiego wyrazu. Pan powrócił dopiero co z Petersburga, miał dużo do powiedzenia i jeszcze więcej do przemilczenia: świeżym kontaktem ze stołecznymi sferami wzbudzał większy niż kiedykolwiek szacunek wśród swoich gości.

Teraz oto prowadził pod ramię wielkiego jak piec chłopa o podgolonej jasnej czuprynie i ostro rozstawionych wąsach. Profesorowi powiedziano, że jest to podobno korespondent do gazet berlińskich i że na opinii europejskiej zależy nam wszak bardzo. Suchy i sztywny wygląd gościa wywołał na pół ironiczne zaciekawienie gości do koszarowego fashion. Jego bardzo lakoniczne odpowiedzi wzbudzały jednak poważanie dla prasy europejskiej, zaś ostre i krótkie gesty znalazły już naśladowców.

Koło gospodarza i berlińskiego gościa krystalizowała się tedy powaga. Ten stateczny korowód panów, zahaczywszy o profesora z Krakowa, stał się jeszcze bardziej poważny i surowy. W milczeniu gości oraz w ich chrzączeniach czuć było chwilę oczekiwania: wiadomo było z doświadczenia, że zebrania w tym domu mają zawsze swoje clou sprawy publicznej.

Z salonu biła tymczasem pełną falą muzyka. Gospodarz z lekkim zniecierpliwieniem zamykał cicho wielkie skrzydła i zasuwiał portiery, ktoś usłużny uczynił to i przy drugich drzwiach. Półmrok ogarnął panów: rozplomieniły się w nim zarzewia cygar, rzucając ostre, czerwone błyski i głębokie cienie na twarze starcze. Lecz wnet zapłonęła lampa u góry, ścieląc po twarzach zimniejsze półświatło i łagodniejsze cienie: to lokaj zgasił świecę na kominku i rozniecił elektryczność, by oddalić się wnet krokiem bezszelestnym i tajemniczym. Panowie chrząkali coraz twardziej, na nieomyłne świadectwo, że niejeden z nich się czuł niezręcznie; ten i ów doświadczał nawet interesującego dreszczu spiskowca.

Wśród wysztynionych białych gorsów i dymiących cygar panowała skrzepla, sucha atmosfera wysilonej powagi po tak swobodnych rozmowach przy preferansie. Ta nakazowość chwili schlebiała najwidoczniej wszystkim instynktom gospodarza, bo uznawszy wreszcie moment za stosowny, powstał i, unikając najstaranniej wszystkiego, co by mogło trącić stylem i okrasą, wygłosił w starannie oglądane paznokcie swej ręki, że obecne kłopoty rządowe w czasie, kto wie, czy nie przedwojennym, czynią go bardziej pokojowym na wewnątrz. I tak, na przykład, w rozmowie z pewnym „miarodajnym czynnikiem” wyniósł gospodarz wrażenie, że pewna finansowa inicjatywa społeczna w zakresie użytku publicznego, przy umiejętnym przepchaniu jej przez niższe dykasterie, nie natrafiłaby na zbyt silny opór u góry. Miano wprowadzić na myśli herbaciarnie lub przytułki, lecz przy umiejętnej formalistyce i zręcznym argumentowaniu interesem rękodzieł, eksportu, zdolności można nakierować pozwolenie na muzeum sztuk pięknych, o którym była już tylokrotnie mowa w gronie panów. Wypadałoby również skorzystać z jakiej okoliczności galówkowej, okazji czy egidy, dla których mają tam smak.

Po tym obwieszczeniu wszczął się gwar bezładnej rozmowy. Uwagę wszystkich pociągali dwaj panowie: stary o czerwonej twarzy i siwych wąsiskach oraz pan smukły o długiej pogarbijonej szyi, maskujący zakłopotanie niezmierną dla wszystkich uprzejmością. Wiadomo było, że stary jegomość, bogacz ukraiński, „pragnie coś zrobić” i że hrabia zamierza zerwać z bar-

dzo przewlekłą i nieco płochą młodością w sposób równie obywatelski, jak hojny. Kilku publicystów miało za to pomysły i ambicję. Stała się rada tajna przy zachowaniu zwykłych ostrożności, to jest pod osłoną hucznej przyjęcia u gospodarza.

Oto wystąpił pierwszy publicysta z wielkim rękopisem w dłoni.

– Panowie – zaczął z szerokim gestem – pierwszą troską cywilizowanych narodów, powiada mądrość...

Gospodarz ujął go bardzo delikatnie za łokieć i z cierpką uprzejmością tłumaczył, że nie wystarczy czasu na wysłuchanie kilku, interesujących skądinąd, prelekcji. Rozległ się pomruk aprobaty.

– W takim razie wycofuję się z moim referatem! – obwieścił wyzywająco rzecz przez innych już postanowioną.

– Wielmożni panowie – odezwał się z kolei głos ochrypli i, wyłamując z trzaskiem palce zakłopotanych dłoni, wystąpił uwędzony w dymie tytoniowym niezmiernie długi i zaschły pod żółtą skórą jegomość. – Prawdziwie wielmożni panowie! bo fortuna w rzeczach publicznych dobrze użyta całemu narodowi adjuwat, a jego dobrodziejom chwały i godności przysparza. Gdy głód w Polsce panował, otwierały się królewskie i pańskie spichrze. Otwórzcie duchowe spichrze, dobrodziejcie nasi! Ten głód ciężką klęską nam grozi, wysiewają się już tylko chwasty i co jałowsze ziarna. Użycie książek! Dosypcie grosza! – błagał i traskał palcami suchotniczy pan. – Załóżcie spichrz pod zasiewy nowe: stwórzcie bibliotekę!...

– A niech wam tak Bóg fortunę podwoi oraz w tym i przyszłym życiu nagrodzi, amen! – zakończył ktoś półgłębkiem i pociągnął suchotniczego pana za rękaw tak silnie, że posadził go z impetem obok siebie. – Jak pan może w ten sposób!

– Ależ drogi i najmilszy! – Suchotniczy pan pochwycił sąsiada za obie dłonie, kierując w jego stronę impet swego wzburzenia. – Pan, który bywałeś w Paryżu!... Pan, który także nauką się zajmujesz!...

Gdy nagle zakasłał ciężko i musiał wyjść z pokoju.

– Proś ty ich, młody panie! – wykasłał w chustkę na pożegnanie. – Proś!

Jakoż młody pan głąkał czas jakiś swą kozią bródkę, układając w myślach przemowę, wreszcie osadził nerwowo binokle i poprosił o głos:

– Tradycyjne to wprowadzie kolumny polskiej oświaty: pańska i mieszczańska łaska, a młodzież nasza od wieków nie wychodzi z żebraczej roli żaka z misą na progach cudzych kuchni...

Kilku starszych i mniej ruchliwych panów zadowolilo się wypuszczeniem gęstych kłębow cygarowego dymu i wzgardliwym okrzykiem: „Ba! ba! ba!” Wszakże z ust bardziej krewkich padały pod nosem i obelżywe słowa.

– Także owoc pańskiej łaski w czasach demokratycznych! – syknął w kącie starszy głos. – Pan Karski z Wójtówki posyłał „to” do szkół. Ekonomem u pana Karskiego był ojciec oratora.

Gdy niespodzianie wyskoczył na środek student i opinając szczupłe piersi w mundurek:

– W imieniu! – obwieszczał – uczącej się młodzieży! – okrzykiwał – protestuję! – roznamiętniał się nerwowo.

– A idź pan do stu par diabłów! – zniecierpliwził się ostatecznie starczy głos.

Gospodarz ruchem desperackim obu dłoni głąkał tłusty włos na skroniach. Warcholi i smarkacze zburzyli na samym początku całą powagę zgromadzenia. „To są sympatie żony!” – myślał z goryczą.

Na domiar od strony salonu przemycał się raz w raz ktoś obcy. Oto wpadł młodzieniec z ostrym wąsikiem, krótkowzrocznymi oczyma oraz nosem człowieka najwidoczniej zawsze krzężnego; wpadł, rozejrzał się, powąchał i w pas się kłaniał.

– Jestem przyrodnikiem! – mówił z ukłonem – asystentem stacji biologicznej na Białym Morzu. Korzystając z bytności w kraju i tak szczęśliwego trafu narady szanownych panów,

przybiegłem umyślnie, by rzucić myśl, projekt, który tylokrotnie zaprzętał na obczyźnie moją ambicję Polaka. Od czasu gdy stopa polska dotknęła lodów podbiegunowych (mam na myśli pana Arctowskiego), projekt naszej ekspedycji w arktyczne regiony stał się marzeniem przyrodnika i patrioty. Okręt ochrzciliśmy czcigodnym imieniem Jana z Kolna, w pamięć tego, który przed Kolumbem dopłynął pono do brzegów Ameryki. Nie wątpię, że znaleźliby się u nas ludzie hojni i nauce w duszy oddani, których fascynować musi myśl, aby sztandar duchowy naszej stolicy zatknąć na biegunie kuli ziemskiej.

Czerwony wąsal z Ukrainy wypuścił z ust cygaro i otrząpywał impetycznie płonące jeszcze popioły na swoich i cudzych kolanach.

– Bój się pan Boga!

– Panowie! panowie? – pisał cienko i wymachiwał rękami jakiś fraszobliwie niespokojny osobnik. –

Toż dyskusja się rozprasza! Proszę, o głos w sprawie formalnej. I zwracając się do korespondenta niemieckiego:

– Nie mamy wyrobienia parlamentarnego.

– Allerdings. Ja. Leider.

Te twarde, z berlińska odbębniowane słowa stropiły zupełnie nieświadomie wielomówny temperament zebrania. Nastąpiła cisza.

– To – to! – podrzuciła się z basowym pomrukiem otyła osoba o rozlanych szeroko na kaniapie brutalnie tłustych udach. – Muzea!... A tam jeszcze: i sztuki piękne!... W porę ktoś skoczył w arktyczne aż regiony. To są, panie, arktyczne regiony na dziś: te wasze muzea i sztuki piękne. I równo mi z tymi sztandarami na biegunach. Śmiech i wstyd! Ot, zrób który ekspedycję na powiat: popatrz, powąchaj! Sprawa krajowa ma być powszechną... Chyba! Nie?... Ot, któryś z sąsiadów już dobrze mówił: „a to drogi! a to szosy! – a to splawy! – a to melioracje! – a to kredyt rolny!”

Wyliczając to wszystko, trzymał sztywno do góry palec wskazujący, a raczej kusy pierś z ciężkim sygnetem herbowym. – Ot, wam dobro publiczne! Jest nad czym głowy suszyć i debaty wszczynać. A tamto? – zamyślił się i, opuszczając powoli wyroczny palec, kończył tonem minorowym: – Dobrze, serdeczne słyszano tu mowy gorącej młodzieży. Szanuję młodzież i ja. Ale gdzie męże do rady?

Podrzuciwszy ciężkie ciało na dłoniach, dał nura w głąb kanapy, wystawiając na salę podszwy krótkich nóg. W tej pozycji machnął wzgardliwie ręką:

– Człowiekowi nieraz za swój naród „wstydy”!

I tłusty pan przytłoczył sobą całą sprawę. Jak pierzyna wielka stłumił sobą gwary. Tylko na podtrzymanie jego autorytetu rozlegały się w ciszy już twarde i pewne siebie, wyzywające wprost chrząkania panów ze wsi. Milczano.

Gospodarz zwiesił z niesmakiem rybią wargę.

Gdy wąsal czerwony, siedzący obok tłustego pana, począł opozycyjnie trzeć grzbietem o kanapę. Jego autorytet nababa, mający ostatecznie rozstrzygnąć wszystko, czynił ciszę napiętą. Stary przede wszystkim splunął gromko w kraciatą chustkę, chrząknął, wreszcie jął mówić:

– Krowy są – zaczął od razu od najnieudelikatniejszej aluzji do siebie, spoglądając zarazem i na hrabiego. – I dójek nie brak. Boję się tylko, że nas w dziurawe beczki wydoić pragną: każda tu sprawa głodna, każde ciele przepaściste. Głodnyś – sadowią cię przed misą i mówią: „Weź, bracie, ale jedną tylko krupkę, jedynieńką.” Co ja mówię! – kup sobie krupkę, powiadają, ale jedną, nie śmiej więcej! Myślę, gąb głodnych dziesięć posadz z takim nakazem u misy, każda inną krupkę wybierze: ta moja, pomyśli, najtłuściejsza. Zgody między nami, najmilejsi moi, nie będzie. I nie będzie nigdy zgody między nami o te krupki. Nad siły to i możliwości ludzkie. Gdyby na rady jawne przyszło, o krupki, najmilejsi, sprzeczałibyśmy się wiek cały. Najswarliwszym narodem na świecie uczynią.

Za czym wyjął z kieszeni kraciatą chustę, strzepnął szeroko, ujął pośrodku garścią i ukrył w nią nos wielki. I trąbiąc przeraźliwie długo, przemagał w tym ukryciu twarzy swe wzburzenie wobec tak uporczywego wpatrzania się ludzi. Wreszcie wychylił twarz czerwoną zza chusty i podgamał chmurnie wąsa. A że ludzie wciąż jeszcze oczu z niego nie spuszczały, jakby oczekując dalszego ciągu, więc się stary ofuknął:

– No, gadaj, który z panów wiesz lepiej!

Druga krowa, którą wydoić miano, stała tymczasem cierpliwie na uboczu: hrabia o długiej szyi darzył uprzejmym baczeniem każdego, kto tylko przemówił. Gospodarz, cierpki i niezadowolony z obrotu dysputy, prosił tymczasem panów o powrót do gabinetu: tam miał nadzieję ująć rzecz w swoje dłonie; tu naprzykrzała się wciąż muzyka i raz po raz wchodził z salonu ktoś niepożądany.

Wszakże narada panów rozbijała się już w liczne gawędy grup.

Profesora zatrzymał suchotniczy pan, który tymczasem powrócił był do grona. Nazwał się Downar, Antoni Downar, podkreślał imię, jako niezmiernie ważne widocznie, i schwyciwszy jego rękę, ścisnął mu ją gestem ponurego braterstwa – jak mason. Przed laty kilkunastu miał nawet zaszczyt przesłać mu swoją książkę. „Aha, także uczony!” – tłumaczył sobie profesor to dziwne powitanie.

Pan Downar westchnął:

– U nas, panie...

I splatając kościste palce o martwych, białych paznokciach, rzeźił monotennie o tym, jak to swego czasu sprzedał zaledwie kilka egzemplarzy swej książki, a wydał własnym nakładem. Ma już od lat sześciu gotowe dzieło *O czytelnictwie w Anglii*. W ostatnich czasach dopiero zajęli się wreszcie wydawnictwem tamci ludzie zacni, mówił, wskazując na wychodzących panów. Gdy dzieło ukaże się na półkach, nie omieszka przesłać je profesorowi.

Panowie uściśnęli sobie ręce.

– Głównie brak książek, profesorze! Bo zresztą robimy i my tutaj, co się da. Wydajemy encyklopedie...

– Jakież to? – przerwał profesor.

– Niezliczone i nieskończone – wtrącił z ubocza jakiś głos.

– Niech pan tak nie mówi – prosił łagodnie pan Downar, przeginając z trzaskiem długie palce. – Jest w tym tyle rzetelnej „pracy” w nieprzespanych nocach, po „czynności” biurowej. Niech pan powie o tym, komu należy – pan żyje z dziennikarzami... Właśnie dwaj moi niedgdyś uczniowie pragną prosić pana o doradę – zwrócił się tymże żalonym głosem do profesora.

„Mikulski” – „Bogdanowicz” – przedstawiło się wraz dwóch młodzieńców. Z bezładnego nieco wstępu dowiedział się profesor przede wszystkim, że młodzi panowie zdążyli już wydeptać bruki i omieszkać poddasza wszystkich stolic. Z nieustannych zaś komentarzy pana Downara i kłótliwych opowieści młodych wyrobił sobie rychło jaki taki obraz ich życia: oto młodzi panowie za swe ubóstwo, lichą schludność odzienia i nieukładność wschodnią lekceważeni wszędzie przez swych „burżuazyjnych” po Europie kolegów, napastowani brutalnie przez obcą policję, wycierali ławy po aulach wszystkich cudzoziemskich i pogardliwie wobec nich obojętnych duchowych „mater”. Kryjąc się zaś ze swym niedostatkiem po stołecznych gettach wszelkiej biedy, nasiąkali – jak przypuszczał – nie tyle kulturą, ile krzywdą i fermentem nędzarzy całego świata. W obecnej prośbie o doradę szło im o „studia społeczne” dla osłodzenia sobie omierzłej „techniki”, której uczą się dla chleba.

– Panie!” – akompaniował im pan Downar westchnieniem – u nas trzeba być bohaterem, żeby „uprawiać pole nauki” – wołał, nie zapominając w swym wzburzeniu i o obowiązkowej kwiecistości wyrażenia, skoro mowa o nauce.

– Nauki? – powtórzył profesor mrukiwie, patrząc z ponurą niechęcią na „encyklopedystę” pana Downara za tych dwóch jego adeptów.

Tłusty szlachcic z Litwy baczył na to wszystko z daleka jednym okiem i uchem, wreszcie rozkiwał głowę, zasapał złośliwie i zanucił niespodzianie na nutę „Tysiąc walecznych opuszcza Warszawę”:

– Tysiąc zżydziałych włóczy się po świecie!...

– Panie! – nastąpił na niego pan Downar, z impetycznym trzaskiem swych poplątanych jakos palców – panie, tą drogą dochodzi do nas dziś trzy czwarte niezarobkowej wiedzy. Tą drogą dojdzie kiedyś...

Zakaślał i nie mógł mówić dalej. Hrabiego zagadywała tymczasem zręcznie i zatrzymywała przed obrazami na ścianach osoba duchowna: ksiądz wielkomiejski w wytwornie skrojonej sutannie; w pasie cienki, w uśmiechu słodki jak stara panna.

– Ach, z tego muzeum zwykłym trybem nic nie będzie – machnął ręką na wychodzących panów. – Ale kiedy mowa o sprawach publicznych, pozwoli sobie hrabia przedstawić kilka ziaren, nie chcę powiedzieć lichych, lecz drobnych, skromnych ziarenek, rzucanych przecie z wiarą w naszą ubożuchną glebę.

– „Dzwonek Loretański” – odczytywał hrabia grzecznie wetkniętą do rąk gazetkę – „pismo dla sług”.

A że nie przemawiano do niego, wyczytując wciąż z oczu wrażenie, więc obracał gazetkę w palcach, przewrócił ją do góry nogami. – O, bez wątpienia... – rzekł nieokreślenie i z niezmiernym szacunkiem zwracał księdzu te pobożnie zadrukowane ćwiartki papieru.

Wówczas ksiądz jął mówić o poniechanym biednym ludzie, o fermentach w nim współczesnych, nie znajdujących przeciwwagi w duchu obywatelskim, który odgraniczył się od maluczkiej wyniosłością. A wszak służba i lokajstwo ma u nas tradycję pierwszego związku ludowego (niestety jakobińskiego!) za czasów Sejmu Wielkiego. Obyż teraz było inaczej! A wszak każdemu z nas zależeć musi przede wszystkim na usposobieniu i przychylności tej służby, która go bezpośrednio otacza. Wszakże to pisemko, podtrzymywane jedynie wdowim groszem ludzi najbiedniejszych, będzie musiało upaść dla braku środków. Więc zanim księdzu ręce nie opadną, choć z przykrością, choć przemożeniem się, pomny na niezachwianą cierpliwość błogosławionej pamięci księdza Boduena...

Skończyło się rychło na tym, że w rękach hrabiego znalazła się książeczka czekowa, a jedna jej kartka przed opuszczonymi oczyma księdza.

– Tylko – mówił hrabia nieco zakłopotany – prosiłbym – (o dyskrecję – chciał był powiedzieć) – o bezmienność – poprawił się rychło. – Bo właściwie co ja... ze służącymi? – rozmyślał głośno już dla siebie. – To jest nawet trochę rigolo! Zresztą nie mogę, uważa ksiądz, ze względu na mego Józefa, który jest widocznie innych przekonań, bo przemyca mi nieustannie jakieś odezwy między listami.

– Hm! Jakież to przekonania i odezwy? – zaniepokoił się surowo ksiądz.

– O, nie wiem. Zresztą, choć młody, robi najpoprawniej starego sługę i analfabetę. Więc mi to jest obojętne.

Tak to hrabia, orientując się nieco późno, dolewał sporo zółci do zbyt pochopnego daru. Poczul to ksiądz i starał się czym prędzej zamknąć sprawę, dziękując za dar tak królewski, który stawia pismo na trwałych i szerokich podstawach. W następnym numerze „Dzwonka” znajdzie się najwdzięczniejsze pokwitowanie...

A wobec przerażonych oczu hrabiego łagodził czym prędzej:

– Niby dla uczczenia pamięci... na zlecenie nieboszczki hrabiny matki.

– Właściwie... – (hrabia stawał się nerwowy). – To już lepiej na imię nieboszczki ciotki. O, tak! świętej pamięci Moniki.

– Nasz związek nie omieszka w dniu świętej patronki prosić na mszę zaduszną – rzekł ksiądz, chyląc głowę.

I drobnym krokiem ruszył ku drzwiom gabinetu. Tknięty po drodze jakby inną myślą, odbił się wznesionymi nieco dłońmi o warstwę powietrza, wejrzał ku górze, złośliwy uśmiech szerokich ust zwrócił na drzwi, zza których dolatywał gwar męski – i cofnął się.

– Raz jeszcze dziękuję w imieniu moich tercjarzy! – rzekł podając rękę doskonale krągłym gestem światowego człowieka. A gdy mu dłoń ściskano, wtulił się w ramiona i pochylił postać długą, jak osoba duchowna.

– Ależ to ja, księżę kanoniku, dziękować winienem – odparł hrabia najpoprawniej. Był na tyle uprzejmym, że zechciał zakończyć rozmowę akcentem towarzyskim, aby zatrzeć wzajemne może niesmaki po tych nudnych sprawach pieniężnych.

Mówił tedy:

– Nasz gospodarz jest w zachowaniu się, w atitudach, w sposobie ujęcia sprawy i wytrwałości całkowicie ministrable... Aa – zupełnie ministrable!

Ksiądz zwrócił się tym razem ku przysłoniętym wciąż jeszcze drzwiom do salonu i wśli-znął się giętki za ich portierę.

W grupach panów ukazywał się mundur wojskowy, witany zdumieniem w oczach i przesadną wnet potem uprzejmością gestu. Pułkownik obracał się w tej atmosferze z wschodnią dyplomacją: był dobrodusznie zażyły, pocziwie niedbały, nie oszczędzając sobie po wschodniemu i cichej złośliwości w akcentowaniu swej prostoty wobec tego nadmiaru cudzej gentylezzy. Odnalazłszy na kanapie tłustego obywatela z Litwy, przysiadł się do niego, a raczej dał za jego przykładem nura ku poduszkom i szeptał mu do ucha:

– Z tymi tu ludźmi nigdy nie zażyjesz! Coraz to grzeczniej między nimi i coraz to bardziej ślisko. Każdy masło uprzejmości z oczu i ust sączy, byleś się o niego nie otarł odrębnością jaką, byle życie samo prześlizgnęło mu się gładko po duszy. Żadna ręka tu drugiej mocno nie chwyta, żadna myśl cudzą się dołą nie zatroska. Poodgradzali się tu ludzie od siebie grzecznością, każdy w skorupce swej gładkiej. I wszyscy, rzekłbyś, jednacy. U nas choć ćwieki w głowach – a wyróżniają ludzi. I tym życie pociąga, że ludzie w nim wszelacy; a każdy tym stoi, że od innych odmienny. Wszystko ludzkie jak kleszcz ciebie się tam u nas chwyta: ciekawa bo rzecz, przeciekawa, „człowiek” to! I ona to, ciekawość nasza do ludzi, w dole ludzkie nieraz wiry pociąga, każdego żyć zmusza i, chcesz nie chcesz, twoją prawdę życia z ciebie dobywa. Zadaszewniej żyją ludzie nasi!... Tu się każdy jak robak w sobie zwija, swoje namiętności pod ziemią chowa, jak grób o sobie milczy i jak grób dla drugich się wybiela. Spojrzysz – życia nie dopatrzysz, słuchasz – westchnienie chyba usłyszysz.

– Jak na cmentarzu – he?

– Toż mówię. Jest u mnie Sasza, syn. Ten zawsze na mnie nastaje: „Czego ty, papa, do nich leziesz?” Mało czego! – przywyka człowiek do ludzi. Ileż to lat od sześćdziesiątego trzeciego? I kamień na polu jego trawą porasta. Swój ja język zepsuł, waszego się nie nauczył. Śmieje się ze mnie Sasza.

– Nie lubi nas syn?

– A czort go wie, lubi czy nie lubi! I nie w tym rzecz między ludźmi. Tu on się rodził, tu chował, a bardziej on wam obcy: „No, co u nich? – pyta. – No co? Czego leziesz?” – Młodości i życia nie czuje on w was: ot co!

Tłusty pan nabrał powietrza w policzki i wypuścił je z odętej twarzy jak dym.

– Tak – wydmuchał wreszcie. – Gdy ojcowie współczuć już zaczynają, synowie już lekceważą. Zwykła kolej.

– Nu, Wojciech Stanisławowicz! – mitygował go pułkownik, położywszy mu rękę na kolanie. – Tu to was szlachtę – na honorze polectaj. Dziad generałem był napoleońskim – wiadomo.

Siwe oczki pułkownika dokończyły zezem: „Zatłuścił wnuk!”

Ujrzawszy tymczasem kogoś w tłumie, począł się przyglądać, przechylać bokiem, wreszcie zerwał się z miejsca. Dobroznacna złośliwość w siwych oczach zgasła natychmiast, zatliła się w nich iskra szczerzej życzliwości; a na siwych wąsach i rudawej brodzie osiadła ta powaga prostoty, z jaką tamtejsi ludzie starsi umieją się jeszcze zbliżyć do kobiet i dzieci. Kłaniał się z początku z rezerwą, lecz uradowany wraz wyciągniętą ręką dziewczyny i krzepkim uchwytem dłoni, zatrzęsł mocno jej ramieniem.

– Bóg zapłać, że poznała!... Ot i panna zrobiła się tymczasem. Ile to lat – tam na wsi?... Sześć? Cała wieczność w tym wieku!

Nie wypuszczając jej ręki, odstał nieco w tył i ogarniał ją całą wzrokiem.

– Wszystko, co w dziecku brzydkie było, ładne się stało i „ważne”. Znaczy się, kobieta cała była w tej główce małej. I doła! Bo ja znachor po trosze. Tylko nie z ręki wróżę, a z oczu, gdy jasne, z ust, gdy nie kwaśne. Ot i ten uśmiech! Dla kogo psotny, dla kogo niespo-

kojny, komu co obiecujący, a dla mnie „ważny” – jak życie, jak młodość sama... Daj Boże, jak najwięcej radości! – wołał, ściskając jej rękę aż do bólu.

Nina spręzała się niewolnic w poczuciu rzeźkości wielkiej, jaka wstępowała w nią przed tymi oczami, tak szczerze radującymi się jej młodością. Człowiek ten, widziany niegdyś w dzieciństwie, był mimo wszystko tak dziko obcy jej życiu i stosunkom, że najprostsze słowa powitania z trudem przychodziły na usta. A jednak krzepkość tej poważnej postaci, ukłon jej chrzestny, krótki pobrzęk szabli, munduru nawet barwa i połyski narzucały jej jakby rytmy szparkie. Wstrząsnęła bezwiednie grzywą i, wciąż jakby urastając, rozplomieniała cała uśmiechem otuchy... do samej siebie: rzekłbyś – powitanie ojcowskie, które żwawy puls jej krwi błyskiem w swe oczy chwyciło, jej uśmiechem roziskrzyło się całe, za bary jakby chwyta, w górę podnosi i na konia chyba posadzi.

Hej! ochoty w życiu jak najwięcej!

Jedna z dam w stroju ni to empirowym, ni to w szacie dla osoby brzemiennej – w sukni „reformowanej”, znudzona mdłą gawędą kobiet w salonie i nie odważająca się wejść do gabinetu pełnego niskiego rozgwaru mężczyzn, snuła się tęsknie w pobliżu, wdychając pełną pierśią dymy od cygar. Siadła wreszcie skromnie tuż przy drzwiach palarni, dobyte z wielkiej na przedzie kieszeni swych sukien całą garść notatek i zapisanych skrawków papieru, odnalazła wśród tych szpargałów zapalki, bagaż swój spakowała z powrotem w kieszeń chłonną i, przybrowszy obronny wyraz twarzy, zapaliła papierosa.

Przepuściwszy mimo oczu uważnych całe szeregi panów, stała się nagle czujną.

– Kto to jest? – rzuciła niecierpliwie w pusty pokój, ledwo drzwi zamknęły się za jednym z przechodzących.

– Były przyjaciel naszej diwy – podwinął się nie wiadomo skąd pan Horodyski.

– Ach, tak! – rzekła głuchym altem. – No, to się rzecz tłumaczy. Artystki zabierają tym klepom z salonu zawsze najlepsze kaski.

Pan Horodyski rozpromieniał w okamgnieniu. I, rad tej znajdzie niespodzianej, zatarł suche ręce, gotując się na dobrą rozmówkę.

– Dlaczego to, proszę pani, wśród tylu tu „kasków” ten jeden ma być najlepszy? Nerwy kobiece są wprawdzie przedziwnym dynamometrem...

– Serce kobiety doznaje w życiu więcej zawodów niżli jej nerwy.

– Ale te ostatnie bywają dla niej bardziej nieukozone.

Parskał i chichotał sam, bo dama z niezmaconym spokojem na twarzy pogodnej otrząsała popiół z papierosa. Jego ogarniał już entuzjazm dla otwartego wejrzenia niewiasty świadomej. Nieprędko spostrzegł, że tuż przy nim trząś bruchem dostatnim jegomość o dziwnie lśniącej pełni roześmianych w tej chwili policzków. Pan Horodyski poznał znajomego fabrykanta Szolca i przedstawił go wnet. Dama spoglądała nie bez aprobaty, jak między wyłogami fraka wyciskał się ten brzuch śmiejący, niby dojrzały kasztan z pękniętej łupiny. „Rond point”, nazwała to sobie w myślach. A gdy ją zaleciał błękitny dymek cygara, rozchyliła nozdrza.

– Ogromnie lubię, kiedy mężczyzna pali cygaro – rzekła swym niskim altem.

Pan Szolc w odpowiedzi na ten niespodziewany awans wyprostował krępał postać, wystawił swą małą nóżkę spod brzucha i zaciągnął się mocno cygarem. I to nieoczekiwane podrażnienie fantazji skojarzyło się w nim rychło z łatwą pobudliwością apetytu. Pomyślał tedy, że z tą panią miło by było spożyć na osobności kolację, gdyż takie zwykły jadać dużo i ze smakiem, nie pijąc, podniecają się dziwnie samym jedzeniem i bywają wtedy najciekawsze w sprośnych rozmówkach nad talerzem.

Dama tymczasem wychylała się ku drzwiom do dalszych pokojów, kiwając na kogoś z daleka.

Na progu zjawiła się Nina. Jej jasnych sukien szmer i zwinność przyniosły jakby wiew ochłodny w duszną dymnicę cygar. Po niedawnej rozmowie z pułkownikiem w poczuciu wciąż jeszcze w dwójnasób lekka, tą rzeškością niemal harda, śmiała się ku nim całą postacią, jakby wstrzymaną w skoku: głowy podrzutem pytającym, włosów zuchowatym odgarnieniem z czoła i twarzy otwartej roziskrzeniem ciekawym.

– Ot, jaką ja sarnę wywabiłam na progi – rzekła dama;

Szybkością ptasiego odruchu podrzuciła się głowa dziewczyny w stronę głosu. Zasłyszane słowa i ich sens znalazły się w tej głowie o wiele później. I wtedy dopiero zaniepokoiła się: tym zapatrzeniem się wszystkich i tą ciszą, jaką witano ją tutaj. Teraz osadziła się rzeczywiście jak sarna: wyciągnęła się szyja zdziwiona, zaokrągliły się oczy, na nozdrzach zapulsował niepokój.

– Państwo śmieją się ze mnie?...

– Panno Nino!... Proszę pani!... Ależ, skądże? – wołali jedno przez drugie, jak gdyby budząc się kolejno z zapatrzenia w tej bezwiednej adoracji – dla instynktu.

Pan Szolc częstował damę papierosem, zwracając się na psotę i ku Ninie z cygarnicą otwartą.

– Właśnie, że poproszę! – sięgała zuchowato.

– Pani nie byłaby tak mało zazdrosną o swoich chłopców? – nawiązywała tymczasem dama przerwana łaskotliwością dialogu.

– Kiedy ja nie mam... – wyrwało się z ust już nazbyt prosto i niemądrze.

Zaczerwieniła się w pierwszej chwili, ale gdy przyłożyła usta do papierosa, wydało jej się nawet zabawne.

– Ja bym się z panią nie podzieliła moim, gdybym miała.

– „Nie podzieliła!” – pisał dyszkantem pan Horodyski. I zacierał ręce, strzygł oczy.

– Dlaczegoż to nie? – pytał alt.

Właściwie nic już nie wiedziała, co ma powiedzieć. Do podnoszonego w widłach palców papierosa wyciągały się usta z daleka w długi i niemądry dziób. I tak się do niego przykładła ustami, cmokała w munsztuk, ku coraz to rozkoszniejszemu błyskowi w oczach panów. Wreszcie chwyciła dym.

– Bo... – próbowała nawiązać zerwane nici w myślach, wypuszczając z fantazją smugę dymu.

Już i papieros dawał się łatwo; kłębił się dym w ustach i szczypał język niecierpliwy. W podrzucie głowy i upartym uśmiechu, który z warg mimo wysiłku spędzić się nie dał, był taki rezon i hazard na słowo, że panu Horodyskiemu aż się przymrużały oczy i pulsowały żyły na łysym ciemieniu. W bezinteresownej aż ekstazie gotów był milczeć, stulić się, nie istnieć, byleby móc słyszeć, jak to w takiej główce myśli sprośne jawią się nieomal intuicyjnie. Czerstwiejszy w swej tuszy elastycznej pan Szolc uwijał się żwawo koło dziewczyny; w instynktowej potrzebie praktycznych wszędzie orientacji życiowych „kalkulował” pan Szolc swe pytania. Zagadując ją gwałtownie, odparował niejako od reszty towarzystwa, przyparł do kąta i rozpowiadał coś ochoczo a prędko, przemycając w tej gawędzie raz po raz jakieś pytanie ukryte.

Nina zapalczywie pociągała papierosa.

A on rozpowiadał coś w te dymy przed jej twarzą, mówił poty, aż się dziewczyna zachnęła.

– Z chłopcami?! I ciągle o nich! E, już mnie to znudziło! Czy widuję się na spacerze? Czy mam znajomych? Nie rozumiem.

Zaczęły się w niej budzić jakieś zastanowienia nieokreślone. – Et! – zachnęła się nagle i odrzuciła precz papierosa. Szybkimi ruchami głowy zwracała spojrzenie na wszystkich po kolei i, nie mówiąc ani słowa, skierowała się ku wyjściu. Lecz pan Horodyski rozkrzyżował

ramiona na progu. I tak się obaj zakrzęcali koło niej gorliwie, z tak zabawnie zatroskanymi ruchami, że zagadali wraz i rozproszyli wszystkie jej myśli.

Parsknęła śmiechem.

Wobec tego zakrzęcali się jeszcze gwarniej. Słyszała zaledwie piąte przez dziesiąte...

– Tyle pań prosiło (na uboczu oczywiście), a pan Szolc nie chce pokazać. W Aix – les – Bains kupił ten breloczek, dokąd co roku jeździ.

– I obrazek znowuż jakiś! – wyduła wargi na nich obu. – Byle głupstwo niewymyślne służy za haczyk...

– Na ten najczulszy nerw w kobiecie: nerw ciekawości.

– Och, te niemądre kobiety!

– Takie oburzanie się na wszystkie powiększa tylko gorączkę ciekawości u każdej.

Tym razem spojrzała na nich z zabobonną już nieufnością. Wyciągnęła się znów szyja i rozchyliły wargi niemądrze.

– Ot! – machnęła nagle oburącz.

I zakręciwszy się na pięcie, wybiegła z pokoju.

Nie śpieszyła się jednak do salonu – w nudne, jak jej się teraz wydało, gawędy kobiet między sobą. W sąsiednim pokoju zatrzymała się przed lustrem pod pretekstem poprawienia włosów.

Ramiona wzniesione splotła dłońmi w tyle, na ciemieniu, i zamyśliła się nad sobą przed zwierciadłem. Od kominka biła mną na pokój, a przesycona mglistym pomrokiem wnętrza osiadła zaledwie nalotem czerwonym na tafli lustrzanej, nie wnikając w jej głąb ciemną.

Otrząsała się ze swych myśli i z wyrazem niechęci ku sobie jęła szybkimi ruchami upinać włosy.

Na palenisku osunęło się kilka bierwion, dobywając z zarzewia płomienie ostatnie, tak wartko trzepoczące się ognistymi skrzydłami, tak żwawe w iskier warkoczach, niby w tańcu rozwianych, że ta ich chyżość i swawola zadrzyły – wydało się Ninie – z jej smętku. I poty szydziły z niej, aż nie ujęły wargom tego odęcia w zasepieniu. Zaśmiała się jak dziecko: wraz ze łzawym podrywem – w piersi nie wiadomo skąd zabłąkanym, a myślom zgoła obcym.

Jakby z dalekich mroków zwierciadła wynurzona, skoczyła w lustrzane odbicie w przypochlebnych ruchach postać długa, zaświeciła w odbiciu białą plamą gorsu i kołącym błyskiem małych oczu.

– Ach, to znowuż pan? Boże, jak ja się przestraszyłam – mówiła zupełnie spokojnie. – Pan chyba myślą wyskoczył z ciemnego kąta lub nietoperzem przypadł od świecy tam.

Nie odwracała się nawet ku niemu, obserwując tylko spod powiek jego odbicie lustrzane. Ruchliwe i ostre jak świderki oczy łysego pana śmiały się jakby chytrym posiadaniem jakichś sekretów, a na zajętych jego wąsach dygotały przemilczenia ciekawe. I koło ust dziewczyny na przekór pogardliwemu wejrzeniu błąkać się znów począł uśmiech, niby żuk natrętny, przypadając do kątów warg i przemykać po policzkach ku oczom zawsze współprzymkniętym.

Jego stać było na razie tylko na nieokreślone pomruki aprobaty: w czerwonej poświacie bijącej od komina złościł się śniady puch na szyi dziewczyny i prześwietlały zwiewne kosmyki włosów pod uszami.

– Niech no pan spojrzysz! – krzyknęła nagle. – Tam w głębi lustra coś się rusza. Jeszcze naprawdę nietoperz... Cha! cha! – zaśmiała się mimo drgawki niespokojnej w gardle. – Lub może drugi, taki sam.

– Przeciąg – mruknął – i płomyk świecy drga w odbiciu – tłumaczył spojrzawszy niechętnym zezem na to jej zatrzepotanie się dziwne.

– Cha! cha! cha! – chichotała, zła równocześnie na siebie, że tego śmiechu opanować nie potrafi.

Przez uchylone drzwi wsunął ciekawą głowę pan Szolc, a ujrawszy ich oboje, wywinął się elastycznie na środek pokoju.

„Już pan tu jest?” – witał Horodyskiego chytrym przymrużeniem oczu.

Obaj ci panowie wydali jej się w tej chwili tak ogromnie, tak niewypowiedzianie zabawni, że... Cha – cha – cha! i cha – cha – cha! – zataczała się od śmiechu.

– Ale – doskoczył pan Horodyski do pana Szolca i pochyliwszy się w pałąk, ścisnął jego krępa figurę ponad brzuchem. – Mój kochany panie, ten obrazek w breloku! Pani wyrażała już pewne zaciekawienie.

– Ja nic nie mówiłam! – krzyknęła jakby w przerażeniu. „Nie – pomyślała równocześnie – ci dwaj panowie, ścisnąjący się jak czuła para: Cha – cha – cha!...”

– Ja tego pokazać nie mogę – zażegnywał się i zastawiał dłońmi pan Szolc, by wnet potem wyjąć z kieszeni kamizelki złoty zegarek z krótką dewizką i uwieszonym na niej brelokiem w formie gwiazdki. – Chyba tak na dłoni. Niech Bóg broni pod światło.

– A drażnią kobiety jak koty – spadło z warg Niny w nadąsaniu nagłym.

– Jak kotki – poprawił pan Horodyski. – Że też ja nigdy jeszcze nie widziałem pani oczu, że też pani ma zawsze przymknięte powieki.

– Nie! – szarpnęła się nagle całym ciałem w kurczowym prawie podrzuciu. – O, ja nie mogę znieść tego spojrzenia! – doskoczyła do pana Horodyskiego. – I tych pańskich wąsów: długich, rzadkich, ostrych – właśnie jak u kota... O, ja bym pana biła! – wyskoczyło z ust z przerażeniem dla niej samej.

Łysy pan parsknął w krótki śmiech i zdławił się nim, bo opadłszy w fotel, zamilkł prawie: w tak częstych i tłumionych drgawkach śmiało się całe ciało jego. A ramiona wywijają mu się w tej radości ponad głową jak skrzydła wiatraka.

– Ależ temperamencik!...

Wszystko, co Ninę bawiło jeszcze przed chwilą tak niepomernie w szalonych wybuchach niemądrego śmiechu, wszystko to stało się nagle nieznośnym, dokuczliwym i drażniącym aż do łez hamowanych, do spazmu chwytającego za gardło. Wystarczył jeden rzut oka na pana Szolca, aby się w wargi zacisnęła uparta nagle zawziętość: im, sobie, światu całemu na złość.

– Teraz niech mi pan pokaże ten obrazek – rzekła, siłąc się na spokój. A że się certował i jak fryga koło niej kręcił:

– Teraz ja chcę! – krzyknęła nagle, tupiąc nogą. I sprężyła się cała przed nim.

Panowie przeczuli się znaczącym spojrzeniem, bo oto powieki dziewczyny rozchyliły się po raz pierwszy, ukazując małe jak grochy, złotoczarne, złe, niespokojne źrenice.

W skok znalazła się przy panu Szolcu i wyrwała mu z kamizelki zegarek z brelokiem; lecz ledwo ramię podniosło się z nim do świecy, opadło gwałtownie – rozeszły się palce ręki, opuszczonej w sprężeniu odrazy.

Pan Szolc schylał się po swą zgubę. I jakby nie prostując się wcale, przepadł z pokoju. Panu Horodyskiemu podrzuciły się aż długie nogi na fotelu, a ptasia głowa dziobała w torsji śmiechu własne kolana, kłuła je jak sęp padło, kołyszając tylko łysym ciemieniem.

Ktoś poruszył drzwiami – długi pan stropił się wnet, zakręcił i znikł: myszą skrył się do nory, nietoperzem utonął w mrokach zwierciadła, z których był wystąpił. I jak mysz, jak nietoperz pozostawił po sobie tylko odór swój: woń pomady i tłustych perfum, męski zapach, starokawalerski „bukiet”.

Na kominku dogasały tymczasem głównie, osuwała się ze zwierciadła pulsująca mną, pozostawiając na nim tylko żółty blask świecy, a na tej chłodnej powierzchni odbicie jej twarzy, jak gdyby nagle nie do poznania zmienionej.

Pulsujące płomienie policzków przyblakły, odbite w zmaconej toni; psota, co błąkała się po nich nieustannie, zgasła niby płomień zdmuchnięty; w bruzdach, jakie pozostawiła po sobie, osadzała się przekorność wzgardliwa, spoglądająca przed się otwartymi oczami i twarzą, rzekłbyś, naga; jak gdyby te spojrzenia i gawędy rozdarły nie dostrzeżony przez innych woal, szeroko rozchyliły powieki, przygasiły lica, by spod tęczy baniek pustoty i rojenia wywabić niepokój cielesności dojrzałej.

Otrząsała się gwałtownie grzywą i miała włosów przed lustrem. Lecz ramiona opadły wnet jak ołowiane ciężary. Przysiadła na fotelu, szukając w tym osłabieniu oparcia; głowa zwisała na piersi.

Znikła gdzieś ta rzeškość rytmiczna sprzed niedawna, to urastanie w lekkości radosnej, ta krwi otucha serdeczna. Jej rytmy szparkie z tętnic na nerwy przeskoczyły oto i, trzepoczące się przed chwilą w śmiechach niepohamowanych, pulsują teraz w drgawce wewnętrznej, rade jakby rozprząc wszystkie spoidła cielesnego ładu i stępiwszy myśli, wyostrzyć, przeczulić zmysły niespokojne, każąc im słyszeć, czuć, przeczuwać przez ściany dziesiąte – wyolbrzymiać wrażenie każde.

Oto myślą bezładna, czuciem apatyczna – wszystkimi zmysłami natomiast w dwójnasób czujna, słyszy z daleka kroków miarowych chód tak siebie pewny, że wszystko naokół drgać z lekka poczyna w ten rytm, zwiastując niby marsza tłumioną muzykę tych kroków stęp coraz to bliższy.

Mocno wybija się idący takt, drzwi pchnięte rozwarły się wszcz. Szabli do boku przyciśniętej szczęk, ostróg zberknięcie krótkie i u siwego czoła wystawiona dłoń:

– Cześć – mam – klaniać się!

Pułkownik zachwyił w oczy bystre ten jej gest mdły, spojrzenie niepewne oraz rumieniec przelotny. „Hm! – mrucał w brodę, gdy minął już pokój – naszego tu brata, co wróbli na tę wisznię! Wiadomo: owoc dojrzwały musi być zerwany, inaczej zwieje go pierwszy wiatr i zdepcze pierwsza stopa. Nie daj Boże, zostanie na drzewie: robak stoczy. A na gniłki urodzaj to u nich sławny!”

Ktoś ujął go pod ramię. Ta łaskawość protekcyjnego gestu zjeżyła go odruchowo, lecz ujrzawszy przed sobą rozwidlone baki gospodarza, jednym drgnieniem „ułożył się” cały w ruch i wyraz człowieka, obiecującego zabiegliwość. Patrzył tedy czujnie w te rybie wargi w jamie włosów, cedzące słowa tak skapo i blado, że trzeba było je sobie w myślach dopowiadać i dobarwiać za pana, który tylko myśleć raczył i chrząkać niecierpliwie, gdy jego intencji w lot nie pochwycono.

Dowiadywał się tedy pułkownik z tej zmuzy, że korespondent berliński ma sobie polecane od grupy kapitalistów, „interesujących się sprawą komunikacji u nas, wybadanie gruntu w rzeczach tej kolei okólnej – nie tyle finansowego, ile...” Wprawdzie koncesja wydana jest „spółce obywatelskiej”, w tym charakterze pragną ją tam widzieć, ale miejscowe czynniki może będą bardziej ustępliwe dla tej nowej, berlińskiej kombinacji...

– Mój kochany pułkowniku!...

– Zrozumiałem.

– Jest i druga sprawa. Ludzie zaangażowali się w te place w śródmieściu majątkami całymi, a o ulicy ani słyszą. („Zresztą i pułkownik masz przecie swój dział.”) Należałoby tę sprawę pchnąć argumentacją, jaka tam trafi do przekonania. Ulica otworzy okazałą perspektywę na cerkiew, przesunie ku niej niejako dzielnicę całą i nada miastu przez to pożądany może charakter. – Et caetera i tam dalej! – brzmiało najwymowniej z tego wszystkiego.

– Zrozumiałem.

– Mój kochany pułkowniku!

I gospodarz położywszy mu rękę na ramieniu sterował pułkownikiem jak nawą, holując go przez rojny od gości pokój do sąsiedniego bufetu.

– Mój kochany pułkowniku!...

– Zrozumiałem! – zaśmiał się pułkownik tym razem. Ale gospodarzowi nie było do jego złośliwości. Zaczepił go kilkoma słowami do kogoś z obecnych, mrugnął na służbę i wymknął się rychło.

Pułkownik wolał jednak pozostać sam.

„Ty, bracie, potrafisz żyły wyciągać z człowieka! – rachował się w myślach z gospodarzem. I teraz dopiero, jak gdyby prostował grzbiet, otrząsał się cały, wyciągał garścią sumiasty wąs. – I naprowadza taki «tasku» na duszę, że człowiek samemu sobie mierźnie. To jest u nich najwyższa szkoła dyplomacji: być tak bardzo interesującym; słowo żadne nie śmie zadrgać życiem. Pies by mój zaskowyczał, gdybyś ty go pogłaskał. Żonco to twojej powinszować... Nu, i czort z tobą!” – odmachnął się ręką.

I tak wypił za zdrowie gospodarza.

Rozmyślał cierpko, wystając po kątach z talerzem pod brodą, to przysiadając przy rozstawionych gęsto stolikach, to snując się znowu między ludźmi. „Masz przecie pułkownik i swój plac. Masz, powiedział. Nachał! A masz, boście mi go wetknęli gwałtem... Chadatajstwo – mrucał – machlerstwo po waszemu. Czort i z wami.”

– Nalej!

I pił tak samotnie dalsze zdrowia.

„Czego ty, papa, do nich leziesz? – mrucał w brodę, siadłszy gdzieś na uboczu. – A ty nie leż!... Dobrego tu w nich mało, a zło jest za mądre, za chytro-kryte jak na nas. Oba my przy nim dumę jak chłopcy. To korespondent zagraniczny, to agent kapitalistów berlińskich, «interesujący się» podmiejską komunikacją. A tam i fortami przede wszystkim... Oto czego on miłośnik!” – mrucało mu basem w piersiach, gdy wargi zacinęły się zawzięcie, a złe, nieufne spojrzenie ogarniać poczęło wszystkich obecnych w pokoju.

– Jaśnie pan każe?

– Niczego nie każe. Chcesz, nalej. Tylko mnie nie rozpytuj o swe „wódeczki”; wolę już: nalej, z jakiej chcesz „flaszeczki”. Że też u nich każde słowo musi być ckiwe i fałszywe! Ty służył w wojsku?... U, obraził się za „ty”! I poniechał „jaśnie panem”. Honorni oni tu wszyscy!

„A ot – mrucał dalej do siebie – założyli «spółkę obywatelską», ale gdzie tu u jaśnie panów dziś tych milionów znaleźć; wiadomo, Niemiec przyjąć musi. Za miliony swoje i jaśnie panów wnet znajdzie, i «spółką obywatelską» się nakryje. Będą i grafy, jest i baron, będzie i ruski pułkownik. Akcjami przecie obdarzą. Widzisz, Sasza, pajęczyna to jaka!... Ni! – odmachował się wskazującym palcem, na którym nosił obrączkę – pułkownika tam nie będzie. A akcje wasze to przepiszcie sobie na muzeum, na bibliotekę, na stypendia czy na ekspedycję polarną: jak tam z sesji wypadnie. Oj, czmucaż, czmucaż głupim ludziom głowy! Dwóch by zechciało: zrobiliby. Ale im nie o to przecie. Po wierzchu muzea, sztuki piękne, biblioteki, stypendia, ekspedycje polarne – to żeby swoim głowy zadurzyć; pod spodem «spółki obywatelskie» – to żeby nam piaskiem w oczy rzucić; a na spodku, na dnie samym – Niemiec.”

– Puh! – wydymał pułkownik powietrze z piersi wzdętej; czerwieniał i bladł na przemian.

„Widzisz, Sasza, do czego oni tu doszli... O ulicy nowej chcesz wiedzieć? Na cerkiew to naszą Żydy z nowych kamienic patrzeć będą i ublażać się, i umilać. Widzisz, tak to oni za jednym ręki obrotem: i swego Boga się wyparli, i cudzym pohandlowali.”

Po chwili, nie zapiawszy nawet mundura, przeciskał się szerokimi bary między ludźmi. A że gniewny i nieufny w tej chwili, więc mówił już tylko po francusku: „Pardon!” – roztrącał i przepychał się bez ceremonii. Wydostawszy się z zapachu jadła i napojów, wstąpił w dymną atmosferę cygar. Jeszcze jedne drzwi i owiała go ledwo uchwytna woń perfum, ochłody i świeżyzny pełne tchnienie kobiece. „Zażywnie tu u nich” – pomyślał.

I równocześnie dogoniła go tutaj melodia rozchwiejna.

„Tańcuja” – rzekł do siebie znacznie łagodniej.

A gdy stanął na progu salonu, gdy w roztopię światła zaroił mu się przed oczami, niby karuzela barwna, ten wir rozkołysany, jakby w rozmarzeń gestach łagodnych pod muzyki i pogwarków kobiecych kapryśnie cichnące rytmy – wówczas pułkownik począł głaskać brodę.

„Elegancko!” – pomyślało mu się niespodzianie po polsku.

Z drugiego końca salonu gospodarz złowił go spojrzeniem i zbliżył się wnet do żony – pochylał nad jej uchem. Wstąpiła między pary wirujące i w mimowolnym rytmie walca prze-

mykała się lekka przez labirynt taneczny. Liniami sukien smukłych, rzekłbyś, pływająca, jak wąż giętka na tej błędnej ścieżce, wychyliła z tłumnego zamętu wprost na pułkownika uśmiech twarzy jak zorza jasny i otwartą dłoń przyjaźni.

Przerzucony z bufetu w to oślepienie światła, przed barwną karuzelę zwiewnych szat i otwartych biustów kobiecych, podrażniony widokiem tej giętkości niewieściej, która w rojnym tłumie węzłem się przemignie i maskę obłudy z taką lekkością na oblicza wkłada – odymał się pułkownik coraz to nieufniej.

„I na co to wszystko? Po co tak przechytry krok ich tu każdy? Jakie sprawy tu zawile, jakie losy tu się ważą? Po co te przyjaźnie, umizgi, świadczenia i obłudy? te stosunki szerokie, te sławnych śpiewaków po swych salonach prezentacje, te sesje o sprawach publicznych i cała ta szkoła dyplomacji... parszywej! – zerwała się w nim wreszcie pasja tłumiona. – Czego ty, papa, do nich leziesz?!... A ty nie leż! Młodości ty u nich szuka!...”

Z tanecznego zamętu wywinęła się tymczasem jakaś para tuż koło niego. Młodzieniec kłaniał się pannie, rękę jej wypuszczając, i cofał się powoli; muzyka wiodła go lekkim krokiem wprost na inną, pochylała przed nią, w pół ujętą zatrzymać kazała w oczekiwaniu taktu, by stopy zwrotem mocnym wkołysać ją miękko w rytmy walcowe.

A pierwsza ani spojrzała za nim, cała w sobie pulsująca, wichrem własnej uciechy wciąż jeszcze owiana. Niby skrzydło motyla trzepał się w dłoni chybkiej wachlarz niecierpliwy pod te nozdrza pulsujące i oczu przymrużenie czujne.

Pułkownik poznał Ninę i kiwał głową:

„Nie wysiepiesz ty w tym ochoty swojej – mrucał pod wąsem – nie wytańczysz jej całej, nie wybłyskasz uśmiechami!... A wścibskie to musi być! A ciekawe życia jak sroka gnata!... Żal twej ochoty i sił daremnych!... Czemu ty nie ruska! Zażyłabyś duszoj!”

Toteż niedługo tu zabawił: ledwie muzyka ścichła, wracał chmurny do bufetu.

Pogonił za nim wiolonczeli ton podrywny, zaczepny, za poły jakby targający, i basetli chichot niski, niby pijanego śmiech; a ponad nimi skrzypiec zew aż łkający w rozśmiejach radosnych – musowała lekka pianka powierzchni życia, pianką jeno pustą wypełniając czarę młodości niejedną.

„Dziś! dziś! dziś!” – łaskotała wiolonczela wszystkie wyobraźnie krótkie na tokowy dzisiaj płaś. „A bo my to jacy – tacy! Jacy – tacy!” – hukala inna basetla jurnym śmiechem sylena. A skrzypce ochotą aż rozelkane przynosiły jakieś strzępy pieśni podarte spazmem niecierpliwości – niby bachicznego chóru echo idące.

Wyrwały się tymczasem pary na ochotnika i harcowały bezładnie. Powściągał te animusze i ustawiał szyki wodzirej tak lekki i posuwisty w kroku, że, zda się, kółka miał u stóp, gdy się tak snował bezszelestny i obiegał uśmiechnięty kolisko całe.

Nina już się tu znalazła. A że stopom zbyt długo czekać wypadło, więc pod muzykę niecierpliwą płaśała w biodrach kibicią giętką.

Oto basetli pohuki rytmiczne i wiolonczeli rozmarzyste tony wiodą naprzeciw niej tancerza wyzwaniem twarzy otwartej, jakby przy wąsa podgamieniu, przy kontuszowego wyłoga podrzucie, pasa ujęciu hardym i nóg zatopotaniu. Odpowiadała na to wezwanie wdziękiem starodawnym, ustawiona w cichość warkoczową, w dzierlatki płochliwej wtulenie się dziewczęce. Za ręce ku górze wyrzuceni sunęli przed się: on głuszcem poszumnym, ona kokoszą drobiącą.

I wiedli za sobą klucz par długi w rozruchu tanecznym.

„Dziś! dziś! dziś!” – naganiały ich rytmy dziarskie w boisko ochoty. „A bo my to jacy – tacy! jacy – tacy!” – wydymała piersi i gardziele pycha basu pijana. A skrzypce tej ciał młodych fantazji rzucały pod stopy melodie jakby z łopotu proporców dalekimi wichry zdmuchnięte: piosnki dawnej ochoty, co krwi własnością już się stały i na żyłach chyba grają, gdy tak w uszy wichrem uderzą i wskroś przez całe ciało przeleczą jak skry.

Tańczono mazura.

Przez, szparkę drzwi rozchylonych ręką nieśmiałą przemknęły się chyłkiem dwie dziewczyny i przysiadły ciche na uboczu. Stropiła je powaga wnętrza: rozglądały się w potulnym zaciekawieniu po tych półkach, czyniących z wielkiego pokoju labirynt stosów książek sięgających aż po sufit. Siedziały milczące, wyprostowane w namaszczeniu kościelnym. Zorientowawszy się jednak, że nie ma tu nikogo, jęły szeptać między sobą, zrazu cicho i lękliwie, potem coraz to swobodniej.

– Jak pani cudownie tańczy! – westchnęła z zachwytem osóbką w białej wełnianej sukni zapiętej surowo pod szyję.

Nina przyjęła tę pochwałę niechętnie, nawet się ręką z lekka odmachnęła.

– Ile w pani życia! – wzdychała dalej blada osóbką. – Tak dawno nie widziałam ludzi pogodnych, że gdy patrzałam tam na panią, ciągnęło mnie coś, żeby się z panią poznać. Och, i tańczy pani inaczej niż te wszystkie kobiety. O, ja chciałam w ręce klaskać!

Nina kręciła się na miejscu... „Ech!” – miała w myślach za całą odpowiedź. Nie lubiła żadnej przesady, a tej kobiecej, to już instynktownie znosić nie mogła. Zresztą gdyby jej tańiec chwalił mężczyzna jaki, słuchałaby pewno uchem czujnym, ale kobieta chwalać wdzięki innej to był dla niej sąd żaden i egzaltacja tylko.

– Niech się pani nie gniewa – głaskano ją po rękę widząc Niny sztywność wobec tych pochwał. – Ja tak zdziczałam, tak od ludzi odwykłam, że mam wrażliwsze spojrzenie na to wszystko od innych. I za nic na świecie bym tu nie przyszła, gdyby nie Lena poczciwa, która mnie siłą prawie do siebie ściągnęła, mówiąc, że mnie to właśnie uleczy. I miała słuszość. Ale, prawda, jaka Lena jest piękna, jaka wspaniała! O, ja mogę zrozumieć nieboszczyka Woydę – westchnęła.

I zapatrzyły się gdzieś nagle, zaszkliły jej ciche fioletowe oczy.

Nina, na tajniki cudzych sentymentów czujna po kobiecemu jak detektyw, spoglądała spod oka na tę skromną i wątlą osóbkę, nie biorącą udziału w zabawie i rozplywającą się w ubłożeniach i tęsknotach cichych. Leczy się tam nie wiadomo z czego – „ze zdziczenia”, powiada sama.

– Gdzie pani była ostatnimi czasy? – zagadnęła ją tedy.

– Dziwnie mi przed panią o tym właśnie mówić – odpowiedziała ze swym dobrotliwym i jednostajnym uśmiechem. – Mnie wczoraj dopiero puszczone.

– Skąd? – niecierpliwiła się Nina.

– No, z więzienia – kończyła zdziwiona potrzebą tak wyraźnych tłumaczeń.

Nina podrzuciła głowę. Patrzała milcząca w bezwiednym rozchyleniu nozdrzy.

– No, za malców z ulicy – tłumaczono jej – że się schodzili u mnie.

– Ach, że pani dzieci uczyła – zrozumiała Nina wreszcie.

– Dzieci! – zaśmiano się w odpowiedzi. – Oni chyba w kołyskach dziećmi nie byli. Wie pani, że oni mnie okradli. Skąd to wszystko na jaw wyszło. Ja ich mimo to bardzo lubię – mówiła wszystko jednym tchem i ciągiem.

Rozplynęły się jej słowa, rzekłbyś, w zaśnięciu nagłym. I ta jej twarz w ramce zapadniętych skroni i wystających kości policzkowych zapatrzyła się przed się swym łagodnym uśmiechem bezprzedmiotowej tęsknoty.

Nina kręciła się wciąż na miejscu, nie zdając sobie sprawy z dokuczliwego niestatku swego. Coś ją odpychało wszystkimi instynktami od cichych ubłożeń i biernych zachwyków bez krwi nadmiaru i jej pulsu niecierpliwego. Zaś pod tą niechęcią czaiła się trwoga przed dalším dziś jeszcze upokorzeniem siebie. Gdy serce przypomniało jej się dokuczliwym na chwilę ukłuciem pod piersią, wyrzuciła się ta trwoga z głębi duszy tym obrazem:

Wydało jej się, że to zakonnica siedzi nad nią, chorą w tej chwili, i swym pobożnie łagodnym uśmiechem zachwycą się Niny urodą, tańcem jej niedawnym, by tak jej zaufanie pozyskawszy, spleść na piersiach suche dłonie i opuściwszy powieki poprosić ją o trzy „Zdrowaś” dla wspólnego odmówienia: bo nigdy nie wiadomo, co nam sądono; zaś święta Brygida, córka królewska, była jeszcze ładniejsza, tańczyła jeszcze piękniej, a jednak...

Otrząsała się cała. I sprężyła za chwilę, jak gdyby tą piersią obfitą odpychając od siebie wszystkie smutki życia. Bo pacierz pokutny był jak smutek, smutek jak śmierć sama ludziom obiecana, a niedola życia czymś najgorszym, bo każącym ukochać wszystkie te okropności.

„O nie – nie – nie!”

A jednak wbrew woli fascynować ją zaczęły tamtych oczu głębie fioletowe, opal tego czoła, żyłki błękitne na wklęsłej skroni, gładziutkie przyczesanie włosów miękkich o barwie niby kora schnącej krzewiny; a w tej włosów firance rysów marmurowa szlachetność i spokój jak spod dłuta.

„Przecież ona jest daleko ładniejsza ode mnie!” – pomyślała Nina z przerażeniem.

I teraz dopiero zainteresowała się nią żywiej.

– Moja panno Wando – przysunęła się do niej bliżej z nagle przypominianą ciekawością. – Jakże tam było? jak? W więzieniu?! – rzekła mimo woli ponuro. I przeraziło ją teraz samo słowo w własnych ustach. – O, mój Boże!

– Wie pani – mówiła Wanda spokojnie – właściwie bardzo źle było tylko przez pierwsze kilka tygodni, zanim nas nie posegregowano. I po nocach. Kiedyśmy w długiej celi na kilku zaledwie siennikach pod ścianą ułożonych leżały jedna przy drugiej i z głowami owiazanymi tak mocno, że aż bolało, żeby tego najgorszego chociażby robactwa do włosów nie dopuścić. I kiedy drzwi się czasem po nocy otwierały, a te białe głowy podnosiły się z ziemi jedna za drugą. Najczęściej wpychano taką z ulicy – wie pani! Ta, pijana najczęściej, klnie przede wszystkim strasznie, za chwilę opowiada coś wesoło, czka, z ust oddaje i znów opowiada. A potem, bywało, że położy się tuż obok. Wtedy całe ciało zamiera po prostu ze wstrętu w kłodę drzewa, w kość, a w głowie tylko jeden jęk w odpowiedzi na to wszystko, co się słyszało przed chwilą. I znów się drzwi otworzą: biorą po nocy na śledztwo.

Ninie wysunęła się szyja, jakby w stężeniu nagłym. Wargi wystawiły się w dziób niemądry, a powieki mrużyły się migotliwie, jakby pod światło. Gdy nagle rozciągnęły się szeroko jej usta i w tym kurczowym grymasie zaczęły dygotać, chlupać śliną, połykać ją, a policzki zatrzęsyły się przy tym jak w febrze. A gdy spojrzała w dodatku na te jej skronie wklęsłe, żyłki na nich błękitne, przyglądanych włosów uczesanie... brzydkie – chwyciła Ninę taka łez tłumionych niemocność, że zerwawszy się z miejsca, rozchwiała się w sobie jak na wicherze gwałtownym.

Za chwilę była już w drugim końcu pokoju twarzą zwrócona do książek na półce, dla podbiegłej Wandy twardo opryskliwa, stopą jakieś rytmy sobie dla fantazji przytupująca przy upartym sylabizowaniu oczami łacińskiego tytułu na grzbiecie którejś z książek.

– Taka jestem dziś rozdrażniona – bąknęła wreszcie na usprawiedliwienie. – Ogromnie niemądra jestem.

Aby złagodzić swą opryskliwość, dała Wandzie krótki pocałunek, uderzyła ją w policzek tym pocałunkiem – tak tylko, dla przyzwoitego zatarcia swej szorstkości. Lecz za chwilę, jakby w skoku, ujmie nagle te jej skronie w swe krzepkie ręce, odsunie od siebie tę twarz wątlą i patrzy pod pełne rozchylenie przyróżowionych zawsze powiek: spogląda błyskiem małych jak grochy, złotoczarnych, złych, niespokojnych oczu.

– Ach, ty!...

I nuż ją zasypywać pieśczętą najtkliwszą, całunkami najłagodniejszymi, ugłaskaniem jej twarzy opałowej.

– Moja ty najcudowniejsza, jaka jest na świecie!

Teraz Wanda przeraziła się z kolei tą egzaltacją.

Lecz Nina już otrząsała grzywą swe oszołomienie. I uderzyła w śmiech krótki, łzami jeszcze chlupiący.

A gdy powróciły na miejsce i rozmawiały dalej, trzymały się już za ręce.

Lecz Wanda poczęła się jakby wstydzić jaskrawości swych przeżyć, które tak wzburzyły jej nową przyjaciółkę. Pośpieszyła tedy łagodzić wszystko: – Tak źle było tylko na początku, bo gdy przenieśli gdzie indziej, siedziała już sama; a gdy się do szpitala potem dostała, było już zupełnie doskonale.

– Do szpitala?!...

– O – przypomniała powoli swe przejścia – najgorsze były zawsze wspomnienia tych pierwszych czasów. Potem gdy przychodziła gorączka, to mnie w niej zawsze prześladowało wspomnienie jednej z tych... wie pani!... Żeby pani wiedziała, jakie te kobiety są straszne!

– Które? – pytała Nina.

– No, prostytutki. Taka ciężka, otyła – wspominała Wanda z odrazą – Mańka „Kalosz” nazywali ją – bo one wszystkie mają przezwiska.

Nina otrząsała się ze wstrętem: jakaś nieuchwytna dla niej ohyda wyzierała z tego przezwiska.

– Ta Mańka „Kalosz” naprzykrzała mi się swoją opieką. Usługiwała, zabiegała, pobiła się raz o mnie z drugą, ale za to ciągle rozmawiać chciała: „Po coś pani w tę robotę laźła?”

Więc jej mówię prosto, tłumacząc, jak umiem; myślę: także przecie człowiek – zrozumie. A ona pozwala mi tak mówić z pół godziny, kiwa głową, potakuje, a gdy skończyłam, zwiesza wargę i klepie mnie po ramieniu: „Mnie starej... (no, nie mogę powtórzyć!) mnie starej będziesz pani powiadała. Za facetami laźłaś w tę robotę albo przez nich zapędzona. Przecież każda kobieta, cokolwiek w życiu robi, to tylko przez tych... no, znów nie mogę powtórzyć, przez tych... (no, «drani» powiedziała). A my przecie we wszystkim, w co oni nas pchną, mamy więcej i wytrwania, i chytrości, i wszystkiego, co trzeba. W naszych sprawach złodziejskich czy tam w waszych: słyszała pani, żeby kobieta kiedy zdradzała? Chyba że się zemścić chciała. A oni? Hej! Oni wszystko złe w życiu robią, oni siebie nawzajem niszczą. A i waszych sokołów napatrzyłam się przecie, gdy tu pod kluczem w sępów się zamieniają. A my do nich, takich czy innych, jak te ćmy. I do ostatka. Bo my same z siebie to nic. Chyba za mąż się dać lub... się. Tyle tylko potrafimy z siebie.”

Obu dziewczynom omiękły blade w tej chwili twarze, jak gdyby ich oblicza nie znajdowały jeszcze wyrazu dla takich wrażeń i myśli. Wanda tymczasem przypominała tego grubego, o nie golonej twarzy, z oczami wilka – cywilnego, który naprzód laźił za nią przez kilka dni po mieście, a potem trącał i popychał jak ciele, gdy wiozł przez miasto w dorożce wśród nocy głuchej. Potem wróciła znów do wspomnień o Mańce „Kalosz”, o jej „chłopcu szykowym”, który Mańce wszystkie pieniądze zawsze zabierał i bił ją strasznie. Mańka miała pierś niegdyś nożem przez niego rozprutą. Pokazywała: takie wielkie, obwisłe, obrzydliwe piersi!

I tak oto Wanda rozgawędziła się prawie ochoczo; choć mówiła ze wstrętem, widać było, że by chętnie tak do jutra opowiadała. Z równym wstrętem i równą ochotą słuchałaby i Nina. W oczach dziewczyn zapaliły się niedobre błyski: nie ciekawości bynajmniej – przelala się już dawno przez brzegi wyobraźni – lecz jakby zaszczepianej w tej chwili żądzy za nękiem i udręką duszy własnej w tym musowym zafascynowaniu ostatnimi dołami człowieczeństwa i rozkładającymi się w nich trupami dusz; jak fascynuje przepaść wrażliwe zmysły dziecięce, jak to czyni w ich snach gorączkowych jama wężowa.

Lecz oto Wandzie przeskoczyła myśl na pogodniejsze wspomnienia, na tych jej chłopców z ulicy, których uczyła.

– Och, jacy oni żywi!... Wie pani, że powagą nic z nimi nie zrobi, a pogodą wszystko. Oni mi się nieraz przyznawali, gdy który z nich co chapnął.

– Co znaczy chapnąć? – pytała Nina.

– No, ukraść – zaśmiała się Wanda. – W więzieniu poznałam dwie złodziejki, ale młode i naprawdę miłe. O, te się nikogo nie bały, każdemu odpowiadały hardo i z każdego drwiły. Raz się pobiły z dozorcą. Och, jak się pobiły! – klasnęła Wanda w ręce w przypomnieniu. – Potem poznałam jeszcze, wie pani, tynglówkę, piętnastoletnią zaledwie i ładną, bardzo ładną! Ta także okradła gościa w hotelu. Och, ona była zepsuta strasznie! Ale śpiewała ciągle. Ona dała w twarz... Cha! cha! – zaśmiała się oto Wanda po raz pierwszy serdecznie, całym ciałem – dała w twarz!...

Obu dziewczynom oziębły czy też opierzchły zęby w ustach suchych między zgrabiłymi teraz wargami.

A w oczach paliły się wężowe błyski. Nina drżała w sobie; a że serce przypomniało się przy tym bólem niewyraźnym, więc się poczuła niepewnie na krześle. Sięgnęła po jakąś poduszkę skórzaną opodał, rzuciła ją pod stopy Wandy i przysiadła tak u jej nóg na ziemi. Ujęła jej rękę długą i jak lód zimną i położyła ją sobie na czoło.

– Nie kasłaj! – mruknęła po chwili w zadumie.

A gdy tamta sięgnęła po chustkę, podrzuciła uważnie głowę. – Mój Boże! – szeptała po chwili w pełnym przerażenia współczuciu.

Milczały obie.

I zmory życia najplugawsze, wszystkich nędz i krzywd pogńębienia otoczyły rojem ciemnym te głowy dziewczęce. A przez tę chmurę przebijały się przecie dla ich wyobraźni promienie pogodniejsze: zło roześmiane, zło niepotulne, gnuśności sporne, zło mszczące się za krzywdy; zła hazard i wyzwanie, fascynujące dusze młode, wyrosłe w pogńębeniach duszy i gnuśności okolnej.

W sali bilardowej, służącej zarazem jako gabinet do palenia, zbierali się panowie, prostując swe członki oraz instynkty po nazbyt długiej wobec dam gentilezzy. W szerokiej tedy niedbałości ruchów i w pilnej potrzebie opowiadania sobie rzeczy sprośnych zawiązywały się przy papierosie łatwe kamractwa: brudne gniazda męskiej plotki, pierwsze instancje życiowego sądu, przez które przechodzi imię każdej kobiety z towarzystwa.

W żółte stożki światła nad zielone sukno bilardu wychylały się tymczasem głowy na potylicach od pomady lśniące i krótkie przy nich rzuty ramion. Słychać było kuł grzechot, stukanie liczników, czasem jakieś urywkowe słowa w echowym wtórze ust innych, w dziwnie upartych glosolaliach i przyśpiewach nieustannych: dymna atmosfera ekskluzywnie męskiej czczości w koncercie wygłosów bezmyślnych.

W kącie pod oknem zebrała się inna gromadka. Tam zwracał uwagę ktoś o wyglądzie nieco zakrystiańskim wobec frakowych panów – jegomość w tużurkowym stroju o szerokim, szpakowatym zaroście wokół kościstej twarzy. Uwijał się koło niego zabiegliwie i opowiadał coś żwawo niski blondynek z bródką francuską i paryskim pośpiechem w mowie i gestach. Rozpowiadał z entuzjazmem o jakiejś nowej „l'affaire” paryskiej i dziwił się niepomiernie powszechnej tu obojętności dla niej.

– Piasek to przecie! – mruknął tużurkowy jegomość. – Przesypuje się to w ich klepsydrach i czas im znaczy. A nam co z tego?

– Tam gazety umieją i z tego piasku ukręcić bicz na życie. Trudno, taką jest już zależność wielkowiejskiego życia od wytworzonej atmosfery. Tam rządzi ludźmi potęga, o której my tu pojęcia nie mamy: zaraźliwość rytmem życia. Tam ustokrotnia ludzi potęga widowni życia jawnej. To jest scena obowiązującego gestu: du grand geste! – entuzjazmował się niski młodzieniec szerokim wyrzutem ramienia i mimowolnym wspięciem się na palce. – My o jego wpływie pojęcia wprost nie mamy. Jest to widownia piorunowych odruchów tłumnej wrażliwości, momentów uzacniającego nawet łotrów, gdy na nich spojrzeć oczekiwanie publiczne: inspiracji scenicznej! Na tym wulkanie ziemia jest trampoliną dla skoczków, u nas wsysa ona każdy krok jak torfowisko.

Rozległ się z kąta głuchy pomruk aprobaty; oczy wszystkich zwróciły się w stronę tużurkowego jegomościa, leżącego bokiem przy stole. Ale on wygłosił w tym pomruku wszystko, co miał do powiedzenia; dopiero poczuwszy na sobie wyczekujące spojrzenie kilku panów, przewinął się na krześle i zsunawszy ciężar ciała na brzeg siedzenia, plecami o poręcz zawiśły, zdecydował się mówić.

– U nas – rozpoczął głosem opieszalym – gdy po orce całodziennej wyjdiesz na ulicę, zastąpi ci drogę kaleka lub sierotka i zanosi się szlochem: „Ga – ze – ta swojska. Niech pan kupi, bo jeszcze nic nie jadłem.” Kupujesz tedy i wraz z tymi kilkoma wiadomostkami ze świata musisz przełknąć jakieś piołunki i ulepki arcylokalne, wreszcie pocznie cię cnić. Ciśniesz gazetę i szukasz czym prędzej czegoś, co by po tej lekturze ożywiło. Przejdziesz jedną ulicą: po prostu jak przed hotelem gubernialnym – dziewczki, Żydy, alfonsy, policja i trochę publiki za dziewczynami. Przejdziesz drugą: pyszny i rojny bazar powiatowy. A reszta ulic – jak głębokie kamieniste dna kanałów. Wracasz tedy na „czwartak”, uśmiechasz się do swego szpiega, który się portierem nazywa, dostajesz za to klucz i sam się dobrowolnie zamykasz między te żłoby „kawalerskie”, w ten świat trywialnej rozpusty, sekretnych chorób, brutalnej nędzy, szpiegostwa, wstępu i brzydoty.

Wyliczeniem tych rozkoszy ożywił się najwidoczniej, bo wyjął kułak z kieszeni.

– Tej brzydoty nachalnej; która zastępuje ci drogę na każdym kroku i policzkuje każdą twą pogodniejszą chwilę! – wśród tych samodurów ekliwych: przywykli przecie, polubili, ucackali sentymentem wszystkie te „swojskie” brzydotki i wstęćiki... Idziesz tedy do sąsiadów, w ich nędzarne stancje studenckie, między te gaduły ciepło – serdeczne: pysk pyskowi rad, a nuda dobroduszna kuma. Wstępujesz w tych stancji woń zatechłą, gdzie dymią bez końca brudne samowary i cuchnące papierosy – na te ich dysputy: na żar gadania i zamór ducha. A gdy taki sam zostanie, na tapczan się wali: nie ma sił samemu stać, wszystko z duszy wygadał precz, słowami postrzępił; nawet nie uszom, pyskom wszystko rozdał. Powtórzą to jutro innym gębom. Duszę na kiesel rozdygotał w sobie tą potrójną trucizną: z wschodniego samowara, wschodniego papierosa i wschodnich doktryn. A teraz choć łapę własną ssij, ochoty do życia ci znikąd nie przybyło; a na dnie duszy goryczy tyle, że świat by zatruć mogła... Wylegniesz tedy w okno i patrzysz w bezsłoneczną studnię podwórza, gdzie między brzemiennie baby, rachityczne dzieci i rozgadane sługi weszła katarynka ze szpakiem i całym pudłem wróżb w życie nęcących – losów bujnych, bohaterskich przeznaczeń. W te kilka gwiazd na skrawku nieba wyje dusza beznadziejna. Ot, wam atmosfera! Ot, rytm życia!

Te słowa ponure zaciążyły ludziom po prostu na piersiach: oddychano sapliwie w milczeniu.

Ten i ów nie wytrzymał: zrywał się z miejsca i dreptał po pokoju w nadmiernej obfitości ruchów, jakby w instynktownej nagle ich potrzebie.

Opowiadający tymczasem postanowił wstać: krzesło, wyprzedzając jego opieszalą wolę i nieskore ruchy, trzeszczało pod nim już od kilku minut. A gdy się wreszcie podniósł, zdał się niedźwiedziem na tylnych łapach. Kołysał się tułów na rozchwianych nogach, oczy przymykały się przy tym, nos wtulał w policzki, a usta chciały się jakby na całą twarz rozedrzeć: ziewał całym ciałem, wydłużały się prężnie wszystkie ścięgna, kurczyły wszystkie mięśnie zastałe, rozłaziły się stawy zakrzepłe – przeciągał się sam kościec w ciele zależałym. A ten ziew epicki przechodził w chytre, kosę wejrzenie oczu i złośliwe rozedrganie warg.

Odszedł wreszcie.

Ludzie patrzyli już spod oka, trącąc się łokciami. Niejeden mrużył się podejrzliwie: „Czyś ty aby, bracie, przy zdrowych zmysłach?” Gdy jeden z drepczących po pokoju zatrzymał się przed kompanią, zacierając ręce wciąż z tą pasją ruchliwości w gestach, zwrócił się do wszystkich:

– Hm, pokazuje się, że nawet i czas, sam Chronos we własnej osobie, uciekł od nas do Paryża, gdzie skacze po trampolinie ziemi francuskiej. W zastępstwie jego nawiedziła nas Sy-

billa Kaługi, Kostromy, Tweru oraz innych grodów sympatycznych: nuda bizantyjska, matuszka udręki i okrucieństwa.

– No dobrze – przerwał znów inny – czemu ten pan w takim razie sam nawet siedzieć nie zadaje sobie trudu, tylko leży zawsze na krześle.

– Bo niegdyś brał zanadto żywy udział w „ruchu”. Zesłali go przeto między swoje „bohaterzy najmłodsze”, które, jak wiadomo, w oczekiwaniu „czynu” leżą na zapiecku. Tam też odzwyczaił się od siedzenia i spoziera na świat, jakeś pan słyszał: no, nie a vol d’oiseau. Zresztą, jakeś pan również słyszał, stracił wiarę w samowar i doktrynę: pozbył się kręgosłupa.

Ale w kompanii znalazł się ktoś, potrafiący coś więcej opowiedzieć o ponurym niedźwiedziu, który ich opuścił przed chwilą.

– Wczoraj właśnie – jał opowiadać – spotkałem go na ulicy, jak się tak błąkał niby „po dnach wyschłych kanałów”. Żał mi się zrobiło tego luzaka, zaciągnąłem go do knajpy. I dacie, panowie, wiarę, ten siwizną przyprószony człowiek wchodził do pospolitej restauracji jak smarkacz do dziewczek: tak się rumienił, tak opinał w marynarkę. Wreszcie przyznał mi się na ucho, że on „do knajpy, to nigdy!” A w głosie miał przy tym drżączkę, wzruszenie grzechu najwyraźniej. Po kilku kieliszkach był już gotów. Sam, powiada, „jedynieńki” w milej ojczyźnie nie jestem, psa koło mnie nie ma. I tak w nim to zwierzę towarzyskie zaskomli, że wbrew wszystkim swoim instynktom stara się być nawet frywolny – niby, że mnie przypuszczalnie tym dogodzi. Oto wchodzi ktoś z dziewczyną niebrzydką, mój kompan nietrzeźwy mruga na mnie i czyni gest aprobujący jej urodę. A jest przy tym taki figlarny, taki zuch, że dość spojrzeć na tę szpakowatą głowę, aby odgadnąć, że nią nigdy nie rządziły kobiety. A ta brawura sprzed chwili podnieca go najprzód swawolnie, za chwilę roztkliwia wspomnieniem. Niebawem zwierza mi się po pijanemu:

„Kochałem ja się, bracie, w panience. I jak to w każdej ciasnej kompanii, w każdym bractwie smarkaczy, gdzie jeden drugiemu łapę by w serce wsadził: obstąpili mnie jak to kukulczę. I tyle było mego w życiu! Później nie zdarzyło się kochać w panience. Za twarde na to życie nasze.”

Z cierpką żałościwością dolewam mu tego wina. „Stare dziecko” – myślę. I aby coś powiedzieć, pytam: „No i cóż się potem stało z panienką?”

Spojrzał na mnie tymi zmalowanymi oczami, potem gdzieś ponad moją głowę błąkać się nimi począł, a twarz wykrzywia mu się w jakiś uśmiech kosy, chytro – melancholijny, niby współczucia pełen, a nękiem i udręką samego siebie, rzekłbyś, prawie ubłożony: wstrętny uśmiech! Maskę jakąś obcą człowiek na twarz włożył. I zamruczał wreszcie w brodę, jakby sobie tylko:

„Ofelio, idź do burdelu, powiedział Hamlet słowiański.”

Zmroził mnie ten człowiek. Już teraz nic nie wiedziałem, co on za jeden. Obcy on! – to tylko czułem. Niebawem władowałem go do dorożki. Kiwał się, drzemał. „Patrz – mówił po chwili, rozglądając się naokół – wszystko mi było takie uśmiechnięte, rade, skoczne w życiu: panienką miasto mi było moje, kochaniem świat cały, gdy własna krew w żyłach krążyła, gdy mnie z ławy szkolnej...”

Uwiesił mi się na szyi. „Wylej mi, bracie, ten ołów roztopiony z żył! Spala mózg ten ich ogień ciężki, spala nienawiścią do życia!”

I znowu dumał długo. Wreszcie wali się przodem na dorożkarza: „Masz trzy ruble – śpiewaj. Smutno zaśpiewaj!” Uważają panowie, żeby mu zaśpiewał... do – rożkarz. Słowo daję!

– Fiaker?! – pisał młodzieniec z dwubarwną wstążeczką na kamizelce pod frakiem. I zatrząsał się śmiechem. – Fiaker?! Nie! – Podkreślając jakby fizjologiczną grę rozkoszy, jaką daje śmiech, śmiał się szeroko, rozpasanie, trochę dla siebie, o wiele więcej dla innych: zapraszająco dla wesołych, arogancko i bezczelnie dla tych, co śmiać się nie chcą; śmiał się gemütlich. Trząsał brzuchem, ślinał się, słał głową i szukał dla swej pulchnej rączki oparcia o kufel: ale kufla nie było.

– Ho – ho! Fiakry śpiewające! – I krotochwilna wyobraźnia knajpianego w Niemczech bywalca, na pismach humorystycznych wypasiona, klownicznie niewybredna, przedstawiła mu asfaltową ulicę wśród pałaców, rojną od pojazdów, a na ich kozłach fiaków rozwalonych w ceratowych cylindrach na tyle głowy, z lewą ręką wraz z lejcami na piersi wezbranej, z biczyskiem w gestach patetycznych.

– Fiakry śpiewające!... O tempora, o mores!...

I na ten własny koncept burszowski ryknął z gardła, piersi i brzucha zdrowiem i weselem karmnego ciała.

Lecz oto przez uchylone drzwi wpadły do palarni odgłosy wszczętego tańca – panowie rzucili się do wyjścia.

Przy poniechanym bilardzie zabawiał się ksiądz potrącaniem kuł nieudolnym. Zaszedł go tak pułkownik i, jakby zmieszany za niego tą nieprzystojną dla osoby duchownej rozrywką, chciał go wyminąć niepostrzeżenie. Lecz ksiądz wyciągnął do niego dwornie rękę, ścisnął ją z lekka i powrócił do swej obojętnej rozrywki.

– Ksiądz gra? – odpłacał się pułkownik tymże uprzejmie niedbałym tonem.

– Gdzie tam! – roześmiano się w odpowiedzi, odrzucając kij na sukno.

Zaś aby tego nie wzięto przypadkiem za troskę o brak namaszczenia przed chwilą, jak to łatwo mógł sobie wyobrazić człowiek inowierczy, skłonny może w duszy ku wszelkiej pompie prymitywnej powagi – ksiądz podsadził się lekko i przysiadł na rampie bilardu, rozkołysany nogami.

Pułkownik ujrzał pod suknią pantofelki z klamrą. Ta postać giętka, o rękach drugich i nerwowych, o subtelnych rysach wygolonej twarzy i uśmiechu niedbałym przyniosła mu znów to tchnienie feminin, jakim się przesycił w salonie. W dobrozacznych oczach zapaliła się iskra szydu, gdy w myślach stali mu ciężko obuci i chmurni brodacze w swych tułubach szerokich, z wielkim metalowym krzyżem na piersiach, ich ręce krzepkie, pod nimi zwisie torby rękawów: ramiona, jakby do błogosławieństw i przekleństw zawsze gotowe. I tak mu się zarysowały głucho te dwie postacie, niby symbole dwojakiego napięcia energii gromadnych na tej odwiecznej rubieży dwóch światów, na jakiej mu żyć przyszło.

I choć swego obrazu do Bizancjum nie odnosił, tu wraz z pasją o Rzymie pomyślał. I wnet dodał w duchu:

„Wy tu nie tylko na swoją niemoc chorujecie, lecz i na Rzymu zgrzybiałość, na Francji zniewieściałość, na Niemiec gruboskóre zmaterializowanie... Czorczi wszystkich nacji swarzą się o duszę waszą.”

Przez pokój kroczył ciężko ku drzwiom jegomość w tużurku i odciągnął ku sobie uwagę pułkownika. „Myślałbyś, nasz brat!”

– Któż to jest? – zapytał księdza.

– Komierowski. Brat pani.

– Komierowski – powtórzył pułkownik jak echo. I coś mu się w przypomnieniach snuć widocznie poczęło, bo marszczył czoło. – To ona tak z domu będzie? A rodzina z Radomskiego – he?

Łowił w pamięci przypomnienia widocznie dalekie, wreszcie mruknął jakby do siebie: „Stryj to jej chyba będzie. Michał – a jakże! – Michał mu było na imię.”

I rozgadał się nagle:

– Pan Komierowski Michał ojcu dwadzieścia koni ukradł i wszystkich ludzi folwarcznych pociągnął. Pocztem wielkim szedł pan Komierowski Michał – „do lasu”. A fantazję pańską miał! List do nas grzeczny po francusku napisał: jeńcem wojennym chciał się mieniać (trzech kozaków gołych w kąpielni raz przyłapał). Jenerał! Głównokomandujuszczy! A ludzi miał: dmuchnąć! A co się z nimi nadokazywał! No, ale też i czortowscy ludzie to byli!

W polu – jastrząb o nich wiedział, w lesie – sam bies ich zgubić musiał.

Urwało się nagle pułkownikowi, oczy zmrużone błąkały się czas jakiś po suficie, a potem, jakby w pogoni za czymś pierzchłym, wybiegły, zda się, jeszcze dalej.

– Gdzie te lasy dzisiaj!... Gdzie te dwory!... Przerwał mu nagły śmiech. Ksiądz ześlizgnął się z rampy bilardowej i ujawnił się w talię wąską aż się zataczał w rozgłośnym śmiechu.

– I dałby kto wiarę: na tym skończył, że... że zatęsknił!

Ksiądz osunął się w wielki dziadkowy fotel, plecami rzucił się w jego głąb – i śmiał się wciąż.

Pułkownik błąkał się jeszcze gdzieś spojrzeniem, a draśnięty tym śmiechem i ocknięty z zadumy zachnął się cały i mruknął cicho w brodę:

„Śmiej się, czuczeło!”

Lecz śmiech księdza urwał się nagle jakby w czkawce nerwowej. Wiotka jego postać zsunęła się po siedzeniu śliskim, wysunęły się spod długich sukien pantofelki z kłamrą, głowa, na oparciu pozostała, wtłaczała się w piersi, ręce, o poręczach łokciami wsparte, splotły się na piersiach.

I tak się zapamiętał, zastygł w tym ruchu Stańczyka.

W gabinecie gospodarza leżała sina chmura nad pochylonymi grzbietami. Pracowały cygara i wyrzucały się karty z dłoni. Cisza zalegała tutaj, podkreślana pomrukiem rozwagi i stateczności ludzi dojrzałych. I świece na zielonych stolikach paliły się surowo; żółte ich płomyki stygły za dymnicą siną, płonęły twardo jak oczy panów pod hazard już wszczęty.

Do tej komnaty skupienia wtargnęła nagle fanfara muzyka szeroka, rytmami posuwista i tak w swym umiarze stateczna, że panowie pojęli ją od razu jako apel do swych stanowisk i godności. Bez przeciwwania się tedy i bez zwłoki powstawali wszyscy po kolei i chrząkając zwracali się za gospodarzem w stronę najgodniejszego z obecnych – siwego nababa z Ukrainy. Zrozumiał. Podczasawszy tedy dłonią czuprynę i podgamawszy wąsiska, ruszył do salonu.

Za chwilę kroczył w czole korowodu, by fantazją głowy siwej i gestu powagą przyjmować pięknej pani skłonienia i łaskę w jej płynnych ruchów pochodzie. Wiodąc jakby rozmowę niemą jeno szlachetnego gestu wyrazem, stawali raz po raz oboje, obzierając się na panów tym oto progiem nie gardzących i na dobrodziejki dziś tak łaskawe. Póki zaś najmiłszych gości połączone pary po sali wodzić raczyli, kapela, w dalszych grająca pokojach, nie śmiała uderzać w instrumenty głośne; dopiero gdy służba drzwi na ścieżaj otwarła, muzyka echem wszystkich komnat zagadała nagle.

Snula się poloneza wstęga aż do stołu białej podkowsy w światel, kwiatów i zastawy rozblyskach.

Do wielkiego jak tron fotelu u czoła stołu podprowadzała już było służba z drzwi niedalekich sędziwego starca, dygocącego głową, ręką i kijem w niej trzymanym.

Damy surowe, małżonki solidnych mężów, siedziały przy wieczerzy w uroczystym skupieniu, przyjmując potrawy i wina, jak ciało i krew Pańską. Te inne, mniej uroczyste: panie białe i pulchne, o miękkich wejrzeniach istot leniwych, dorzucały przez głęboko obnażone biusta swych piersi ciepłą woń do chłodnego kwiatów tchnienia, win meszkowego zalotu i do potraw zapachów pikantnych; jedząc i pijąc dosytnio, promieniowały w powietrze fluidum ciał luksusowych.

Brunetka w skromnej białej sukni, niby w koszulce dziewiczej, pana Szolca jedynaczka, o poduszkowym układzie okrągłej twarzyczki na czarnym jedwabiu swych włosów, słuchała, coraz to bledsza, nieustannych rewelacji z zakresu sztuki i literatury. Pan Horodyski obrabiał tymczasem realiami płową blondynkę o karbowanej grzywce; słuchała jego rebusowych jednoznaczników z dużym zadowoleniem, miała wszakże tę wadę organiczną, że rumieniła się raz po raz na widoku ludzi. Młoda mężatka o rozbieranym języku i niespokojnej nóżce znalazła się szczęśliwie naprzeciwko aż dwóch ludzi popularnych. Przypatrując się rzadkiej minie i niezbyt starannie golonemu obliczu poety oraz udreżonej nerwowym roztargnieniem twarzy młodego muzyka, podniecała swą ciekawość do tego stopnia, że aż zamilkła, pozwalając zresztą siedzącemu tuż obok dziennikarzowi położyć sobie rękę na kolanie; czynił to pod stołem gestem cierpliwej i łagodnej wymówki, jak kładzie ojciec dłoń na głowie niedoświadczonego dziecka.

Panu Szolcowi natomiast szczęście mniej służyło: minęła go sposobność spożycia kolacji przy damie. Tę panią zabawiał hrabia o długiej szyi, z początku nieco odęty na towarzystwo całe i nie wiedzący, o czym mówić, po kilku jej śliskich „powiedzeniach” żywo zainteresowany i „wcale jeszcze niczego kobieta” – mówiący zezem i szyją skręconą. Lecz jego sceptycyzm zużycia drażnił wolnomyślność starszej małżonki, wybujała raczej na tle pewnych prywatności w życiu spokojnym. Wywikłała się z tego cynizmów przeciwieństwa ogólna dyskusja – rzecz oczywista – „o kobiecie”. Hrabia podniecany do coraz to drastyczniejszych powiedzeń przez hazardowny język pani, mówił w doświadczonej niewiasty oczy bystre:

– Kobieta wprawdzie ma duszę, jak nam Kościół wierzyć każe, lecz duszę swego stada, moralność atmosfery, jaka ją otacza, a zmysły swych wielbicieli.

Temperamentowa dama aż się na krzesle podrzuciła wobec tych słów, a odpowiadając mu z impetycznym oburzeniem energii radosnej, rzuciła żywość i swobodę na zgromadzenie całe.

Gwarno czyniło się przy stole biesiadnym.

Pułkownik znalazł się w kącie wyłącznie męskim, mając za sąsiada tłustego obywatela z Litwy; gawędził tedy z Wojciechem Stanisławowiczem. Obu panów zaciekała bardzo królująca przy stole postać starca o soplach siwych wąsów zwisłych niżej podbródka, zadartego ku górze pod zakrzywiony nos: sędziwość wielka wyzierała z tej twarzy zwiędłej w dziób ptaka nie domknięty i woskowego czoła o trumiennym połysku.

– Któż to jest taki? – pytał pułkownik.

– Dziad pani. Major.

– Hm? – rozszerzyły się pułkownikowi oczy. – Czyżby taki żył jeszcze?... Wojsk polskich?

– Kampanię trzydziestego roku odbył jako oficer. Majorstwa dosłużył się na Węgrzech pod Bemem.

– Pod Bemem – orientował się pułkownik szybkim potakiwaniem głowy.

– Za Garibaldiego niósł wolność Neapolowi; tamże ranny. Brał udział w sześćdziesiątym trzecim roku. Bił się jako ochotnik w wojnie francuskiej, w franc tireurach pod generałem Lipowskim.

Pułkownik potakiwał szybko głową.

– Wnet potem walczył przeciw armii wersalskiej pod generałem Dąbrowskim Jarosławem.

Pułkownik drgnął i roztworzywszy już usta kazał długo czekać na słowo zdumienia.

– Komunard?! – szepnął wreszcie.

W energicznym zwrocie w stronę sąsiada pchnął mocno czyjeś ramię; ujrzał wielką rękę w białej nicianej rękawiczce i wygoloną twarz.

– Beaujolais? Pontet Canet? Mouton Rothschild? – usłyszał recytację pytającą. Lecz że całą uwagę miał w tej chwili zwróconą gdzie indziej, machnął tylko niecierpliwie dłonią na znak, by zostawiono go w spokoju.

– I jemu wolno było wrócić? – zagadnął wciąż jeszcze wzburzony.

– Beaujolais? Pontet Canet? Mouton Rothschild? – usłyszał tylko po raz drugi i nieco dalej, gdyż Wojciech Stanisławowicz zajęty był właśnie rozważaniem tamtych pytań.

Więc przeniósł oczy na to czoło gromniczne i wąsy zaporoskie pod nie domkniętym dziobem twarzy. „Oni tu jak Egipcjanie z mumią do stołu siadają – pomyślał po chwili. – Nie dziw, że takiemu pozwolono wrócić” – tłumaczył sobie bezwiedną udrękę dezorientacji w rzeczach prawa.

Pozostawiony przez chwilę sobie (Wojciech Stanisławowicz wciąż jeszcze nie mógł się zdecydować na markę i flaszę), pułkownik obiegał spojrzeniem obecnych, szukając Niny po zapamiętanej barwie sukien. Lecz oto w drugim końcu stołu ujrzał wyniosłą postać gospodarza i ostre jego baki. Stoi sztywno i, udając zajętego szeptaną rozmową z gościem tyłem do niego siedzącym, kierował służbą za ledwie oka jednym zmruczeniem i lekkim wykrzywieniem rybich warg w jamie włosów. „Jak to u niego tu sprawnie wszystko idzie – podziwiał pułkownik – i jak spokojnie. Także «generał» – ichniego tu dziś życia.”

I z dobrozaczłą złośliwością w siwych oczkach rozglądał się dalej, zatrzymując wzrok tym razem na pięknej wnuczce starca. Niebawem zadumał się nad tym, jak ta kobieta urasta, szlachetniejszą i jeszcze piękniejszą się wydaje w chłodnej pozie reprezentacji. „Tu dziad! – myślał – tam stryj! tu brat! kto wie, czy nie z takichże. A tam jeszcze przodkowie pod Jena czy Somosierrą; dawniejsi może i na Kremlu byli... Nu, i baronowa Nieman! – zakołysała mu się broda – reprezentująca męża geszefty i pychę.”

– A ty mi z twą łapą w pierzatkę nicianej pod bok nie leż! – wybuchnął nagle w purpurowej pasji. – I nie gadaj mi w koło to samo: wszystko jedno, ja się nie znam. A ja nie Polak: udawać nie będę. Wyuczyliz papugę po francusku!... Ot, Wojciech Stanisławowicz niech poradzi. On na Litwie znawca pierwszy; po przodkach ma piwnicę sławną.

Wojciech Stanisławowicz wystawił swój kusy piersi z ciężkim herbowym sygnetem. I wskazał na omszałą butlę przed sobą, którą już był zaanektował w całości, wskazał, a raczej pogroził tym palcem flaszki.

– Radzę! – rzekł.

Nie odszukaną przez pułkownika Ninę przysłał pęk kwiatów w wazonie, siedziała obok Wandy, z którą nie rozstawała się już ani na krok; pomiędzy nimi znalazł się Bolesław.

Burza wyobraźni, jaką tu Nina ze sobą przyniosła, sprawiła, że otrząsem gwałtownym witała samą myśl ujrzenia przy stole któregoś ze swych tancerzy, pana Horodyskiego, damy lub pana Szolca. Drżała na samą możliwość jakiegokolwiek rozmowy towarzyskiej, czując instynktownie, że lekka pianka pustoty nie poniesie w tej chwili ciężkich myśli, że gotowa je rzucić od razu na mętne dno wstępu. Toteż z ulgą prawdziwą ujrzała się u boku „Bolka”, jak pomyślała w tej chwili z wdzięczną łagodnością w oczach dla tego towarzysza młodości, którego tu witała tak swawolnie. Podjęła wiązanek, jaką zastała na talerzu, i zanurzyła w nią twarz topiąc po prostu w kwiatach ponure obrazy opowieści słyszanej niedawno.

Wanda siedziała sztywno, blada na twarzy jak chusta, splecione ręce wspierając o brzeg stołu. Uchyliła również potrawy wszystkie, zanurzona jeszcze wyobraźnią w obrazy wspomnień ponurych. Podjęła kielich, z którego nie piła, i spoglądając znacząco na Ninę:

– Za zdrowie tych, o których myślę. Nina spłonęła w mig zachwytem dla tej tajemniczości tego toastu.

– O kimże to paniątka myślą? – pytał Bolesław opieszalym głosem.

– O, to jest zupełnie co innego! – odparła któraś z nich surowo.

Ciężar tamtych opowieści tak oto z serca sobie zdjąwszy, oddały wnet całą duszę łagodnemu współczuciu dla niego. Podbijał dziewczęce wyobraźnię w tym kierunku widok diwy królującej w słońcu. Majestat cielesny tej kobiety, luksus wielkostołeczny bijący od niej oraz jej aureola sławy światowej zginały po prostu obie dziewczyny. Więc zakrzętały się przy nim, jak przy rannym, któremu winne były troskę i opiekę.

Nie spostrzegły, jak porozstawiano wszystkim wysokie czarki i jak cisza czyniła się powoli naokół. Tuż naprzeciw nich powstał z miejsca jakiś pan uprzejmy i, szeroko rozstawionymi palcami wspierając się o stół, pochylał się respektownie w stronę diwy.

– Dostojna pani! – rozległo się w ciszy.

Profesor, siedzący obok czczony diwy, począł trzeć sobie dłonią twarz. Puszczał ten toast mimo uszu; pod koniec jednak nie wytrzymał i wychylił zza dłoni okulary złote i zez oczu ponad nimi. Słuchał:

– ...Pozwól tedy, czcigodna pani, która chwałę imienia polskiego roznosisz po świecie, abym w twe ręce wypił na cześć sztuki polskiej!

Nina instynktownym odruchem chwyciła Bolesława z całych sił za rękę i tak go przykuwała do miejsca, bojąc się nawet w twarz mu spojrzeć w tej chwili.

A gdy się trącić wypadło, diwa, uchylając się od kielichów wyciągających się ku niej, zwróciła się, jak należało, do starca, który kazał służbie podjąć siebie z fotelu. I czy te oczy ludzkie w nią zapatrzone, czy też technienie wielkiej sędziwości tej postaci targnęły w niej niespodzianie nerw starej aktorki. Przy stole pychą wielkiego biustu pod brylantami chłodna, teraz jakby różdżką czarodziejską tknięta, zdrobniła w oczach, zatuliła się cała wdziękiem nieśmiałości doskonale zrobionej: Małgosią, Halką, dziewczyną się stała, przypadającą ustami do ramienia sędziwego starca. W głębokich dołach kości osadzone orle oczy zapatrzyły się w nią swym szklanym blaskiem: starzec zdał się wiedzieć i rozumieć to jedno tylko – że ta u jego ramienia „dziewczyna” chwałę imienia polskiego po świecie...

Suche jak szpony ręce chwyciły tę pochyloną głowę, ściskając z drżeniem wielkim miedzianozłoty czub aktorki.

Goście podziękowali obojgu aplauzem wzruszenia. Ręce Wandy nie zdołały się złożyć do oklasku: musiała je czym prędzej zarzucić na twarz, by ukryć łzy tryskające do oczu i drżenie warg niepohamowane.

Swobodny rozgwar przy stole, muzyką bezwiednie kołysany, kaprysił mimo woli w jej rytmy ciche. Nawet damy surowe zarumieniło wino i długi wysiłek sztywności. Mężatki białe i pulchne, syte ucztą i w energii cielesne zasobne, chyliły ochoczo biusty otwarte ku młodzieńcom bladym, niby na wety rozmarzeń. Zaś ta najdorodniejsza, z semickim wyrazem nudy na ustach, słaniała lica mleczną urodę w rozpuchach i czerni swych włosów, jak w kirze smutku co najgłębszym.

Dla niej to chyba zdmuchiwał te tchnienia żaloby muzyk skrzypcowy ze strun jakby wibrujących czyjeś namiętności dla niej daremnie przebrzmiałym w życiu krzykiem; zwiewał jakby tęsknotę z maski pośmiertnej, jakby z ust zastygłych westchnienie, jakby spazm z piersi, których... wcale nie było. I niby lokaj wysłużny podawał ten romantycznie zagrobowy pocałunków żar w walca rozkołysanego rytmach, w pieściwej serenady tonach i jakby w słowach co najtkliwszych dla uczuć biesiadnych. Pod smyczkiem muzyka przypochlebnym pulsował ten walc na wety ucztę podany głębokim oddechem sytości. I płakały równocześnie struny w serenady zew, jakby przed tą dwoistą czarą kobiecej pieśnyczoty, podawanej bladym młodzieńcom na pól obnażonych piersi ponętą:

Do ciebie płyną te rzewne tony,
O, wymarzony,
Błogi śnie.

Cichy fiolet Wandzinych oczu wysączył z głębi swej najczystszej łzy ubłożenia.

Nina nie wypuszczała dłoni Bolesława z swej garści krzepkiej.

– Bajukać umiecież wy tu życie! – rozległo się nagle głośnym basem – mistrze wy tu jesteście w dusz usypianiu: stare głowy odumiać, młode oczadzać!... Sam czort by głowę na kolanach kobiecych cicho złożył, ogonek by przez ramię przerzucił, kieliszek by wachał, póki by nie zasnął. „O, wymarzony, błogi śnie.” Ot i szczęście wasze dzisiejsze!

– Kwietyzro – uzwięzłał to wszystko Wojciech Stanisławowicz lakoniczną abstrakcją. Mruknął ją sobie w nos.

Ktoś zadzwonił nożem w kielich, a głos w tłumie zagubiony obwieścił biesiadnikom:

– Łaskawie tu obecny i przez nas wszystkich ukochany poeta, pan Wawrzyniec Warski, przeczyta na powitanie diwy wiersz okolicznościowy.

– Ślicznie! – rozległo się wesołym basem (pułkownik nie zachował miary w winie).

Równocześnie zza wielkiego bukietu w wazonie wyjrzała chyłkiem, ukryta dotychczas, głowa Niny:

– Gdzie?!... Który? – który? – gdzie?!

U boku pułkownika zatrzymał się tymczasem starszy z tej tu służby, nie golony i noszący się z większą powagą. Stał i czekał cierpliwie, a gdy zwrócono na niego uwagę, pochylił się do ucha, jak człowiek zaufania:

– Ordynans do pana pułkownika – meldował.

A pułkownik, przechylając się w tył wraz z krzesłem:

– Z armii wielkiego Napoleona? Hę? Jak to u takich wszystko wysokopamie być musi! A to prosto: deńszczyk lub kozak. Niech poczeka na schodach. Proszę zanieść mu tę moją orde.

Lecz on nie odstępował z miną zatroskaną i szepnął jeszcze ciszej:

– To coś bardzo ważnego: kazano natychmiast odszukać. Konia, widzę, w bramie zostawił. Z sztabu jeneralnego będzie czy też placokomendantury.

Pułkownik skoczył jak sprężyną podrzucony i, zapomniawszy nagle o wszystkich tu ludziach, ruszył chrzęstnie ku drzwiom. Człowiek zaufania postępował za nim krok w krok, jakby tajemniczy strzegący.

W zgiełku, jaki panował przy stole, mało kto zauważył to wyjście hałaśliwe. Zaniepokoił się nim tylko gospodarz i, odrzuciwszy się na poręcz krzesła, szarpał dłonią bak jeden w oczekiwaniu na powrót służącego. Jakoż człowiek zaufania, nie wiadomo którejdy wróciwszy, znalazł się wraz nad jego głową.

Starzec, który przy głuchocie swojej w towarzystwie był jakby nieobecny, obserwował uważnie tę całą scenę. A gdy baron szybkim teraz krokiem podszedł do żony i szeptął pochyłony, gdy coś nagłego przemknęło się po twarzy wnuki, stary wpił się w nich szklistymi oczami; wreszcie wczepił się w jej rękaw i z niecierpliwością dziecka począł ją targać ku sobie.

– Wojna japońska?!... – bełkotał. A wnuka, złożyłwszy swe blade dłonie w tubę, huknęła dziadowi w ucho:

– Wszczęta!

– Aa?!... – wrzasło chryple w gardle starca. I rozdziabiły się zdumieniem szczęki bezzębne. A oddech zaparł się na chwilę. – Aa!... – chwycił go wreszcie z powrotem. I zapadła mu się twarz, zwarła w dziób nie domknięty. Głowa na wyschłej szyi kolebać się począła nad piersią.

Zmieszał się nagle gwar ludzki i przycichł w zapatrzeniu niemądrym. A gdy wszedł pułkownik, błady jak ta koperta, którą trzymał w dłoni, te wszystkie oczy zdziwione zwróciły się w jego stronę. On otwierał już był usta w odpowiedzi na te nieme pytania, lecz słowo polskie nie chciało się w tej chwili przecisnąć przez nie: za „eleganckie”, za wykrętne, za „śliczne” wydało mu się jak na okazję. Nagle podrzuciło mu się ramię. I przybił jak kulakiem twardym słowem rosyjskim:

– Wajna!

A gdy usiadł, wydał się wszystkim zupełnie innym człowiekiem. Inaczej spoglądała na niego i służba: stojąc opodal, wyciągała się mimo woli w strunę. Pułkownik tymczasem z surowym marsem twarzy gonił przypomnienie jakiejś tu twarzy, która najbardziej zaniepokojonym wejrzeniem zatrzymała się na nim przed chwilą; już kilkakrotnie tego wieczora mięnęła mu przed oczami ta głowa. Wstrzepnął palcami: przypomniał.

I począł zaglądać za ten wazon, zza którego wychyliła się niedawno głowa Niny. Bolesław bladł pod tym czającym się wejrzeniem i przygryzał wargi.

– Pan w moim pułku służył, ha? Nas, panie, wzywają pierwszych. Jutro wyruszyć już wypadnie.

Odpowiedział mu kobiecy okrzyk przerażenia, a po chwili z innych piersi cichsze łez tłumionych zachlupanie krótkie.

Bolesław uśmiechał się jakby nieprzytomny – nie odpowiadał nic.

Brzydki nieład zapanował tymczasem przy stole wśród gorączkowych rozmów i przekrzykiwań się grup dalekich. Już i telefon dzwonił na pokojach, przynosząc z którejś redakcji szczegóły wieści. Stateczniejsi panowie chrząchali niecierpliwie, spoglądając na miejsce stołu naczelne, aby im wreszcie wstać pozwolono. Lecz czyje spojrzenie tam się skierowało, ten milkł natychmiast. Niebawem nowa cisza, tym razem bardziej jeszcze głucha, zaległa wśród biesiadników.

Sędziwiec zapadł się w fotel, kiwała się tylko na piersiach czaszka jego gromniczna. Na stole biel poza nakrycie i kwiaty wyrzuciła się ziemistą plamą jego ręka zwiędła o przegubach palcy ostrych jak gwoździe.

I kuła twardymi pazurami jakieś rytmy błędne: targała się jak wielki szpon, by za chwilę opaść bezsilnie. Wówczas rozłaziły się jakoś miękko palce brunatnożółte, długie, niby wypełzłe z trumny robaki.

I kiwało się to truchło na fotelu, natrzasało jakby nad ludźmi.

CZĘŚĆ DRUGA

– Takiego ładnego chłopca zabieracie nam – dąsała się dama dopadłszy pułkownika tuż przy drzwiach od przedpokoju.

– W mundurze będzie mu do twarzy – odparł sprawnie na tresury tutejszej egzamin, jak myślał, ostatni.

Bo ukłoniwszy się damie, wymknął się do przedpokoju. Tu zakomenderował twardo, by mu szynel podano.

– Pudlem już zrobili – mówił do siebie, szamocząc się z rękawami – opalaczył sia!... A tamto? – chadająstwo, cerkwią handlowanie, Niemców sobą nakrywanie? – nu, i spriwisli-nia!... Chwała ci, Boże – mrucał dalej, zapinając impetycznie szynel – jest w czym duszę przewietrzyć z marazmu. Przewietrzysz – zanucił prawie, oglądając się niecierpliwie za czapką – w drugim końcu świata, w ogniu oczyścisz. I zostawisz ją tam pono – kończył, wstrze-pując czapkę energicznie.

W szynel opięty, bardziej jakby w sobie zebrany, zmężniały i w dwójnasób, zda się, wyższy, zatrzymał się tak w nagłej zadumie, w dno swej czapki zapatrzony: stał jak w cerkwi przez długą chwilę. Wreszcie otrząsnął się i podrzucił głowę.

O skrzydła wrót wyjściowych wsparta, stała – na tym tle szerokim ogromnie smukła – pani domu, zagradzając mu drogę na progu. Przez służbę widocznie powiadomiona, zjawiła się w porę.

Pułkownik zmieszał się.

– Uprzejmie – mówił i giął się w grzecznych ukłonach – przepraszam – bąkał – że tak „nieelegancko”, bez pożegnania...

Na długiej twarzy pani migotało przed chwilą jakieś nieuchwytnie ożywienie: coś jakby rumieńce na policzkach, jakby ruchliwość milcząca na tych wargach opieszłych i ciężkich. Lecz wobec zachowania się pułkownika cień nagły zdmuchnął te promienie z oblicza. Spoglądała na niego przez rzęsy zniecierpliwieniem cierpkim. I tą wyniosłością światowej kobiety stropiła go zupełnie. Zrozumiał, że „ta ich grzeczność” jest nieco inna; że on w jej złośliwą karykaturę kładzie przede wszystkim swój własny temperament, gdy rzecz jest zasadniczo zimna. I że służy właśnie jako chłodu zasłona, w chwilach gdy...

„Kobietą jest przecie? – przemknęło mu w tej chwili w myślach – a we krwi ma wszak długie szeregi takich, co wychodzili w pole – aby nie wracać. W innych szli oni warunkach i z inną wolą; a jednak tamtej krwi instynkt może przebił się u niej echem przeszłości przez cały ten szlam mieszczańskiego trybu. Przebił błędnie: ku twojej obcości – myślał o sobie – i twojej sprawie obcej. Chociaż ty u nich «chadającem» był i parawanem w potrzebie, choć ci tylko obłudne grzeczności świadczone z wyrachowania, jednak w tej chwili może ostatniej... To słowo «wojna» działa potężnie na wyobraźnię kobiece... U nas krzyżem, ikoną błogosławią... Z pustymi tu rękami wyszła i z pustym pono sercem, a jednak... W złych obcościach między nami rzecz najlepsza, na jaką stać było, poczęła się w nieświadomości kobiecego instynktu i ugrzęzła w milczeniu dumy.”

– Mam do pana... już tylko prośbę – zaczęła spokojnie. – Dziad mój, który „myślą ani sercem być z wami nie może” (powtarzam jego słowa) – rad by panu rękę uścisnąć, mówiąc (powtarzam po raz drugi jego słowa) – iż „rzecz wojenna to znów całkiem coś innego”. Otóż kwoli tej rzeczy całkiem innej...

Pani mówiła trochę bezładnie i w niezwykłym dla niej tonie niepewności siebie. Widać było, że to polecenie jest jej w tej chwili bardzo nie na rękę.

– Więc może pan łaskawie za złe nie weźmie, ze względu na dziadka wiek, że ośmiela się go prosić i fatygować do siebie.

– Helena Pawłówna, nie obrażajcież wy mnie! – wyrwało się nagle pułkownikowi jakby z głębi piersi.

Długa twarz pani wyciągnęła się jeszcze bardziej, a brwi wielkie napięły się ku górze jak łuki.

– Czymże ja to pana obrażam?

– Pani baronowa doprawdy!... A to: „łaskawie” – a to „wybaczyć” – a to „fatygować”... Toż to sędziwiec jest – drachlec! Starczy jedno słowo wasze!

I zerwawszy z siebie szynel, cisnął go kłębem gdzieś na krzesło.

– Gdzież on? – pytał wzburzony.

– Tam, panie – odpowiadała chłodno – w dziecinnym pokoju.

– To – to: w dziecinnym pokoju! – powtórzył smętnie w brodę.

Szablą na pasie już opuszczoną rumor wielki po salonie czyniąc, przepychał się przez tłum strojny ku drzwiom dalekim.

Pani pozostała na miejscu u drzwi w niemiłym uczuciu jakowejś niezręczności towarzyskiej, poniechania czegoś, co już z pamięci w tej chwili się wymknęło, czy też zgola niewiedzy, po co tu właściwie wyszła: wystarczyło posłać któregoś z panów z tą prośbą dziadka. Wrażenie tak błahe, a nurtujące osmętnieniem dziwnym: oto zapatrzyła się w splecione dłonie opuszczonych ramion i zapamiętuje się w tym ruchu; stoi jak w kościele przez długą chwilę, jakby ją ktoś z tyłu nagle kirem zarzucił i głowę jeszcze niżej zwiesić kazał.

Lecz nieuchwytnie były zarówno te myśli, jak i uczucia: tonęły wszystkie w nieświadomym smętku – pod to zabłąkanie się kobiecego instynktu w życia rumowisko.

Ocknęło ją dopiero zawstydzienie, gdy pokojowy zjawił się na progu i zwiesił natychmiast głowę jakoś nazbyt respektownie.

Alarmem dla młodych zmysłów, niby bębna łoskotem, wzywającym na gwałt nie wiadomo gdzie: tym była dla Niny wieść spadła pod koniec wieczery. „Wojna!” – zapalił się w tej głowie świat cały jakby w czerwonych płacht ognia wichrowym łopocie. I oto w zachłyśnięciu nagłym ten w piersiach wstrzymywany spazm wyrwał się płaczem gdzieś w kącie odludnym: „Bolek! – Bolek!”

On powstał był od stołu w automatycznym sprężeniu. I wykroczył sztywno z pokoju, mijając gwar ludzki błędnymi oczami. Miał to ponure wrażenie, że przed chwilą stało się coś, co pozbawiło go nagle wspólności wszelkiej z tymi tu ludźmi. Niedawno równy tu jeszcze wszystkim, uczył się nagle tak mizernym, że w samego wstępowała ta korność tępa. Rad był, że prócz dziewczyn nikt prawie jego rozmowy z pułkownikiem w tym nagłym rozgardiaszu przy stole nie zauważył; prosił je też, aby nikomu o tym nie mówiły, zwłaszcza gospodarzom. Każde spojrzenie współczujące pognebiało go jeszcze bardziej, wpędzając myśli w jakieś uparte błąkanie się koło ciała własnego. Widział się gołym, stojącym pod miarą: po kolanach biła go jakaś pochwa dla ich sprężenia, czyjeś ramiona mierzyły mu objętość piersi, czyjeś palce liczyły zęby w ustach. Nagiego pchnięto gdzieś między urzędniki nad księgami. Kazano wreszcie wyjść; zmylił drogę jak pies oszołomiony, sam tu goły pośród tyłu czynnych i surowych ludzi. Ktoś zniecierpliwiony popychał go do wyjścia uderzeniem pochwy po nagich pośladkach. Na marmurowej posadzce pałacowego korytarza porzucił był gdzieś pod coko-

łem jakiegoś posągu garść przyodziewku swego. I tu skórą rozdygotany – podrywający stopy ziębnięce na marmurze, ubierał się pośpiesznie w tych podrygach pod barokowym posągim Marsa.

I tak się znęcał nad sobą przypomnieniem tych chwil życia dziwnych, kiedy wszystko człowiecze opada nagle z nas, jak garść przyodziewku żalosna. Mijał ludzi wciąż z lękiem i pokorą w oczach: czuł się jakby goły w towarzystwie strojnym.

I tak zwłókł się do kobiercowego pokoju.

Miękka kobieca woń perfum wchłonięta w nozdrza spotęgowała tylko to poczucie cielesności oraz zmysłowego wydelikacenia w zażyciu. I nagle jakaś rzewność bezmierna wzruszeniem bydlęcego egoizmu zatkać mu chciała w piersiach nad twardym jarzmem konieczności i biczem nieubłagania, jakie ślepą grozą zawisło nagle nad życiem jego.

I oto znów nagim widzieć się musi w tym hipnotycznym prawie stuporze na progu zwierzęcości, w jakim powstał był od storo. Na ustach pałą go wspomnieniem pocałunki śpiewaczki, na grzbiecie piecze wyciśnięta dziś liczba rzeźnego wołu – niby dwa stygmaty młodości.

Po chwili poderwało mu głowę to pytanie, które jakby mu w oczy zajrzeć chciało:

„Cóżes ty z swą młodością uczynił?”

„Patrz, oto twoja pierwsza myśl, gdy tamta wieść przy stole na cię spadła, myśl zagłuszona tkliwym wzruszeniem cielesnego lęku i teraz dopiero dogoniona. Ona to kazała ci z bydlęcą pokorą opuszczonych oczu spoglądać na ludzi wszystkich, ona to przykułać duszę do nagości ciała własnego, ona to wreszcie za latami minionymi oglądać ci się każe. Otoś znalazł wreszcie tę garść przyodziewku, w jaką człowiecza bezsilność zatula się w tych chwilach ponurych obnażeń życia, które zwą się: musem, przemocą, koniecznością. Oto czeka już na cię to jarzmo i klaska już nad tobą bicz nieubłagania. Odziewajże się szybko w godność człowieka ostatnią: w zadumę nad życiem, które oddać trzeba. Otoś się wybił wreszcie z wiewiórczego kołowrotu wspomnień. Myślże teraz wstecz, a nie oglądaj martwą już namiętność wspan! Zrozum dolę swoją! Tam, o mil setki, czeka na cię grób kopany w polu rękami wstrętu czy litości, jak gnijącemu psu. Przystróży się godnie w najdumniejszą myśl młodości. I nie dbaj: słuszna czy złudna! – bodaj to nawet i pstry łachman był, osłonić przecie nagość twoją, a duszę jak tarczą ochroni: ciało tylko oddasz. I obejrzyj no się wstecz; pomyśl: gdzie się zaprzepaścił pióropusz młodości?!”

Skoczna melodia fortepianu, rozegrana kaprysem piosnki znanej, wypełniała tymczasem pokoje wszystkie, dobiegając wraz tej mety, gdzie głos śpiewaczki rozbrzmieć miał i zadzwonić ludziom tych piersi światowym tryumfem. Pod gonitwę fortepianowych dźwięków, prześcigających się nawzajem w rozhlukach wesela, uderzył w powietrze jak w strunę diwy głos potężny.

I wywlókł go ku drzwiom na progi, jak psa za obrozę, aby raz jeszcze popatrzył, jakie to owoce wydały posiewy młode.

Nie mając sił spojrzeć na śpiewaczkę, utkwił oczami na drogim, w kabłąk pogiętym osobniku, o głowie ptasiej i wargach w tej chwili jak gdyby żujących. Ta twarz w monoklu rzucała błędnie ponad głowy ludzkie jakby złośliwość chytrą, jakby niemy koncept figlarny, lecz zastygły i drętwy na obliczu znużonym: ostatni wyraz, jaki czepia się zwiędłych po miastach masek ludzkich. Słuchał czujnie, melodią cały wibrujący, jak oper stołecznych bywalec i śpiewu miłośnik. A gdzie się kierował monoki jego błyszczący i, rzekłbyś, zgasłe przy nim drugie, torbiaste oko, tam uwijał się psotnie przed ich spojrzeniem, tańczył niby kusa marionetka diwy palec wskazujący, na pół długości przysłonięty rubinową „markizą” pierścienia. I tak krwawnikiem płonący, migotliwy od brylantów otoczy w ptaszka naśladowaniu wabił ku sobie palec śpiewaczki, ku tej piersi wzdętej i rozdygotanej pod rezonansem potężnego śpiewu:

Miłość ptak to woli polnej,
Nie zsidłany, dziki ptak;
Łzom i żalom niepowolny,
Smutkom zawsze czyni wspak.

Tę potworną projekcję życia w teatr, w teatr dzisiejszy, gdzie rozpętanie młodej woli imituje coś jakby Beardsleyowskiej megery opiumowa lubieżność – powitał Zaremba gwałtownym otrząsem wstrętu.

A śpiew rozlegał się dalej.

Mężatki białe i pulchne, w energiach cielesnych po uczcie tą pieśnią zniecierpliwione, odwracały od młodzieńców bladych swe czary rozmarzeń dwoiste, preżąc wydekoltowanych piersi pąki wezbrane tam, skąd dźwiękami swawoli rozdzwaniał się południowego, jak myślały, temperamentu żar. Paniątko o twarzyczce okrągłej i włosach brunetki opadło teraz w sobie jak kwiat na spiekocie, pogięła się łodyga kibici wiotkiej, a lico, rzekłbyś, skrytością się pokryło, niby lilia przez żuka już zapłodniona i płatkami się tuląca; już nie mówiono przy niej o sztuce i literaturze: sztuka sama oddziaływała w tej chwili bezpośrednio. Zaś ta najdorodniejsza, o lica mlecznej urodzie na tragicznym kirze włosów, ukazywała w zwilgłej purpurze ust do całowania nieskorych perłowych zębów wyszczerzenie aż bolesne: chłonęła w piersi życia luksusem wyjałowione i żmudne egzotycznych namiętności oddechy. Nawet damy surowe, pomne na toast niedawny, spoglądały na diwę z rezerwą, lecz i respektem, jak na monstrację inowierczą; słuchając pieśni swawolnej, splatały ręce suche o niezliczonych ilościach pierścionków i pochylały głowy jak przed kazaniem. Nieco na uboczu sapał w fotelu ciałem wielkim Wojciech Stanisławowicz: ucztą i winem na twarzy spurpurowiały, wystawiał swój gruby pierst z ciężkim herbowym sygnetem i niby kapelmistrz batutą poddawał takty piosnce Carmeny.

W zawrotach i skrętach kaprysu już piosnki vibracja rozpylała słowa: dzwoniła nuta sama, kaprysiły dźwięki gołe, śpiewały głoski w wyskokach tanecznych:

– La – la – la! – sypało się perel rozpryskiem z piersi śpiewaczki w dźwięki zasobnej.

I te lekkości, bańki mydlane, pustoty wygłosyjak cymbał brzęczące, mózdków ptasich radość i ochota, dźwięczały ludziom w uszach niby fanfara młodości: nęciły porywem wyobraźnie krótkie, biły tęsknotą w skroniach marzycielskich. W motyli barwny tan rozpląsały się rojenia kobiece. Sama gnuśność unosiła się w zefiry. Na skrzydłach jętek jednodniowych siepały w tym błędnym promieniu słońca wyrojem niecierpliwym zapały krótkie, siły bezwolne, energie płonę – młodości fanfara święciła swe tryumfy!

Wśród głów słuchaczy wszczęło się tymczasem zamieszanie nagłe: jakiś zgiełk niewyraźny wmieszał się w dźwięki śpiewu, wzbudzał otrząsy i gniewne obzieraną się ludzi.

Stojący bliżej okna poczynali sobie zdawać sprawę, że hałas ten pochodzi z ulicy i niesie się z daleka gwarem zrazu przycichłym, za chwilę jeszcze głośniejszym. W gesty diwy, nie wiedzącej, co ten szmer wśród słuchaczy ma znaczyć, wmieszał się przelotnie pytający ruch oburzenia. Nie przerywała sobie jednak, pragnąc strofę bodaj dokończyć, zwłaszcza że i akompaniator uderzył odruchowo w mocniejsze akordy. Wpadła tedy i ona we wtór jeszcze większej Carmenowej brawury:

Miłość ptak to nie zsidłany,
Dobru sporny, dziki ptak;
Za wolnością jak Cygany
W błędnej doli wiedzie szlak.

Pod gest i akcent, zgarniający jakby z powietrza wszystkie impety i żary młodzieńcze w głęboki przegub swych piersi olbrzymich – urwał się nagle śpiew i opadło ramię diwy. Szastnęła trenem w indygnacji karzącej surowo publiczność.

Lecz w tejże chwili ktoś w dłonie uderzył, jakby z bicia klasnął.

– Przerwać! – huknął głos basowy.

Pułkownik stał w oknie i roztwierał je gwałtownie. Mroźne powietrze buchnęło na przerażone kobiety, niosąc gwar ulicznego zbiegowiska: męskiego chóru dostrajania się bezładne w pohukach okrzyków monotonnych:

– Wajna! Wajna!

W tumulcie mundurowych wyrostków gubił się chór bezładny i zmaćił rozbrzmiałym nagle głosem orkiestry. Wreszcie zestroił się jakoś: trąb mosiężnym łoskotem rozbrzmiał w hejnał potęgi – hymn znany.

W blasku bijącym z okien parterowych salonu załopotana się nagle w ulicy olbrzymia trójbarwna chorągiew;

– Wstać! – huknął pułkownik instynktownym akcentem rozkazu, lecz zarazem jakby w życzliwym ratowaniu ludzi od popełnienia czegoś nieprzystojnego: – Wstać potrzeba – dawał łagodniej.

Mężczyźni, których to zastało na krzesłach, powstawali bardzo powoli, obzierając się naokół, jakby ustępując sobie nawzajem pierwszeństwa. Kobiety czyniły to początkowo w zdumieniu, że się i damy inkomoduje, potem zrywały się z miejsc w popłochu, jedna za drugą.

W salonie zaległa cisza blada.

– Sasza! – rozległo się u okna i załamało nagle w wzruszeniu. – Sasza! – brzmiało nisko w wołaniu basowym, starającym się przekrzyczeć tumulty uliczne. – Darujcie, państwo! – zwrócił się pułkownik z proszącymi dłońmi w pustkę naokoło siebie, gdyż goście wszyscy odsunęli się od okien ku ścianie przeciwległej. – Darujcie, syn to mój rodzony!

Oschła cisza panowała wśród ludzi z miejsc powstałych. On zaś cofnął się nieco i, pochyliwszy się bokiem, przyglądał się pod światło krzyżujące się refleksy jakiegoś zakłębieniu tych tłumów na przeciwległym chodniku.

– To – to! – mruknął – czapki niech zdejmują... Tylko nie bić!... Nie bić tak!... – huknął nagle całym zasobem głosu z piersi. – Zabijecie!

– Poskoczę ja chyba na ulicę – mówił, cofając się od okna. – Toż i w samej rzeczy zabić gotowi – zwrócił się do gości w salonie z wytłumaczeniem czy też prośbą o radę, co mu czynić należy. – Ta pierwsza iskra wojenna to piorun w wyobraźnię młode. Nie daj Bóg z tym ogniem igrać!

Nikt nie odpowiadał mu nawet próbą gestu, nawet grymasem na twarzy – patrzano w inną stronę. Cisza zimna przykuła się milczeniem do ścian.

Wśród kołem pod ścianą stojących gości na krzesło pozostał tylko Bolesław, w ramie przez kogoś trącony zdał się nie czuć tego, nie podnosił się z miejsca. Głową w bary wciśniętą i czarną plamą włosów wystawioną na ludzi zdał się tępo zapatrzony w sterczące na wysztywnionych nogach lakierki; ramiona opadły wiotko, wydał się w pogarbieniu gorszuli jak biała pierś ptaka, poły frakowe rozrzuciły się na boki: tak zawisał na krzesle. Ogłuszający rozgwar ulicy niósł mu w uszy jakby szyderczy nakaz władz duszy tu wykorzenionych, które teraz na obcego życia potrzebę i skrzepienie w jego piersi i czoło wstąpić winne i zwać się – męstwem.

Uniósł nieco głowę i spojrzał spod oka na kilku stojących opodal panów. Po chwili począł się śmiać sztucznie, szerokimi ustami w oba kulaki swoje, cały w pokurcz pogięty na krzesle.

Lecz niebawem opadł w sobie i zawisł na krzesle jak poprzednio. A gdy powracał do głowy spokój, przy serca głuchym nacisku zatrzymały się znów myśli wszystkie jakby odętwiały na progu zwierzęcości: w tej, po raz trzeci, ponuro już powracającej hipnozie, przykuwającej wyobraźnię do nagości ciała własnego. Gołym się poczuł w tej chwili na krzesle, w obliczu tych wszystkich ludzi strojnych. „Dlatego ci panowie zasłaniają mnie od kobiet” – pomyślał dziwacznym i w tejże chwili podniósł rękę do zalanego potem czoła. I tak się cały w

jeden kłęb nerwów zamienił, że gdy wśród łoskotu orkiestry i pohuków ulicznego chóru diwa w drugim końcu salonu ruszyła się z miejsca, drgnął nagle kurczowo całym ciałem.

I podrzucił głowę.

Jakoż z kobiet obecnych diwa jedynie zaciekała się manifestacją ulicy. I korzystając z pustki pośrodku salonu, teraz dopiero mająca sposobność do całkowitego rozpostarcia trenu, przekroczyła przed oczami ludzi pawim białym w całej okazałości swej szaty królewskiej.

I zatrzymała się przy oknie ostatnim, tuż obok drzwi wiodących do dalszych pokoi – sama jedna na przedzie salonu.

Gdy diwa swą ciekawość i uwagę skierowała na szyby ku tumultom zbiegowiska, skłócił to jej zapatrzenie szmer dochodzący tuż spoza drzwi, przy których stała: coś jakby kroki gwałtowne tłumione dywanem, o tempie tak dziwnie niespokojnym, że w instynktownym lęku musiała odwrócić głowę.

W złotym jakby pyłe mrocznego za drzwiami wnętrza błysnęła jej w oczach jasnozielona plama sukni w ruchu giętkim, przysyłająca czarną sylwetkę męską: rzekłbyś, zmaganie się kobiety z kimś, co się gwałtownie rwał za progi. Szamotanie się rozpaczliwe, w tym ustokrotnieniu sił kobiecych w chwili nagłej: na szyi przed chwilą jak gdyby zawisła, teraz chwije się na nogach odepchnięta brutalnie i odpada jak ptak z rozstawionymi niby skrzydła ramiona i tym rozkrzyżowaniem broniąca wyjścia z pokoju. Lecz oto pada znów całym ciężarem na czyjeś piersi i szyję: prosi, zaklina najwidoczniej.

Przy wrzawie dochodzącej z ulicy działo się wszystko dziwnie cicho; dopiero gdy te tumulty wraz z muzyką i śpiewem przelały się tłumnie dalej, usłyszała diwa spazmatyczny oddech kobiecego wyczerpania i ten szept wyłkany: – Na litość boską, niech się pan opamięta! Nie! nie puszcze pana do niej... Niech pan to porzuci, bo i mnie pan okaleczy... Jezus Maria, nie puszcze! Bij, a nie puszcze!... Bolek, nie!...

Był to już krzyk po prostu wdławiony w gardło: czyjaś ręka w pasji za szyję ją chwyciła w obawie, by nie podniosła alarmu przed czasem, czy też by drogę sobie utorować. I w tejże chwili rumor zgłuszony; odepchnięta, ostatnim wysiłkiem, w padaniu samym zagarnęła ramieniem skrzydło drzwi i przytrzasnęła je swym ciężarem, pozostając tam – wewnątrz: w obliczu tej furii, z którą się zmagiła.

Pod diwą ugięły się kolana. „Czyżby? – nie dowierzała swym oczom. – Więc on rzeczywiście chciał?... I oto skąd przyszła obrona!” Odchodziła szybko w drugi koniec salonu między mężczyzn, by mieć ich pod ręką, w razie gdyby ten szaleniec tu za nią poskoczył. A w swym odwróceniu pośpiesznym zapomniała o trenie: poprzednio w pawim rozkładający się przepychu i biegnący za nią jak fala, teraz oto w wąską smugę się zbił i długim sztywnym ogonem podskakiwał za diwą, śpieszącą podrywnymi krokami z naprzód podaną szyją, postacią jakby wydłużoną i cieńszą; uchodziła właśnie jak ta pawa spłoszona.

Nina tymczasem, rozkrzyżowana na drzwiach zamkniętych i dysząca ciężko, nie spuszczała go z oczu czujnych. W tej chwili stał tyłem do niej zwrócony, trąc dłonią czoło, w opuszczonym ręku trzymał wciąż tę krzywą szablę, ledwo u rękojeści wysuniętą ze spłowiałej adamaszkowej pochwy. Zerwał ją był ze ściany, spośród tej broni wszelkiej zawieszanej pod portretem. Właśnie na tę chwilę nadeszła, gdy zaniepokojona jego zachowaniem się w salonie wymknęła się tuż za nim. Co potem było, ani wie, ani pamiętać nie pragnie. Szamocząc się z nią brutalnie, rzucał jej na głowę, nie wiadomo za co, słowa mściwe: że odrazą przejmując go w tej chwili samo zbliżenie się kobiety, że w tamtym oto cielsku i sadle dusza jego plugawić się jeszcze będzie, gdy ciało pod cudzymi polami zgnije.

– A do tego nie można dopuścić! W żadnym razie nie można! – bełkotał nieco spokojniej w jakimś otępieniu surowym. – Wtedy przestaną chichotać nade mną... I bić mnie.

– Kto?! – krzyknęła.

– Tamci z ulicy.

Ninę ogarnął lęk zimny i zakręciła się jej głowa w obzieraniu niespokojnym, jakby za tą niesamowitą siłą, która przemawia przez niego urojoną rzeczywistością. Lecz na szczęście tamten zgiełk uliczny cichł i umilkł wreszcie w oddali. A on tyłem się oto obrócił i cucił czoło dłonią.

Machnął ręką: poniechał złej myśli. Szablę chowa gdzieś w kącie otomany: zastawia i przysłania poduszkami z cierpliwym uporem dziecka. „Po co on to robi?” – myślała Nina nie spuszczać z niego oczu.

Teraz oto chodzi po pokoju, o niej jakby zapomniał zupełnie, mijając nie widzi.

– Jak to patrzy! – zaśmiał się głosem nagle dyszkantowym.

– Ja nie spoglądam źle – próbowała się tłumaczyć i zapłakała nagle: w siebie, cicho, z całych sił wargi rozdygotane gryząca, by się nie narazić tej sile niesamowitej, która przez jego usta przemówiła nagle brzmieniem zupełnie obcego głosu.

Ale on nie ją miał widocznie na myśli, bo oto stanął przed tą wielką kukłą Murzyna w kącie i zaśmiał się po raz drugi.

Obzierała się w swoich ptasich ruchach głowy na każdy jego gest, każdy grymas tak dziwnie niewłastry. Zwłaszcza śmiech jego przebiegał ją chłodem po ciele: rzekłbyś, maska wykrzywająca się na ukrytej twarzy; widać było przez nią tylko ogromnie czarne żagwienie się oczu i wybiegające z nich iskry niepokoju, jakby ku stu myślom rozwiane.

A on, chodząc po pokoju, chichotał wciąż.

– To bydlę – wołał teraz – trzyma wciąż w pogotowiu swój dzban i czarę. Pamiętasz Woydę? Musisz pamiętać.

Mówiąc to wziął do ręki dzban i czarę. I w tejże chwili cofnął się zdumiony, gdyż Nina bez słowa i gestu osunęła mu się ciężko do nóg i za cofającym się czołgała się prawie z krzykiem prośby w oczach.

Przysiadł na krześle, pochylając się nad jej głową:

– I tyś uwierzyła, że tu w tym dzbanie stoi trucizna przygotowana dla tych, którzy jej zapragną?... Niemądra! – śmiał się wciąż nieswoim głosem.

Na chwilę przelotną gaśnie mu oto w oczach ten rozplamiony nieład i staje w nich zdumieniem spojrzenie pytające, zwrócone do niej wprawdzie, lecz w tej chwili chyba nie poznawanej: czepia się oczami życia jakiego bądź, człowieka, jaki się nadarzył, chwytając się spojrzeniem cudzej duszy, władnej ładem swoim.

Nina nie rozumiała nic w coraz to zimniej szym lęku, lecz stokrotnie mędrszym w takich razach czuciem wiedziała, co jej czynić należy. „Oderwij mu myśli od chwili! – pchnęło ją coś jakby rozkazem gwałtownym – w dal! – koniecznie jak najdalej.”

Wciąż na klęczkach, ramionami o jego kolana wsparta, mówiła w nagłej inspiracji opowiadawczej:

– Pamiętasz, Bolku, jakeś do nas po raz pierwszy na wieś przyjechał i jak ja za tobą jak cień wszędzie chodziłam, naśladując wszystko, coś ty robił, śmiejąc się zaraz, gdyś ty się roześmiał, dziwiąc się, gdyś ty się zdziwił. Takim niemądrym dzieckiem byłam. Gdyś w pole lub do ogrodu wychodził, ja zawsze za tobą, a gdyś podskoczył sobie idąc, ja także podskoczyć sobie musiałam, za tobą biegnąca. A gdyś kozikiem co strugał, ja przed tobą w kuczki siedzę, cała w oczach, w niepokoju, w patrzeniu; gdyś cmoknął niecierpliwie, ja cmoknęłam zaraz, gdyś zaklął brzydko, ja klęłam słowo w słowo. A jak ci się tylko przy tym zajęciu Cośkolwiek nie udało, zaraz gniewałeś się bardzo – na mnie. A gdy ci się powodziło w struganiu, to sobie ze mnie podrwiwałeś gwizdający. A potem, gdy skończyły się wakacje, siadłeś na bryczkę, rad, że wracasz do miasta, sam jeden na dużym siedzeniu: mężczyzna taki! Och, jak ja to pamiętam. I pojechałeś.

Póki mówiła, pochylał się nad klęczącą z ogromną powagą wysiłku, aby skupić się cały na tych wspomnieniach, z których sączyła się cichość jak z południowej godziny na polu. A w miarę słuchania wodził dłonią wpółzamkniętą ponad nią, włosów nawet nie dotykając, jak

gdyby chcąc ugłaskać tamte głowę dziecka, przypominanego coraz to lepiej, coraz to wyraźniej.

– Patrz na mnie! – wołała chwytając go za piersi. – Poznajesz? Widzisz? Wspominaj ze mną, wspominaj ciągle! O, ja wszystko teraz tak doskonale pamiętam: każde słowo twoje, każde spojrzenie sprzed laty... Patrz! Czujesz mnie? Przypominasz? – uwisała mu z całych sił na szyi. – Więc się uśmiechnij. No, drogi! I nie męcz się tak myślą, nie męcz w oczach. O, Boże, Boże mój! – opadły jej na chwilę ramiona.

W oczach jego jakby przez mgłę z trudem przebity, stanął wreszcie uśmiech.

Wówczas ona przewinawszy się jakoś w tej radości nagłej, zarzuciła nań ramiona tyłem i tak uwisała na jego szyi, głową o piersi jego wsparta, cała skrętna w ruchu, jak dziecko w psotnej pieszczocie.

Zerwał się z miejsca, obzierając się, jakby za zgubionym w myślach zamierzeniem. Z kłęczek nie powstała, uczepiona ramion jego czołgała się wprost za nim.

– Zostaw ty mnie lepiej – dobył z siebie głucho. I wyrwawszy rękę tarł nią jakiś czas czoło, przypominając znów zamiar poniechany czy też zbierając z takim mozołem myśli rozpierzchliwe. – Bo przecież ja jutro...

Dorwawszy się znów ramion jego ściągnęła go tym razem z powrotem na kanapę i uwisała mu na szyi, głową na piersiach jego wsparta.

Łopotalo się serce przerażeniem coraz to większym tego słowa jednego:

„Jutro!...”

Jawiły się za nim jakby w pożarnych płomieni łopocie te obrazy wojny, zrodzone w młodej wyobraźni nie wiadomo gdzie i kiedy.

I na nic już nie bacząca, na wszystko inne oślepla i głucha w tej chwili, przy zamkniętych powiekach pełzała prawie rękami po piersiach jego ku szyi, oplotła ją chwytem tonącej i odpowiadając jękiem nieomal radosnym na jego ramion zagarnienie mocne, trafiła wargami na wargi.

Z płaczem pomieszał się śmiechu podryw krótki, w szepcie ust całujących zagubiony i jak płacz bezradny.

A potem już tylko czucie czyjegoś spojrzenia na sobie – na tych piersiach, które pod jego dłonią, przy tym chyleniu się na wznak, z sukien dekoltu same się wyrzuciły dyszące.

– Patrzy! – sprężyła się cała.

„Kto?” – pytał niemo tuż ponad nią żar oczu wilgotny, potem tych białek błyskanie, gdy się te oczy zezem obzierały po kątach pokoju.

Wypląawszy z trudem ramię z jego uścisku, wyrzuciła je w tył, poza siebie, w kierunku czarnej kukły, stojącej tam w kącie z swą tacą mosiężną w łapach wielkich.

On!

I wtulała się znów cała w te ramiona, podsuwając powieki trwogą rozdygotane na oślepienie pocałunków.

„Sen – że to był – myślała – czy omdlenie nieprzytomne?...”

Ocknięta ujrzy nad sobą przestrach sam: w tych oczach jego krągłych, w ust rozchyleniu suchym i rąk palących dotykaniu jej czoła i twarzy. Wtedy dopiero i serce ocknięto załopotalo w piersiach, jak ptak o pręty klatki bijący. A usta, całe szlochu wielkiego pełne i oniemieniem nad tym, co się stało, rozdygotane, szukały omackiem, gwałtownie, w ramion rozpaczliwym oplocie – ust jego, które teraz oto uchylały się już precz.

– Po coś cucić?... Po co?...

Pod ściany cofnięte koło biesiadników hipnotyzowała wciąż jeszcze ta postać w mundurze, która ich wszystkich krótkim nakazem z miejsca podniosła. I choć się odwracały było od niej oczy zimne i milczały usta, gdy się do nich zwracała, przecie automatyczna uległość jednych, popłoch innych ku niej ciążyć poczynały bezwładnie. Przecięła to niespodziana odporność gospodarza, który ze stanowczą flegmą zamknął okno, rzuciwszy przy tym jakieś cierpkie słowo pod adresem pułkownika. Na rybach tedy wargach barona, w jamie włosów dyplomatycznych zawisło zimne milczenie obecnych – dźwigała się w ludziach godność. A gdy pan domu osunął się na fotel i szarpał chmurnie bak jeden, korni przed chwilą panowie poczęli się rzucać w krzesła z demonstracyjną niedbałością gestów.

Te krzesel szurania i rozruchy skłóciło szumne wyjście śpiewaczki.

Omotawszy dekolty i szyję białopuszystym boa, w ramienia sztucznym wygięciu suknię z tyłu pod stanem z lekka unosząc, piersią wypukłą, biodrami wypiętą, płynęła znowuż przez salę – cała w esach, w zygzakach, w arabeskach, w barokowej fanfarze wielkostołecznego szychu. Wykraczał za nią sztywno, na publiczność jakby obrażony, prężący łydki w spodniach nieco przyciasnych barytonowy diwo, już dawno zapomniany przez kobiety. Tedy raz jeden tylko, u progu samego, skinał ludziom głową i mignął ponad nią brylantem prawicy.

W długiej rotundzie na ramionach, na miedziany czub włosów zarzuciwszy z włoska swobodnie zwisającą chustę, zmierzała diwa ku wyjściu, gdy jej towarzysz, szamocąc się z paltem, monologował wciąż w eksplozjach nieustannych. Obejrzała się wreszcie za nim z cierpkim wyrazem znudzenia na wargach. Lecz w tejże chwili cofnęła się w tył: w framudze drzwi najbliższej ujrzała wbity w siebie czarny żar oczu i jakby zębów błysk na twarzy jak kreda białej.

– Bolek! – wyrwało się jej z ust w szeleście sukien nagłym jak w spłoszeniu wielkiego ptaka. Lecz uspokojona obecnością towarzysza, a zwłaszcza bynajmniej nie napastniczym, raczej błędnym wyrazem w oczach Bolesława, opanowała się wnet. Tą bezpieczną odwagą kobiety i aktorki w sobie skrzepiona, pierwsza postąpiła ku niemu.

Z rozedrganych warg padały mu słowa niewyraźne, gdy próbował ująć ją oburącz za pachy. Lecz palce jego nie zdołały ogarnąć nawet przez pół tych ramion grubych: zimne i śliskie wymknęły mu się z uchwytu jak ryby.

Stało przed nim roztyłe w pysze ciało kobiety i poczuciem swego zwycięstwa w życiu tak osadziste, że obezwładniać mogło wszelki odruch cudzej pasji swą postawą i tchnieniem: tak się paraliżuje impet fizyczny wobec pierzyny. Ogromem piersi obnażonych wzgardliwa, białe i jak pień grube ramię przed się wystawiwszy, królowała nad nim, niby karcący majestat kobiecego ciała.

– Precz!

Zatrząskał mu w uszach jedwabny szelest wleczzonego trenu. Zamknęła skrzydła rotundy – zatuliła się w płaszcz majestatu.

Od progu odwróciła się jednak, pełna wzgardy w oczach.

– Och, te tęsknoty tu wasze! – parsknęła – w których dusza lata całe drzemie, by ocknięta, przekonać się, że cel swój już dawno zgubiła, rozkruszyła na miał „marzeniem”... Jak ja was tu znam! Tu wcale nie ma uczuć męskich. Tu jest tylko sentymentalizm cikliwy, patos bolejący i tuż, tuż za nim mściwy, szargający cynizm:wszystko starcze! I jakże tu kobiety nie mają być jak najbardziej parafiańsko wysztuczniowane? Geśi o geście królewien – to na całą Europę specjalność waszego tu chowu. Klepy o ptasich mózdkach na koturnach matron – tym widokiem można się tu tylko nacieszyć. Albo te feministki wśród nich, zagadujące publicznie złe sumienia swoje! Albo te starsze damy tutejsze: O! oo! oo! Trzeba się foką urodzić, aby móc

się pławić w tej zimnej atmosferze. I lawirując nieustannie między ckliwością a cynizmem mężczyzn dbać tylko o to, aby być res – pek – to – wa – na! – kończyła przeciągle, rozstawiając szeroko skrzydła rotundy.

– Och, i te wasze tu namiętności! – targnęła się za chwilę – w które nie wrasta żadna dalsza chęć, nie rozplómienia się żadna ambicja, żaden czyn: namiętności stały się tu wewnętrzne. Tfu!... I cóż dziwnego, że gdy je wir obcego, pogodniejszego życia porwie, unurza na pewno. Wy już tylko własnym powietrzem oddychać możecie, jak te odmieńce, te płazy podziemne – i jak one krwawicie na słońcu, które wszystkie inne stworzenia ożywia... Ból i ból w miłości! – zatrzęsło się piersiowym śmiechem jej ciało potężne. – Och, jak ja was tu znam! A pod bólem niskość – i niesyte potem zemsty znęcanie się nad życiem, i wypaskudzenie się każdemu w jego najcichszą pogodę. O, jakimże zadawnionym wstrętem przejmuję mnie te to bagno smutku północne, chłonna w siebie najbujniejsze zadatki życia... Boże, jak ja tu tonęłam, jak ja tu beznadziejnie tonęłam!... To samo, co tu między wami uczyniłoby ze mnie dziewczkę waszą, niosło mnie tam na świecie wzwyż. Bo taką jest tam cena dusznej pogody, radości życia, żywiołu, które nie wiadomo kiedy i jak przetapiają się tam na wolę i energię.

Roztrzęsły się te jej piersi wielkie w skrzydłach rotundy: poniosło wymowę kobiecą tam, gdzie się ona zwykle kończy – w szczerłość bezwzględna.

– Tam na świecie – mówiła, patrząc nań wyniosłe – tam na świecie szanują mnie kochankowie moi. A każdy jest dla ludzi kimś – ja zaś patrzałam na to stawanie się każdego z nich... Przyjeżdżam tu po latach – (zamachała rękami koło oczu) – och, te odżyłe zmyły me dziewczęce! Patrzę, rozpytuje – każdy jest najdoskonalej niczym, ale za to „tęskni” lub w szlachetnej pamięci lat tylu szarga wspomnienie mściwym cynizmem. A ja tu przecie roztrwoniłam swą młodość najcenniejszą!... Ile smętku, goryczy, znużenia sobą, zmarnowania najpogodniejszych impulsów życia – we wszystkich tu spojrzeniach waszych... Brr! – otrząsała się cała i zatuliła w rotundę, jakby przed mgłą północną wskroś przenikającą.

– I patrz – mówiła ujmując go niespodzianie za rękę, w tak nagłym kobiecym złagodnieniu po upuście szczerości – dokąd cię ten smutek zawiódł? Chciałeś się mścić nad czymś, co już dzisiaj jest dla ciebie zgoła obojętne, co już dawno zwiędło w marzeniu. Czy to nie najlepszy dowód, że wszystkie wasze namiętności są już trupie, że nawet tą najpotężniejszą z człowieka: zemstą – i nią nawet nie kieruje serce. Wy tu jesteście antypodami ludzi mających jeszcze jakieś rzetelne, z natury własnej czerpane impulsy... I pomyśl tylko: za chwilę tamta dziewczyna! Tak oto wyzuty ze wszelkiej ochoty, z natury nieomal własnej, już się stawał wampirem cudzej pogody i natury. I tak to u was w koło idzie – oto kłątwa smętu waszego – w błędne koło.

I aż sama zwiesiła głowę pod myślami tymi.

– No, powiedzże choć słowo! – rzuciła nagle w rozchyleniu powiek i twarzy całej wydłużeniem niespokojnym: stał wciąż bez ruchu z tym żarem oczu błędnym, suchym rozchyleniem zębów i drgawkach na twarzy bladej.

Zaszumiał mu znów w uszach tren wleczony. Dreptał przy nim z cylindrem na tyle głowy i zezem białek w stronę Bolesława diwy towarzysz nieodstępny. I tego ogona, rzekłbyś, uczepony, nim jakby automatycznie targnięty, wypsnął się skokiem za progi.

Twarz w dłoniach ukrywszy, przylgnął czołem do framugi, szukając w sobie daremnie jakiegoś śladu buntu, żalu czy nienawiści. Bezwola głucha, oszołomienie tępe przywierało go wprost do tych drzwi zamkniętych, za którymi trzaskał szelestem po schodach diwy tren szumny. To tryumfujące nad życiem mądre ciało kobiety, które głosi oto z daleka swą pychę ogonem, pozostawiło mu w swym zwycięstwie odrętwienie myśli wszelkich i dławiacą jak czad materialność swej aury, pętającą wszelki odruch duszy.

I stał tak wciąż, gubiąc powoli myśl, gdzie się znajduje i co czyni; tężał, krzepł – uparło się ciało w ruchu zastygłym, a myśl i wola człowieka jakby wyrwać się chciały z czoła, które

ściskał oburącz. Zaś ten gest kurczowy rodził w tępych odruchu łyzy bierne, zgoła omijające świadomość: ciało samo litowało się nad sobą, strojąc duszę zmyloną na swój ton bezradny.

Nagle ujrzał przypomnieniem, poczuł nieomal na sobie jakieś sówie oczy o żółtym blasku: przez źrenice jakby widne złowróżbne żagwienie się mózgu tamtej somnambuli, z którą mówił tu na początku. „I pan jest taki sam!” – powiadała mu ta czarownica. „Jakiż to? – pytał wówczas – trawiony zimną gorączką wielkemiejską? spalony przez innych ogniem własnym?...”

Myśl gorączkowa podsunęła mu wnet potem drugie zapatrzenie się w niego: tej twarzy w monoklu z jej złośliwą chytryością i niemym konceptem figlarnym, lecz jakby zastygłym i drętwym na obliczu znużonym – w ten ostatni wyraz, jaki się czepia zwiedłych po miastach masek człowieczych. I oto wszystkie oblicza tych ludzi zasłuchanych niedawno w śpiew złąły mu się w wyobraźni w jedną larwę dusznego bezwładu, budzonego w uśmiech rozkoszny wiewem niby egzotycznych namiętności, gdy rozpętanie młodego życia imituje przed nią opiumowa lubieżność megera wielkemiejskiej.

A w kontraście do tej maski błysło mu w otrząsieniu wspomnień Niny oblicze najmłodsze i ten jej uśmiech nieuchwytny słonecznego milczenia.

Głuche, tępe przerażenie nad tym, co się między nimi stało, zmąciło mu znów myśli wszystkie.

„Tak to u was w koło idzie! – słyszał jakby powtarzane słowa śpiewaczki. – W błędne koło – bez wyjścia...”

Gdy oto bokiem zachwyciły oczy barwę munduru.

„Wojna!...” – huknęło mu w uszy przypomnieniem nagłym w łoskocie surmy mosiężnej i tego hymnu podmuchach w muzyce gromów rytmicznych.

Natarczywe, choć ostrożne kołatanie we drzwi z zewnątrz ocknęło go za ledwie przez pół, budząc jedynie wysiłek ku orientacji: ktoś dobijał się do drzwi, starając się to uczynić widocznie jak najciszej i unikając hałasu dzwonka. Zanim niepewną ręką sięgnął ku zasuwie, odepchnęło go ramię pułkownika, bardziej skore. Cofnął się, okrągłymi oczami przerażenia widząc, jak przez próg przestępuje ktoś, spod czyjego kapelusza spływa krew, nasiąka w chustę przyciskaną gwałtownie do czoła, krzepnie w ciemne strupy na brodzie szpakowatej i zlewa się w obrzydliwie świeżą, chlupiącą plamę na okryciu; wargi ma obrzękłe w tej chwili i sine jak stal, a ten siniec rozlewa się wokół ust na twarz.

– Nic to! – mruczy wchodząc – na nogach stoję. To znaczy nie trzeba gwałtu wszczynać. Wody tylko. I odprowadźcie mnie gdzieś na ubocze – do biblioteki choćby, tam nikt szukać nie będzie. Pan mnie nie poznaje? – zwraca się do pułkownika – Komierowski, brat Leny.

– Ja tak i przewidziałem – odpowiedziano chmurnie – że tam na ulicy coś złego się stanie.

– Bili? – wybełkotał Bolesław, nałóżąc gorsem koszuli frakowej na tę jego plamę krwawą na okryciu.

– Biłem się – odmruknął, odsuwając go ramieniem od siebie.

A potem ponuro, przy tych ustach sinych nieopanowanych jeszcze drgawkach:

– Miałem broń – sięgnął z trudem do tylnej kieszeni, by po szamotaniu się krótkim wytargnąć z niej rewolwer – ale to dzieci przecie.

Zwisło mu ramię z bronią, zacięły się usta na chwilę.

– Obnosili oni ten okrzyk „wojna!” po ulicach, sami nie wiedząc, co czynią: jak odczarowanie temu życiu, jak odkłęcie duszom. I nie pora mi było myśleć: kto się raduje, czy szczerze i komu na groźbę? – porwałem okrycie i wybiegłem przed dom, nozdrzami zasłuchany... „Radośniej, weselej by nasi!...” – tylko tyle pomyśleć zdążyłem. – Wtedy oni do mnie za kapelusza niezdjęcie...

– To – to – żuł pułkownik pod wiechą siwego węża, patrząc nań wciąż chmurnie. – W ogień dusz młodych zaleźli wy, panie Komierowski. Poparzyło.

Bolesław ujął był rannego pod ramię, aby uprowadzić w dalsze pokoje, niebawem jednak zgubił w myślach zamiar i utknął na miejscu wraz z swą troską zapomnianą. Nozdrza, chłonna krwi zapach, rozdymać mu się poczęły, gdy gorączkowe oczy pały się widokiem krwi, zwłaszcza tą jej najgęstszą i jakby chlupiącą plamą na palcie, gdzie ściekała z rannej głowy. I te zwierzęce, grube podrażnienia zmysłów domacały się w nim duszy, targały omdlałą i bezwolną wszystkich nerwów wstrząsem, sięgając bezładnym niepokojem aż na dno samozachowawczego instynktu. I zatrzymały się oczy uparcie na broni w zwisłym kułaku Komierowskiego, niby na jasnym błysku w tym labiryncie przypomnień skłębionych. Rozwidniła mu się twarz w uśmiechu pewności siebie i wzgardliwej wyższości nad ludźmi, by wnet potem wykrzywić się w chytrym chichocie. A do czego przylegały oczy swym żarem niespokojnym, ku temu wyciągała się dłoń sama w chciwym dygotaniu palców.

Gdy spadła na nią ręka pułkownika, chwytając kleszczowo w nadgarstku.

Pod przenikliwym spojrzeniem obcego człowieka spadł z warg natychmiast ów uśmiech chytry, a z twarzy całej to poczucie wyższości nad ludźmi w urągliwym dla samego siebie oprzytomnieniu z niedorzeczności wszczynañ własnych. Mrozem przebiegała go ta badawczość oczu bystrych, sumujących nieubłaganie wszystkie grymasy jego twarzy, nie tylko już nie powściągane, lecz wyrażające uczucia wprost przeciwne wysiłonom intencjom woli. Gdyby go ktoś w tej chwili o zbrodnię posadził, odegrałby twarzą, jakby pod musem niesamowitym, w najsubtelniejszym wyrafinowaniu mimiki zmieszanie i popłoch zaskoczonego znieacka sumienia zbrodniarza. Popsuł się mechanizm maski człowieczego czucia; własne oblicze stało się dlań potwornym zdracą dusznego bezwładu: biernym, a wysubtelnionym do nieprawdopodobieństwa zwierciadlanym narzędziem każdej zewnętrznej sugestii.

– No, ten gotów nam się i pomieszać! – wygłosił pułkownik z niespodzianym ożywieniem, jakby podniecony w swej ciekawości „człowieka” widokiem dusznego rozkładu i swym szybkim orientowaniem się w nim. – Za gwałtowny był ten męski mus nagłości wojennej dla tej słabizny!... Na plac boju przyślą nam pewno niemało takich; osobliwie z tych tu stron, gdzie na słabizny urodzaj dziś taki sławny.

Błada jak płótno i potem zalana twarz Bolesława spoglądała już tylko stuporem bezwładnego lęku.

– Wszystko, co zechcesz, w mówisz przecie w człowieka jednym spojrzeniem za ledwie – ciągnął dalej pułkownik, nie spuszczać z niego oczu badawczych. – W duszy ni na kopiejkę odporności na co bądź. Więc żołdat to, dlatego właśnie, nie najgorszy – mimo wszystko... A tamto rwanie się do rewolweru znamienne jest przecie! Uu, niedobre! Ciekawe, przeciekawe, jak każdego z takich do broni czy noża nieodpornie wtedy ciągnie. A bo taki wie na co? po co? na jaką potrzebę? Ciągnie – i tyle!... Więc znowuż materiał to wojenny nie najgorszy.

Bujna, zuchowata, roziskrzona w oczach pewność siebie rozświetliła mu wprost twarz całą w tej medytacji nad kruchością duszy człowieczej.

– A takich na wojnie każdej mało? – pytał zadumy swej. – Którzy giną, którzy dalej idą; najgorszych tylko pociągami całymi odsyłamy precz. W ogniu na nic taki – o! boi się. – (Pułkownik gestami rąk przy twarzy imitował raczej zażenowanie.) – Boi się!... Ale gdy przyjdzie na bagnety, oko w oko, o własną skórę – uch! nie daj Bóg, jak się taki bije! Jakbym go widział z ruskim sztykiem w dłoni na szançe po suworowsku idącym.

Twardo nakazał służbie, żeby go ubrała w palto.

– Do jutra, w koszarach! – rzucił na pożegnanie. Patrząc za odchodzącym, począł się uśmiechać jadownicę pod wąsem krzaczastym.

– Mięso armatnie?... Bardzo to zaszczytny koniec dla takiego, który był przez całe życie mięsem dla kobiet.

Nagle zwrócił się na pięcie w stronę drzwi do salonu.

– Miałbym ja ochotę chwycić cię, paniczu, w garście obie i szwyrnąć tam, na środek: między te kobiety wasze. Dokończają przecie, dogryzają resztek waszych tu sił!

Komierowski krwawą swą chustę wciąż do czoła cisnąc, patrzył chmurnie za odchodzącym i wnet potem przeniósł takie spojrzenie na pułkownika, że mu ono zmyliło nagle kierunek zainteresowań.

– A wam, staremu, panie Komierowski, wstyd w takie bojowania uliczne leżeć.

– Takie i bojowanie nasze! – odmruknął, patrząc mu nieufnie w oczy.

Lecz pułkownik przeniósł podniecenie swej przenikliwości i na niego wraz z bystrym błyskiem siwych oczu:

– Ot, co ja wam powiem, panie Michale... Tfu! i „Michale” powiedziałem – odmachnął się jak od zmory, ledwo powściągnąwszy rękę od przeżegnania się szybkiego. – Ot, co ja wam powiedzieć chciał, panie Komierowski: chodźcie wy z nami ochotnikiem na tę wojnę. Czujęż ja człowieka i w was, wiem, gdzie duszy trzeba. Nu i śmieję się! Polityki tam macie inne – swoje. Napluć i na politykę. Będziecie tam na polu bitwy czy nie będziecie, polityki to nie zmieni, ni naszej, ni waszej. A zdrowia dusznego przybędzie – nie tylko wam; wiercie!... Lepiej takie ot rany w ciemne kąty własnego domu nieść i z nimi się kryć? I truć duszę wszystkim, co skryte, tajne, mściwe; całe piekło pogńeńców w siebie brać? I jęczeć duchem, a gnuścić ciałem? Tak li – ha? Nie brak i u nas takich! Zresztą poznali na Sybirze... Nie ta was dusza wiodła. Ale na niej, wszystko jedno, zakończyli, na naszej to, choć lewej. I pod ziemię zaleźli na życie całe, jak kret. A i oczy, patrz, krecie się stały: zimne, wygasłe, słońcu nienawistne. Nie bójś, kto tą strawą duszę swą karmić zaczął, niech lata tylko poczeka: nic innego w sobie już przyjmować nie będzie albo wszystko w duszy na żółc nienawiści przerabiać pocznie. I wiercie mi, panie Komierowski – pułkownik uderzał się dłonią w piersi – na takiej duszy gorzej w końcu swoi wyjdą niż wrodzy. A dla niej jeden już tylko ratunek: dać tej nienawiści choćby sztuczne ujście, ale nagłe, gwałtowne, okrutne! Żyw wyjdzie: życie słoneczne do piersi przyciśnie; umrze: innym coś ze swego wyzwolenia zostawi – z oddechu szerszego. A zwie się ten ratunek: wojna!

– Patrzeć ja na was takiego nie mogę! – wybuchnął po krótkim milczeniu. – Toż to wszystko nie wasze, nie wasze! I to bielmo krecie na oczach, i ten ciężar gnuśności na ramionach. Z Sybiru wy bo może od tych naszych przywieźli i pod ziemią hodujecie. A natura całym przecie inna. Rzucił ramionami, parsknął przez chwilę, wreszcie:

– No, to już na stryja Michała, czort bierz, lepsza dola przyszła!

– Pewnie – odmruknęto. – A pan skąd o stryju?!...

– Zdarzyło się słyszeć. Chodźcież wy z nami na tę wojnę! A ot dziadek wasz; ten się dyplomatów nie pytał: gdzie się bili, wszędzie laź!

– I czegoś przy tym chciał, czegoś się spodziewał. Ale pułkownik nie słyszał, bo wyrzucając oto ramiona w górę, wołał:

– I sześćdziesiąt lat człowiek po Europie nic innego nie robił!... A patrzcież: i sfrancuział przecie na stare lata. Pytam się tedy: czemu by wam nie zruszczyć? No i rzuca się! Ależ, dobry człowieku, wy i tak już przecie przez pół... Prosto i otwarcie w duszę nam iść nie chcieli, mierziło czuć odrębność, a i gwałt był w tym; więc fatygowali się aż takim kołem wolności: przez Sybir, podziemia krecie i nęć dwudziestokilkoletni. Tak by i wiedzieć powinni, jak z wami trzeba! Ryby pod wodą uporem zawsze idące, jak te pstrągi: do źródeł chcą. Niechaj! Minie czas, każdej rybie jurny, nie postrzegą nawet, jak samych zniesie – w morze. Bo morze to dla nas wszystkich słowiańskie, choć się pstrągiem miotaj, pod wodę idąc!... A z pstrągów najbardziej uparty to wy, panie Komierowski: miota się i miota! czy w Wiśle, czy w Obi a Jeniseju; zaś rzeka ta każda w morze niesie i niesie. Toż widzę ja „człowieka”! Nie bójś, czuć my umiemy dusze ludzkie... Po prawdzie powiedziałwszy, tego wam tu wszystkim niedostaje: nie ma w ludziach tego widzenia i bliźniego, i siebie samego po najskrytszych zakamarkach duszy. U nas tego za to aż do omierzłości!

I w gwałtownym przeskoku myśli machnął wzgardliwie ramieniem.

– Zresztą, tfu! czort! napluć na to. Ryją ludzie po swoich i cudzych duszach, bo dzieła męskiego nie ma. Ot, raz jeszcze: chodźcie wy z nami na tę wojnę, panie Komierowski!

Ale ranny opadł był tymczasem w sił zmaganiu i, cofając się do pokojów, uwił prawie ramieniem na framudze drzwi. Zwrócony twarzą do pułkownika, nie śpieszył się z odpowiedzią jak człowiek osłabły:

– A lepsza dola stryja Michała, panie?...

– Niech spoczywa cicho.

Ledwo drzwi zamknęły się za nim, skrzyżowały pułkownikowi zadumę inne myśli: spojrzął bokiem w stronę pokoju, w którym minął był tak niedawno Ninę i Bolesława, zmieszanych ogromnie.

„Ślepe dusze mają tu kobiety – mówił po chwili do siebie – i zmylone instynkty; już im największa słabość mężczyzn najtkliwsze uczucia rodzi... A ty przecie z tych tu lepszych: życiu rada tymczasem, przerada! Odważne bywają takie, harde w sobie i nienawidzić umiejące: wojennemu człowiekowi rodzona kobieta! Rozślimaczą cię tu oni, rozbabrzą duszę, mierzawce niedołężni; rozstroją, rozdygoczą one nerwy kobiece, jak to trzeba zmysłom ludzi słabych.”

„Żal! – mruknął twardo. – Święci w niebie może się modlą wtedy, gdy się bujność natury przed niedołęstwem sił korzy, ale sam czort tego widoku nie zniesie... Tak i nie zniesie! – przybił w powietrzu kulakiem. – Zmylone instynkty kobiece, korne przed afekcją ludzi słabych, zerwać się mogą zbyt łatwo za żywiołem sił spętanych – w zło czynne...”

„Żal!” – mruknął raz jeszcze i zwiesił głowę.

„Chodźcie wy z nami na tę wojnę, panie Komierowski!” – powtórzyło mu się w tej chwili jakoś samo, bez woli, w chwilowym znużeniu myśli. „A ten drugi? – przypominał znów bezładnie Bolesława Zarembę i odymał wargi – on ich dzisiejszy, moderny!... Gdzie te...” – zmaściły się siwe oczy pułkownika jak snem: mgłą wspomnień zasłonięte zdały się patrzeć gdzieś błędnie przed siebie. „Gdzie te dwory dzisiaj! Gdzie te lasy!...”

Zachnął się i otrząsał z siebie to rozmarzenie półsenne.

„Komu wróżył, a sam w cudze dusze załazł z ciekawości za «człowiekiem»! A co w nich jeszcze z tych dawnych dobrych instynktów: z tej żyznieradosti lekkomyślnej, z tej ochoty czortowskiej – (pułkownik strzelał nerwowo z palców) – wszystko to... Aj, aj, panie Michale!... wszystko to dzisiaj...” – (pułkownik wciąż strzelał z palców).

Gdy rozległo się nagle mocne, a dwukrotne targnięcie dzwonka – i wnet potem władne zakłatanie do drzwi.

„Aha! – pułkownik schwycił pod powiekę zrozumienie rzeczy: – Tak i było do przewidzenia, że tamto zajście na ulicy sprowadzi tu rychło i tych gości.”

Jak człowiek mający każdej chwili zawsze wszystko na oku i nie potrzebujący rozglądać się w chwili nagłej, schylił się zupełnie spokojnie, z nonszalancją i podjąwszy z ziemi zakrwawiony kapelusz Komierowskiego, rzucił go za uchylone drzwi. Po czym wyjął chustkę, poślinił i wysoko na odrzwiach ścierał drobny ślad krwi, jaki tam pozostawiła wsparta dłoń Komierowskiego.

Do przedpokoju wpadł starszy z tutejszej służby, ów brodaty „człowiek zaufania” pana domu. Tuż za nim zjawił się i wzburzony baron.

– Na litość boską, pułkowniku! – żandarmi.

– No, na tym ja się już sam rozumiem. To nie kombinacja finansowa.

A ujrzawszy, jak rybie wargi gospodarza dygocą, roztwierając się dziwnie miękko w jamie baków dyplomatycznych, rozblęsnął jakąś radosną nagle ciekawością na twarzy całej: „Szczupak! szczupak!” – omal że nie ucieszył się głośno. „Ot i jenerał sam! – dodawał wnet w myślach – ot i głównokomandujuszcy ichniej tu dziś egzystencji: tej omiękłości i zniedołężnienia życia, tego królowania kobiet i całej tej mierzawszczyzny!”

Zapatrzony z dziwną nagle pasją w jego nos biały i tłusty, w te baki sztywne jak z blachy, omal że nie parsknął mu w twarz:

„Burżuj!”

Kołatano tymczasem do drzwi coraz to gwałtowniej.

– Ci panowie drzwi rozwałą – bąknął baron i postąpił krok, aby samemu je uchylić.

– To – to! Panowie żandarmy i barońskie drzwi wyważyć gotowi, gdy trzeba. Aj, aj, panie baronie! – pogroził mu psotnie palcem.

By wnet potem wypchnąć go na pokoje, na znak, że woli sam tu czoło stawić i sprawę łagodzić. Po czym sięgnął flegmatycznie po szynel, rzucony poprzednio kłębem na krzesło.

I wówczas dopiero zwrócił się do barońskiego „człowieka zaufania”, stojącego sztywno z zakrzepłą twarzą i brodą.

– Otwórz.

Nina tymczasem, wciśnięta w róg kanapy i obojętna na Wandy tkliwość i rąk uściski, spoglądała przed się w upartym bezruchu i ogłuszeniu zupełnym na wszystko, co się wokół dzieje. Patrząc przed się, nie widziała nic zgoła, szepczącej Wandy nie słyszała wcale; zadumana, miała w sobie nirwaniczną obojętność na wszystko: gdyby ją płomienie pożaru ogarnęły w tej chwili, dałaby się ich uściskom bez drgnienia.

Te momenty fascynacji grozy, opadające wobec wrażeń nazbyt gwałtownych stworzenia właśnie najruchliwsze, w instynkty najzasobniejsze – wszystkie dusze wiewiórcze – są jakby kresem ich wrażliwości, z woli natury tylko pogodnej: granicą ostatnią przyjmowania jakichkolwiek pobudzeń z zewnątrz. Pozostaje już tylko:

– albo chyżym spadem rzucić się na schwał, może w tym karkołomnym skoku podwinie się jaki uchwyt ratunku, a wtedy: w śmig, w zwrot, w zakłębienie – z gałęzi na gałąź, z wierzchołka na czub, z konaru na pień – gdzieś w gąszczy zacisznej przypaść, z łapkami przy uszach czujnych przeczekać bicie tego serca, które pęknąć chciało i... poskoczyć dalej w światy ciekawe;

– albo, pozostawszy na gałęzi pod fascynacją grozy, dać temu sercu ścichnąć, stanąć w bezoddechu otwartym, gdy wyciągając z kłęba swe cielsko coraz to dłuższe, pełzać pocznie ku zdobyczy, przykutej jego wzrokiem do gałęzi – wąż smutku leniwy, potwór życia najstraszniejszy!...

Bo powaga nieszczęścia jest jak smutek leniwy, a smęt taki, co nam miesiące i lata wypełnić sobą zamierza, jest jak śmierć sama powoli na nas idąca.

Uciec!...

I Nina sama nie wiedziała, jakie to myśli „skądciś” jej się pojawiły i przepadając „gdzieś” zerwały ją nagle z miejsca w sprężeniu ramion upartym: postanowienie „przyszło samo”. Jakie to mianowicie postanowienie – nie wiedziała zresztą dobrze.

– Nie płacz! – tupnęła na Wandę.

Było bo w tym i upokorzenie, i obelga już po prostu: ta „pocziwa” Wanda płacząca za nią, która to wszak sama czynić powinna. I znowuż wydała się jej Wanda, niby ta zakapturzona nad chorą zakonnica, która na to tylko współczuje i płacze, aby spleść rychło ręce obie i opuściwszy powieki opowiedzieć, jak to święta Brygida, córka królewska, była jeszcze ładniejsza, tańczyła jeszcze piękniej, a jednak, cała się cierpieniem ludzkim oddawszy, i miłość nawet...

– O, nie, nie! dajcie mi pokój ze „świętymi” – rzuciła opryskliwie tym myślom w odpowiedź.

I jęła chodzić po pokoju. A że krok plątał się mimo wszystko, był jakby niezdecydowany i co chwila w opieszałość opaść gotowy, więc podjęła suknię bocznym chwytem, możliwie wysoko; ściągnęła fałdy w garść dla większego reliefu bioder, czyniąc to wszystko po części „Wandzie na złość”, tym „świętościom” w odpowiedź, po części zaś dla skrzepienia – by ucuć się, wszystkim smętkom spornie: hardą, mocną, pewną siebie. I tak w biodrach rozkołysana, w brawury kobiecej kroku i geście przechadzała się po miękkim dywanie, jakby na czających się stopach.

– Bój się Boga, Nino, co ty gwizdziesz?!

– A ty skąd to znasz? – odpowiedziała opryskliwie, pokazując gniewnie czubek języka.

I zawstydzily się obie.

Stąd nawrót smutku jeszcze gorszy niż przedtem. Wanda doczekała się wreszcie: oto łyzy wielkie zakręciły się wirem gwałtownym w oczach Niny; porwała się tedy z miejsca, by ją ramionami ogarnąć. Lecz Nina zachnęła się jej w rękach, chwytając kurczowo za oba ramiona.

– Ach, zostaw mnie! Bo ja bym w tej chwili coś złego chciała komu zrobić!
– Komuż to?... – rozchyliły się szeroko fioletowe oczy Wandy. – I za co?...
– Ach, wszystko jedno komu! Wszystko jedno za co! Zostaw mnie. Ty wcale nie jesteś kobietą. Ja nie umiem myśleć potulnie.

Przez pokój przeszło w pośpiechu kilku młodych panów: po dwóch, po trzech, zaszeptanych gorączkowo. Wanda usłyszała jakieś słowo i zbladła nagle.

– Gdzie są?! – zagadnęła poufale jednego z przechodzących.
– W przedpokoju – brzmiała prędką i przyciszona odpowiedź.

Same nie spostrzegły, jak je pociągnął za sobą ten tajemniczy rozruch szeptów i kroków. Znalazły się w bibliotece.

Grupa młodych ludzi w ciemnym kącie niewyraźna, zatarta mrokiem, rozkołysana głowami w szmer oczekiwania; wyciągały się jakieś palce ku drzwiom, za którymi słyhać było mowę obcą, tak jaskrawię odcinającą się rozgłośnym akcentem spokoju i pewności siebie od tego tu trzepotania się ciszy.

To kontrastowe napięcie chwili uderzyło w czujne instynkty Niny, zanim się zorientować zdołała, o co idzie. Pytającej rozszerzyły się nozdrza:

– Co takiego?!... Co? – co się stało?

Zanim jej odpowiedziano, spostrzegła, że ta grupa zaszeptana przysłania sobą kogoś siedzącego na krześle. Ujrzała miś przed nim trzymaną, gąbkę w niej wielką i jak rubin w tej chwili czerwoną. Ktoś stał opodal z flaszka lekarstwa; nieskończony wąż białej szmaty owijał się ostrożnie koło tej głowy pochylonej. Owijał się niezgrabnie: zsuwał raz po raz i wikłał opatrunek.

Coś pchnęło Ninę naprzód w nagłym zakrzęnięciu się rąk beczynnych:

„Ja!... Ja!... Ja!”

Było w tym impecie tyle uporczywości, narzucającego się ludziom w chwili, gdy nikt o pierwszeństwo spierać się nie myślał, że stało się jakoś tak, iż szpula bandaży znalazła się rychło w rękach Niny, a biała szmata owijała się koło rannej głowy łagodniej i troskliwiej niż przedtem.

– Dobrze tak? – pochyliła się nad uchem twarzy nie widzianej.

Odmruknęto basem.

– A wy nie przypatrujcie się tak, bo jemu przykro – zwróciła się z nakazem do ludzi, którzy przed chwilą dopuścić ją raczyli.

Jakoż cofnięto się natychmiast.

Z dom ponad głową ranną wyciągnęła się olbrzymia, żyłasta łapa i, namacawszy gdzieś ponad swoim czołem rękę Niny zakrzętaną, ukryła ją w swoim kułaku niemą podzięką.

Załatwiwszy się rychło, odwróciła się ku ludziom, niecierpliwa odpowiedzi, której dotychczas jej nie udzielono. Ta natarczywość pomocy i zaciekawień, ta drobnych rąk kocia krętność, gładkiego oblicza powab, oczu rozbieganie łyskliwe i postaci całej szelestna zwinność: cały ten nerw i dryg kobiecego niestatku, wniesiony w ponurą chwilę niebezpieczeństwa, usposabiał ludzi milcząco i chmurnie. Nina poczuła na sobie spojrzenia niechętne. Dobywszy wreszcie z czyichś ust opryskliwych, co za goście są w przedpokoju, krzyknęła sprężeniem się postaci całej, by w nagły zwrot poskoczyć ku drzwiom na stopach miękkich. Dopadła oczami do dziurki od klucza. Ktoś ją gniewnie za ramię powstrzymywał. Szarpnęła się całym ciałem.

– Ja chcę zobaczyć!

– Ciszej! – ofuknięto ją. – „Ja!” – przedrzeźniał ktoś cierpki.

Przykucnięta nad zamkiem, dłońmi do drzwi przyklepiona, wibrowała cała niebezpieczeństwem chwili: – Już odchodzą! – szepnęła z ulgą oddechu. – Już idą! – zatrzepotała się dłońmi jak skrzydłami, nie odrywając oczu ani na chwilę. – Kłaniają się po wojskowemu pułkownikowi. Jeszcze raz. Bardzo grzecznie!

Lecz gdy się na pokój odwróciła, sprostowała się znów prężnie, a okrzyk zdumienia zawisł na ustach wpółotwartych.

Widzi w ogromie barów szerokich bokiem jak u byka pochylony łeb: głowę brodą, graniastą, o wielkiej szopie szpakowatych włosów nad białą opaską czoła i długie spode łba pociągnięcie spojrzenia; oczy jak zmalowana stal o przygasłym blasku i zastygłym, sinym tonie. Więc tak wygląda ten, któremu opatrywała przed chwilą czoło? – wisiało wciąż zdumieniem na jej wargach. W rozgarze wyobraźni snuły się właśnie jakieś postacie zagadkowego życia, niby tropiona w ostępie zwierzyna, i oto wystąpił jakby z uroczyska leśnego – ten, gdy z dala oddalali się w pobrzęku ostróg – tamci.

Lecz ta omroczone zasłona wyobraźni sprzed oczu opadła rychło; okazało się, że wcale nie jest taki olbrzymi, wcale nie ma takiej graniastej znów głowy i, choć przypatruje się bacznie, ma raczej zdziwienie, jeśli nie w zgasłych oczach, to w wyrazie twarzy.

– Dlaczego mnie się tak przestraszyła? – pyta łagodnie. – Czy ja tak zdziaczał, że stał się strachem na dziewczęta? No, nie na to mówię! – odmachnął się łapą od jej zmieszania. – Prosto powiedziawszy, przypomnieliście mi kogoś sprzed lat dawnych – bardzo już dawnych!... I jaka podobna!... Więc dlatego zatrzymałem się zdziwiony. Mnie by krzyknąć, a nie wam.

Przetarł łapą twarz i wyciągnął do niej kułak otwarty.

– No i nie ma o czym – urywał sobie widocznie w myślach wspomnienia te dawne.

Przysiadł na kanapie, spoczął tak, że aż sprężyny zadzwoniły pod nim. I jął się rozglądać po obecnych.

Po chwili trzepnął się dłonią po kolanie.

– Toż oni was z gromady ludzkiej, jak magnes stalowe opiłki – samym zbliżeniem się – wszystkich tu powyciągali. A śmiać się nie ma czego! – fuknął na nich twardo.

Sapał ciężkim oddechem w brodę i niezadowolony mrucał w nią coś do siebie.

Wszyscy witali się tu niedbale, raczej uśmiechami tylko; dziwili się wciąż temu, jak to, nie zmawiając się, zeszli się tu wszyscy razem, wreszcie zagadali poważnie o tym, jak wielkim złudzeniem były nadzieje, jakoby z tych sfer dało się „coś wyciągnąć”. „Czym dla nich chwila dziejowa!...” Hrabia zrozumiał z trudem wielkim, o co zgłaszają się do jego fortuny, stał się jadowicie złośliwy. Nabab z Ukrainy bał się wprost rozmawiać i opuścił co prędzej zebranie, w którym roją się takie tajemnicze szatany. Szlachcic z Litwy, Wojciech Stanisławowicz, zbladł jak chusta i wytrzeszczał oczy; po chwili wpadł w apoplektyczną furję i miotając się ciałem wielkim wrzeszczał na całe gardło:

– Znowuż nas zgubić chcecie! – Baron na koniec, okupujący się każdej opinii, dał odczepnego. A zresztą nie warto było wprost mówić. Można „splunąć na nich” i wracać do domu.

Zawrzała niebawem wśród nich dysputa gwałtowna, użarliwiająca nagle niedbale przedtem słowa i ruchy. Urwało się to jednak rychło pod złośliwymi pomruki basowego głosu, lekceważącego widocznie wszelkie rozprawy. A gdy się ten gwar uciszać począł, zastępować go jęła zwykłym trybem dobrotliwie zgodna, szerokoustna gawęda ludzi, którzy w chwilach cichy obozowej żyją wspomnieniami. Lecz i teraz, gdy Komierowski się odezwał, wszyscy milkli wnet, jego widocznie najchętniej słuchając.

Pod tą sugestią oczekiwania zaczęły być wspominać niedbale.

„...więc kiedy nas przyprowadzili na ten etap” – wpadło w Niny zadumę znienacka i ze środka zdania: słuch jej, jakby na ten jeden głos tylko nastrojony, teraz dopiero się ocknął. Poszły za nim i oczy.

Patrzała uważnie, jak kończył papierosa, jak ćmił na pół schowanego w kułak, jak wreszcie niechlujnym gestem odrzucił ogarek gdzieś na środek pokoju.

– Więc kiedy nas przyprowadzili na ten etap – mówił spokojnie, z spojrzeniem skupionym, jak gdyby widząc w tej chwili te obrazy dawne, opowiedane niespodzianie czystsza mową – kiedy stanęła ta chmura kurzu ołowiana, gdy przycichły te dudy otepienia, ten szczeł kajdan

monotonny, wszczął się blekot owczy przy ciasnych wrotach. Roilo to się bezładnie, rozlażilo z kupy, ustępując tylko przed kolbą zamachniętą, właśnie jak przed psa doskokiem. Nie chciały leżeć owce na legowisko: ospa była na etapie... Ale co mnie, co moim ospa w takiej doli! Więc kiedy się tamci rzucili mimo wszystko na żarcie, na swe pomyje herbaciane, na kurzenie cuchnącego śmiecia w papierosie i kiedy za tą rozkoszą życia wraca troska o zdrowie: i złe, ponure pomruki podrażnionych nad miarę zwierząt rozlegają się w ich celi wspólnej, jam się w mej samotnej na pryczę powalił, jakby na tę ospę czekający.

Tuż obok za ścianą zbrodzień jakiś dołą swą opowiadał – zawsze jednakową. Póki w przewinie, poty sam – człowieka rad słyszę; gdy w karze, owca becząca, jak wszystkie inne. Tu, na pustym wydmuchu połowy świata zgubił swą namiętność: „Gdzież ona to – zbrodni mej przyczyna?”

I tak się w duszę swą zapatrzy, zbłąkaną teraz w ogromie tego świata i bezkresie ludzkich niedoli.

A wicher na tym wydmuchu skowyczy mi za oknami ciąg dalszy:

„Koj, bracie, duszę największym smutkiem odpowiedzialności niczyjej: wszystkim twar-do, wszystkim ciężko, wszystkim dola jednaka. Spójrzyj: nisko wloką się chmury ołowiane nad tą ziemi połową; nie wzwyż tu duszy, lecz w dal i szerz monotonna – w bezkres życia i niedoli ludzkiej z wiatru skoleniem. Na długi ich tu ton duszę nastrój, jak tego wichru skowity, na tużenie, na tasku za dołą «człowieka» – na tę osmętnicę wielką, która młode ich siły najbujniejsze na Golgotę wlecze, Barabasza wmiast siebie na wolność prosi, ze swego krzyża obu łotrów rozgrzesza i do tego po lewicy najtkliwiej właśnie Ignie, gdyż on jest najbardziej «człowiekiem». I wyjże teraz, bracie, spod krzyża swego na tę krzywdy ojczyznę, wyj, bodajby za tym stadem wilków na stepie odludnym – za ciepłem gromady.”

I zwidzieć się może: uświęca się zmora tych dusz. Więzienie chramem się staje, w pstre kopuły się nakrywa, w żółte krzyże jeży, a czady i wyziewy tej gnojnej trzody ludzkiej biją jakby z kadzielnic pomrokiem srebrzystym; kolebią się w tej oćmie brody czerwone; w skłócone rozdzwony cerkiewne bręczą kajdany; a głos starczego gdzieś w kącie pokutnika huka jak sowa naprzykrzona: Hospodi pomiłuj!

Święci się leniwego fatum panichida bizantyjska – ponure rozgrzeszenie odpowiedzialności niczyjej. Za wielką jest ta ojczyzna ziemi połowy, żaden wicher jej z końca w koniec nie przebieży; jakżeby wola ludzka ogarnąć ją mogła? Wszystkim twar-do, wszystkim ciężko, wszystkim dola jednaka; wszystko się wzajem zbydłęca w swym człowieczeństwie bolesnym i leczy odrętwieniem wspólnym. Moja dusza, twoja dusza, granicy tu nie ma, jak nie ma granicy światu... białemu. A nad tym żółciem ziemi Bóg Wschodu dusze wszystkie aż na dno ostatnie przeziera i w każdej widzi tylko żalną nędzę „człowieka”. Hospodi pomiłuj!

A ja wtedy dopiero pojąłem, jak te dusze są w czuciu swoim – nie moje! Mój świat zamknięty, jak lasów czy gór horyzontem, widnokretem umiłowania i nienawiści w piersi mi się wciska: moim się staje.

Zaś ta odśrodkowość dusz ich, ta taska i absolucja zarazem, przesyłana bezkresom ziemi rodzimej, zaciętym mnie w czuciach znajduje; co ich na połowę ziemi rozprasza, mnie w siebie zbiera ponuro.

Rzucać się na pryczy pocynam. A gdy łbem hardym o ścianę uderzę odrętwieniu na ulgę, kajdany warkną jak pies czujny.

A w tym drętym spokoju, zdobytym pod naciskiem konieczności, wiadomo, jak niewiele trzeba, by z człowieka strunę napiętą uczynić. Dało się słyszeć głuche rojenie u kryminalnych, potem uderzenia razów ciężkie, skowyt bitego i chór pomruku ponury: „Ospa!”

Sam nie wiem, jak się to stało, że urwałem nogę od pryczy i wałę nią we drzwi. W otworze ukazuje się twarz ociężałością dobroduszną, a koniecznością sprawowanej służby tępa. „Bariń, miej ty litość nad sobą. Wszystkim tu źle, ludzie my wszyscy złej doli, wszystkim cięż-

ko.” – „Wont! – krzyknę – niech ci będzie okrutnie czy smętnie na niemrawej duszy, mnie być nie musi. Nie jednej my doli! I nie jednej woli!...”

W tym miejscu opowiadania ktoś szarpnął się nerwowo, otrząsnąwszy z twarzy binokle, ujął Komierowskiego za łokieć. I przy tym chłodzie spojrzenia, jakie tu przewiewa nieraz między poufałymi gesty, rzekł cierpko:

– Te słowa do żołnierza mają chyba to powiadać, że w bezsilności człowiek staje się nie tylko sobie szkodny, ale i wobec cudzego współczucia nikczemny?

Lecz Komierowski, jeszcze poufałej, odepchnął go mocno łokciem, nie dał sobie przerywać:

– A tamci ludzie własnych nerwów już przecie nie mają, przerasta ich jeden wspólny i nad miarę uciążliwy. Jednego ukłuj, drugi, zda się, krzyknie z daleka, choć sobie zadanej urazy odczuć nie raczy. Do tego się dochodzi w tej szkole cierpienia. Więc to moje kołatanie we drzwi wystarczyło, aby ich ocknąć z tumanu melancholii. Zadrżał wspólny nerw. Oto w drugiej, w trzeciej, w czwartej celi wałą we drzwi co sił. Tam w końcu korytarza chłopisko było krępe, ale i mocne – jarosławskie. Drzwi trzaśły. A i moje były jeno nie bardziej odporne, bom przez wywalone skoczył wprost na wartę, właśnie w chwili gdy jęcząc: „Bariń, miej litość!”, już go w błogim przymrużeniu oka brał na cel. Więc go tą nogą od pryczy jak obuchem. Runął. Tak się to zaczęło. Jak chcecie? – z niczego.

W poruszeniu ogólnym słuchaczy czuć było ponurą nieaprobatę. Ale Komierowskiego porwały już przypomnienia.

– Więc ja z tym karabinem przyskakuję do nich. „Mam jeden!” – krzyknę. W tejsze chwili przez uchylone drzwi wsuwa się bagnet, więc ja go swoim – w dół! i oburącz za lufę. I zamiast targnąć, jak on się spodziewał, właśnie ku niemu! I tak go własną kolbą w brzuch: „Mam dwa” – krzyknę. Ten jarosławiec, on jeden tylko, swe ramiona długie jakoś skośnie rozstawił, rzekłbyś, do tańca. „Dawaj” – woła. I obu nam mięśnie same zagrały w jakieś rytmy szaleńczej otuchy. Co znaczy rzecz taka: broń!... Podczas gdy nasi wszyscy mają takie okrągłe oczy, że to tak zniemacka, w przebudzeniu z melancholii i bez żadnych widoków. Ale wiadomo: dla takich chwila nagła to także fatum, taki ogon wrażliwców, chwili nieodpornych, najbardziej potem pcha tych, co tę chwilę wywołali, im narzucili.

– Otóż to! Ale bójże się Boga: powód?! A przy tym ci towarzysze twoi? Tyżeś ich przecie wszystkich na bagnety jak na rożen nastawił, kobiet pewno nie pożałowawszy.

– Toć siłą ich nie wiodłem! Sami się zacięli.

– Tam były i kobiety? – przerwał z zipnięciem głębokiego oddechu głos Niny.

Pochylił głowę w milczeniu.

Wandy postać wiotka przeżyła się na krześle, z piersi wybijał się oddech w uderzeniach wyśiłku; spiekle, gruźlicze rumieńce stanęły przed oczu błyskiem. Siliła się wyobraźnią znaleźć tam: i stawała ciałem wątlym – w duchu gotowa.

– Powód? – mruzczał tymczasem Komierowski w brodę, jakby teraz dopiero stawiając sobie to pytanie. – Był i powód! Siedliskiem ospy był ten etap: katorżnicy chcieli wyruszać natchmiasz. Powód? Powodów jest zawsze za wiele. Baby je wypłaczą łzami, statystycy, jak ty, cyframi. A cel?... Powodem jest zawsze dusza, skutkiem zawsze ofiara z ciała, korzyści zbierają zawsze dożywotni kajdaniarze. Oni to nazywają celem.

– A sterem takich działań jest zawsze ten ogon wrażliwców, pociągniętych chwilą; ogon, a nie głowa – dorzucił jadowicie wciąż tenże swarliwy osobnik.

By za chwilę podnieść w palcach binokle wraz z dalszą repliką:

– Nie powody, nie cel, nie lud!... W co ty właściwie wierzysz dziś jeszcze?

Podrzucił głowę:

– Zawsze w tych, którzy z całej swej natury tak bardzo muszą, że się o powodzenie z losem nie targują! dla których dostatecznym powodem jest własna dusza. Tacy zostawiają i siebie, i cel swój na podrożu dla podjęcia lub podeptania przez innych.

– Nie bacząc nawet, czy tym korzyść, czy klęskę przyniosą... „innym”?

– Może w głębi duszy nie bacząc i na to – odmruknął z głuchą zaciętością. – Zaś siedliska zarazy są nie tylko na dalekich traktach, a pada ona nie tylko ospą na ciała, lecz zniemczeniem na dusze: ta ospa czuć obcych.

Odmachnął się ręką od dalszych replik, zbierał w myślach rozproszone przez ludzi obrazy.

– A no: wyprostowałem się jednak, znalazłem siebie bodaj za cenę zguby... Zaś tamci, nasi, którym w pierwszej chwili lęk oczy rozszerzył, rzucili się otwierać cele, a potem za pierwszą myślą i uczuciem chcieli porwać do czynu, zaagitować – kryminalnych, oczywista. Tam też i nas pchnęli z moim jarosławcem. Powitano nas rykiem. Imamy się ich rozkuwać. Aliści ten bogomolnik z kąta nie tylko na sobie ruszyć ich nie da, ale rozczapirza ramiona nad tym tłumem i huka: „Ludzie! wam dusze w sobie z grzechu rozkuwać, a one to serdeczne...” I całuje przecie to ściervo własne kajdany. A tym sobakom tego tylko brakło: żeby im kto ich psią trwozę sumieniem nazwał. Tu nie było czasu na perswazje. Więc ja pod pierwszy strzał tego pokutnika. Pożałowałem przecie kuli: „zgnij zdrajcą!...” A oni się tego słowa tyleż nieomal co kuli boją – te psie dusze, gdy w gromadzie. I znowuż ku nam mieć się poczęli. Więc ja im: „Ku czemu was matki na ten świat miotnęły, pewno nie wie żadna, ledwie która z chichotem wspomni, dlaczego to się stało. Wy za to wiecie do ostatka, na coście się rodzili: psom najparsiwszym lepsza dola przypadła. Sprawcież tedy matkom waszym tę psotę, że się kiedyś zwiedzą, iż rodziły – omal nie splunąłem w gębę najbliższą – bohaterów!” I dacie wiarę: właśnie ta ostatnia, ta najbardziej nieludzka pogarda kłoni ich ku mnie ostatecznie – umiem ja przemawiać do dusz sobaczych. Lecz oto we drzwiach staje oficer i dwóch ze straży. W tej nagłej ciszy napięcia słyszymy mowę... łagodną: o tym, jak to się ludzie gubią, jak to i jego służba ciężka, jak wszystkim na świecie dola twarda i jednaka; a wszak do inteligentnych ludzi mówi. Słдатów tymczasem coraz więcej w izbie: po jednemu, po dwóch... Zaś „inteligencja” tyle nam w onej chwili powiedzieć tylko mogła: że kto za broń chwycił, temu już nie do rozpraw, a jeśli do takich przemawiają, to tylko, by za łeb pochylony łatwiej chwycić. Więc mu przerywam na początku: „Mój panie, nas wszystkich, przysłano tu pono za to, żeśmy się nikogo słuchać nie chcieli. Więc nie pochlebiaj pan sobie lepszym skutkiem swej pięknej wymowy...”

Ten i ów ze słuchaczy zachnął się tak, że aż się z krzesłem odrzucił, słuchając z nerwową już odrazą tej zadzierzystej brawury opętańca.

Lecz równocześnie z tym ich odruchem zaklaskały raz w raz czyjeś ręce. I wszyscy, ilu ich tu było, zwrócili się w jednakowym zdumieniu ku Ninie, zapatrzeni w te dłonie, oklaskiem jeszcze zwarte przed rozgorzałą twarzą. Spod jej powiek, dotychczas wciąż przymkniętych, a teraz jakby siłą nagle rozerwanych, wyblyskały ku ludziom małe jak grochy, złe, niespokojne oczy.

Komierowski aż się uniósł nieco, zapatrzony i kułakiem zgarniający w usta brodę swą i wąsy.

Z przeciwnej strony zawisło na nim jeszcze jedno spojrzenie. Młodzieniec o zapadłych piersiach i suchej kościstej twarzy, który z taką niechęcią, spoglądał był na Ninę, przyłgnął teraz do Komierowskiego anemicznym lękiem sił wątlých. Przerażeniem łatwej do gorączki i już zafascynowanej wyobraźni widział się sam w tym zbuntowanym kłębie bezsilnych pod wystawionych bagnetów grozą. Dostrajał się do chwili, dociągał w piersi wątlęj struny woli: na torturach imaginacji z rozpaczliwą zaciętością doszukiwał się w sobie tężyzny. Przelotnie mącił się żar jego oczu w bezwiednie chytrym zezie gdzieś na boki, by z tym większą kornością zawieszać duszę niemocną na ponurym spojrzeniu Komierowskiego.

I rzecz dziwna, Komierowski to właśnie tchnienie gorączki i sapliwe oddechy wzburzonych słuchaczy chwytął w rozszerzone nagle nozdrza. Pamięć goniąca dalsze obrazy opowieści, rozżarząc zmalowane dotychczas oczy, wykrzywiała mu twarz w uśmiech kosy, chytro – melancholijny, niby współczucia nadmiernego pełen, a nękiem i udreką życia samego tak

dziwnie podniecony. Wyobraźnia ponura, otepiała w piekle, zdała się teraz dopiero odżywać w całej pełni pod zalatującą wonią okrucieństwa. Maską jakąś obcą zasunęła się na tę twarz. Oto ramię wyrzucone zda się gestem uprzedzać dalszy tok opowieści, a usta zawołają, zasycają czy też świsną w tej chwili: „Ech! i... zaczęło się!” Zdało się dalej, że dokończy toku już nie dotychczasową, czystą mową, lecz swą zwykłą, na pół pomieszaną z obcą gwarą, że z niej właśnie teraz barw i akcentów czerpać będzie, że bagatelizując w narracji rzeczy straszne, podkreśli jakiś potworny w nich drobiażdżek, podkreśli go z lubością, że dokończy opowieści już nie swoją, dawną duszą, lecz tą późniejszą – nabytą.

Mówił dalej.

I zapierały się oddechy w piersiach słuchaczy; ten i ów obliczem precz się odwracał; łzy nie rzucały się nawet do oczu kobiecych, ledwie wargi ich rozdygotane chlupnęły czasem w spazmie połkniętym; coś jakby wilgoć piwnic średniowiecznych otrząsało skórę niejednemu.

A gdy się opowieść skończyła, zahukane wyobraźnie słuchaczy błąkały się w ciszy własnym już rozpędem po wszystkich nękach, okrucieństwach i torturach życia, świadcząc swej uczuć władzy krzywdę nieobliczalną. Niejeden złapał się tu duszą jak w samotrzask: rozpalone do białą współczuciu sądzono stopić się z tego rodzaju afektami, a wyobraźni z ich bolesną potrzebą – we wszystkich potem dziedzinach życia.

Cisza panowała głucha; przetapiały się dusze w ogniu obcym.

Cisza była niema, jak bezsilność, jak smętu dno ostatnie.

Podryw towarzyski profesora i gorączkowe zajęcie się jego panią domu zgłuszyła rychło gorycz wrażeń, jakimi się tu nasycił. Rozmów męskich słuchał już milczący, patrząc ludziom w oczy badawczo nad szklami okularów; dla kobiet stawał się przykry z swym monotonnym uśmiechem, ukrytym w włosach twarzy, w przesadnej, lecz krótkiej uprzejmości, najwyraźniej akcentowanego roztargnienia. Wracała mu na oblicze maska tej swoistej próżności – na poły maga, na poły biurokraty – jaką po uniwersytetach zdobywa się wraz z togą. Spostrzeżono to rychło i poniechano w odęciu. Kobiety zwłaszcza skwitowały go czym prędzej przesadną w jego pobliżu trzpiotowatością.

Znalazł się tedy sam. Obraz pani o długiej twarzy i włosach jak bursztyn przeświecony powracał mimo wszystko i naprzykrzał się godności. Profesor przysiadł gdzieś w kącie i grabił palcami brodę okazałą.

Gospodarz złowił czujnym okiem to osowienie gościa pożądanego, chociażby w tym właśnie grymasie, jako ornament powagi w salonie. Pozostawił go tedy czas jakiś, by zdobył kąć przez siebie obrany. Dopiero w obawie jego ucieczki zagadał o jakichś sztychach nabytych niedawno, o swym księgozbiórze, zaciągnął do biblioteki i zahaczył na dłuższy czas o półki z starymi książkami.

Co załatwiwszy, wymknął się pan domu gdzie indziej.

Dymiąc cygarem z włosów twarzy, sięgał profesor po coraz to inną księgę, by ruchem mile polechtanej pewności siebie z powrotem odstawiać rzeczy znane, zaś grymasem zaciekawienia i jakby nieufności witać druki jeszcze nie spotykane. I w tym zajęciu pomrukiwał sobie przyjemnie.

Obfity księgozbiór gospodarza zasobny był w najradsze druki rakowskie, oliwskie, brzeskie, drohomilskie, mohylowskie, pochodzące zgoła ze wszystkich tych kątów i kresów Rzeczypospolitej, gdzie dawniej pracowały tłocznie drukarskie, a dziś kozy się pasą lub żeruje ciemne mrowie ludzkie.

Radowały go osobliwie wczesne druki krakowskie, gdzie na tłocznicy przenosiła się jakby z foliałów mniszą ręką pisanych cicha żarliwość średniowieczna: księgi te budowane były karta za kartą w pietyzmie szczegółów – jak tum gotycki. Tu i ówdzie gotyk jeszcze ociężały, w ozdobach i tytułach romańszczyzna nawet, lecz nad wszystkim jakby nowe tchnienie, znoszące dawnej szwabachy natłoki oraz ciosaną sztywność i rebusowość pisma rzymskiego – tchnienie powietrzności, perspektywy miłej oku architektoniki unosiło się nad całością: zwiastująca się dopiero z Zachodu płomienna lekkość Odrodzenia. I tak oto z najlepszego ducha przeszłości poczęta, przyszłością już idącą nieświadomie owiana, w przyszłości dalekie świadomie wiodąca, triumphans zdała mu się dziś jeszcze księga taka każda; a co zubożniejsze: z karty tytułowej historycznej pieczęci wiało dumą miejsca, które ducha powszechnego dojrzaniem oraz piersi wolnych osłoną tym dziełom człowieczeństwa stawać się dozwoliło.

Napieściwszy tak oczy, jak i palce starych książek kształtem, papieru lekkością i pergaminową mocą, liter stylowością intuicyjną, ozdób oraz inicjałów inwencją bogatą, tymi wrażeniami w sobie dźwignięty, aż do pogodnego rozbłysku całej twarzy, skrzepiony przy tym cygara smakiem i wonią przeszedł powoli do kart treści.

Gdyż oto wpadały mu do rąk białe kruki, o których istnieniu wiedzieć mógł tylko: książki, które do skarbnicy europejskiego ducha przeszedłszy wyginęły doszczętnie w miejscach swego urodzenia. Wygarnęła ich stąd miotła szwedzka, tępiły cichaczem ognie jezuickie, rozwiewały po świecie zawieruchy wieku ostatniego; a czego szczury nie dogryzły po strychach zbarbaryzowanych dworów litewskich, to wyłowiała stamtąd w światy neta cen wysokich, jakie za te szlacheckie i klasztorne śmiecie płacą antykwarze europejscy. Właściciel ich dzi-

siejszy nabywał te książki, jak wskazywały adnotacje, w Londynie, Lipsku, Petersburgu i Sztokholmie.

Lecz i te kilka ziarn, zebranych z tak bardzo po świecie rozwianego spichrza, ten kram rzadkości bibliofilskich posiadał na sobie mimo wszystko – jakby to miał każdy inny, lepszy czy gorszy zbiór taki – ponury stygmat zatracania się nieustannego ziaren siewnych.

W tę ciszę kościelną dolatywały z dala bezładnie pomieszane echa salonowego gwaru. Nagle wpadł tu fircyk jakiś w foldze ruchów rozchwiejnych, poszastał się między półkami, sam nie wiedzący, po co go tu zniosło, i wyskoczył niebawem.

Wyrwijąc książki z półek na traf, zabłąkał się profesor niebawem w tym lesie. Oto minął rychło pisarzy Wieku Złotego, w tak zwanym Baroku natknął się na pyszne wydawnictwa oliwskie, za czym, pociągnięty zewnętrznym luksusem wydawnictw Groelowskich i puławskich, wstąpił myślą w senatorskie koło postaci o posągowym geście i jasnym spojrzeniu wieku Oświecenia – na tę nową falę światowego przyływu, która szczytu swego nie sięgnąwszy runęła w dziejów odmęty, by odwieczną współpracę ducha u warsztatu ludzkości i tradycyjny kontakt z jego po świecie mistrzami przekazać oręża współdziałaniu po Europie.

„Oto – myślał przerzucając poźółkłe karty «Dekady» wędrownego wojska ostatnich rycerzy bez ziemi, wiodących ze sobą po Europie nowej jeszcze i truverów swoich. Śpiewacy obozowi zamieniani w rozbiciu ostatnim w bardów pielgrzymstwa, pozostawili po gościach Europy księgi polskie spod tłoczni cudzoziemskich wszystkich miast Zachodu.”

Przewijały mu się nieustannie pod ręką te rozsiewy pielgrzymstwa.

„A gdy za sił rozbiciem – dumiał nad nimi – przyszło i woli rozprószenie wśród skłóconej przez wodzów gromady gdy na Wschodzie pozostał już tylko kadłub narodu obezwładniony, a po stolicach Zachodu stwarzały się jego głowy bezczynne, gdy ogniwa wspólnoty duchowej przyskać już zaczęły nawet w narodzie, z bardo wyłonili się w Europie nowej jeszcze i druidzi ostatni, wieszczę narodu swego.

A jeśli teraz oto – przypomniał w tej chwili – wzniosą w Paryżu pomnik jednemu z nich, staną może najlepsi narodu obcego przed tłumem tej odgadywanej zaledwie poezji, jakby przed druidową świątynią Karnaku, podziwiając tylko wiary ogrom, który ją zbudował, i symboliczne dale naw tej świątynicy otwartej, wiodących od ołtarza krwawych ofiar ludzkich w stronę wschodzącego na wiosnę słońca. I przypomną może tej świątynicy kapłanów, druidów celtyckich, słowa spisane w kodeksie króla Hoela: Trzy są rzeczy niezbędne: miecz, księga i harfa. Oto miecz, wyszczerbiony w potrzebie własnej rozprysną w obronie ludów Zachodu; harfa zagrała dla ludu całego pod ręką Szopena; księga, acz pieczęcią niezrozumiałej mowy dla obcych zamknięta, jest przecie dla nich wyczuwalnie Zakonem duszy narodu, Arką jego przymierza z ludzkością.

I może nie jeden z tak zadumanych przypomni swych czasów W i o s n ę oraz to słowo «mesjanizm», które dla jednego narodu będąc przemijającą doktryną ksiązek, stało się dla drugiego cmentarzem jego ofiar. Może przypomni te dziesiątki tysięcy mogił polskich po wszystkich pobojuwiskach wolności Francji, Niemiec, Włoch i Węgier i zapyta: jakie to szaleństwo czyniło, według słów Niemca jednego, tę szlachtę sztabem jeneralnym sankilotów całego świata? Odpowiedzieć mu może tylko potęga władzy duchowej druidów w Europie, ostatnich «wieszczów» narodu, ona tylko odrzec im potrafi, «czyj to ich porwał wicher i czyje ramię...»

Lecz gdy w tym zadumaniu swym bibliotecznym, sumujący mimo woli ksiązek fata i dzieje, stanął tak oto w progu dni dzisiejszych, wziął niespodzianie w duszę krzyżowanie się myśli spornych:

„Jestże to naprawdę błogosławieństwem dla narodu, że najwyższy ton jego twórczości i ostatnie wobec świata czyny dokonały się czasu trafem przez ducha romantyzmu i mistyki? Czy nie kieruje to najlepszych wciąż jeszcze ku przeszłości, czyniąc z nich prędzej czy później puchaczy po ruinach, odwracających na pół ślepe oczy odrazy od życia, każdemu dniu

dzisiejszemu nienawistne? Czy nie sprawia to, że właśnie najlepsi nie są zdolni do zachwyce-
nia w piersi tchu rzeczywistości i rozgrzania w nim serca w tempo dzielne? Czy to, co było w
najlepszych czasu swego, gdy ziemia własna spod nóg im się usuwała, wybiegiem w gwiaz-
dy: dla wywyższenia sił w ludziach – czy to wszystko, nie rozsiawszy się koleją wieku całego
w popolitość, nie stało się w obliczu znieruchomiałego życia mimowolnym rozsądnikiem
omamów, obłudy przed sobą – zastoju? Kostniał oż tak Bizancjum: dusz carmen przez wieki,
pod kłatwą – niezmiennie jednym. Obliczem najlaskawszego Boga stawało się w surowości
swojej coraz to okrutniejsze i coraz to mniej mające wspólnego z życiem ludzi.

Czyżby druidzi nasi – nawracało w zadumie – uświadomili sobie coś więcej ponad to, co
przekazali, i te tajemnicę swych jasnowidzeń przemilczeli, jak to druidzi czynić zwykli?

I czy przemilczeli całkowicie?

Czymże jest tych wierzeń Mickiewiczowska Wulgata; potrzeba ofiary z najlepszych dla
odkupienia ducha winnych – potrzeba Legionu? Czym tej religii ezoteryzm, rozwoju ko-
nieczność w śmierciach nieustannych, a ekstatycznemu oku widnych, niby ruch aniołów na
Jakubowej drabinie w preradzaniach się ducha w coraz to wyższe formy? Czym wobec za-
trwożeń nad przyszłością groźba tej metempsychozy: cofnięcia, pognębienia w niże życia
najgłębsze każdej formy, która wczasów niepowstrzymanych obrocie nowego ducha z siebie
nie wysili?...

„Wóz życia ugrzązł w piachach, a duszom karm w istocie wciąż tenże: z przed wieka! I
jedno wciąż źródło sił idealnych, które ma ich w aniołów zamieniać – aniołów ruchu i ofiary.
Bo pod tą błahą i nikczemną powierzchnią życia ten nurt żyje po duszach lepszych. W senty-
mentalnej wrażliwości wyobraźni egzaltowanych pokutują wciąż jeszcze wszystkie upiory i
widma romantyzmu, a ponad tym sabatem chęci niższych – wciąż jeszcze ów ton najwyższy
owych czasów: potrzeba ofiary z najlepszych dla odkupienia duch w innych.

Ową świątynię Karnaku stawiała rasa o takiej sile wiary, że na lat tysiące przedtem przy-
powieść Chrystusową wypowiadała ramionami czynu: przenosiła najdosłowniej góry grani-
towe w szczerze pola, ustawiając je nawą pięciokrotną w utęsknionym kierunku wschodzącego
słońca, aby tą drogą rok rocznie wstępujący życia i pogody Bóg spoglądał na gładzisko płą-
skie w skał półkreg: na ociekły rzezną krwią ołtarz ofiar ludzkich – dla Niego, dla Słoń-
ca!...Spłynęła na tym ołtarzu krew rasy co najlepsza; smutne cherlaki duszą i ciałem pozostały
tylko. Zalał fala obca.”

Zgasło cygaro w ustach profesora, a popioły jego zimne osypały się na brodę. Znikło z
twarzy pogodnie niedawno rozpromienienie wobec starych książek kształtów, starego papieru
lekkości, starych liter stylu. Zaduma ciężka osiadła na czole w brzd rozciągliwych napięciu.
I tylko oczu wybliski, niby iskry gniewu w starciach myśli krzesane, mówiły, że duchy przy-
gniata ołowiana chmura rzeczywistości dzisiejszej.

I ołowiane fale bezkresnego morza obcości popolitej, zalewającej życie zewsząd.

A w tej zadumie jakaś książka stara pozostała mu jeszcze w ręku, założona palcami opusz-
czonej dłoni. Odstawił na półki – z czcią czy niechęcią, sam w tej chwili nie wiedział – tę
zmumifikowaną żagiew wygasłego ogniska, jakby w trwodze przede wszystkim, by mu się
ona w pył i proch nie rozsypała.

„Vitae lampadae traditae – przypomniały mu się cierpko Lukrecjuszowe słowa – życia po-
chodnie przez pokolenia sobie oddane.”

– Życia? – pwtórzył głośno, rozglądając się po tej surowej i sztywnej omartwicy czasów,
po półek spiętrzeniach katakumbowych pod bibliotecznymi pyły.

Lampka elektryczna u pułapu mrugnęła, jak gdyby na tychże przewodnikach gaszono
światło w innych pokojach. Zabłąkany w labirynt półek i tym wrażeniem zewnętrznym z za-
dumy ocknięty, słyszy, jak w równym trambie koni rusza lekko sprzed bramy powóz ostatni.

Rozjechali się już wszyscy. Pozostał on sam tylko, zapomniany przez ludzi w tym labiryncie książek.

Docuwał się szybko, przecierał zerwane z czoła okulary. A przed oślepienymi na chwilę oczy stanęło w nagłym natłoku obrazów to życie całe, jakie tu dziś oglądał: zgiełkliwe, rojne i pienne na powierzchni zaledwie, a pod tą musującą powłoką bezwładem jakby tknięte.

I cały ten wir ludzkich tu obcować wydał mu się zamętym ogromnego znużenia, wyczerpania wszystkich podniet gromadzkiego życia, stłoczonego w ramy za ciasne, kłębowiskiem sztucznych niepokojów i na zimno tworzonych podrażnień, sprowadzoną z obcych stolic gorączką wielkomięską bez ognia tej gorączkowej woli, która tamte życie przepala: bezcelowym, wewnętrznym żagwieniem sił płonnych. „Każde Bizancjum – mówił w duchu – w starszym pokoleniu mumifikowało się tylko, rozkładało zaś właśnie w młodym, właśnie w tym, któremu uczęczało pozornego ruchu na powierzchni.”

Gdy nowe mrugnięcie i błysk lampki elektrycznej zagnęły go do skierowania się ku wyjściu krętą drogą pólek. Lecz w tejże chwili światło u pułapu zgasło; znalazł się jak wśród murów ciemnych. Posuwając się omackiem, zwrócił mimo woli krótkowzroczne oczy ku górze, gdzie wyświeślały się w ciemni – na pierwsze wejrzenie, rzekłbyś, lamp mlecznych szereg – popiersia białe. Miał te oblicz w pamięci wyryte z podobizn po książkach jeszcze młodzieńczych.

Ponad zatartymi ocmą księgami spoglądała przeszłość sama swym czynem i słowem wiekowym, które książki nieraz mijając, tą czy inną drogą, odcisnęły się przecie znamieniem niezniszczalnym na duszy każdej, jak się drzewa przeszłość na swym ziarnie najlichszym niewidną przyszłość odciska.

Nad spichrzem ksiąg zatopionych w ciemni płoną mleczny szeregiem lampy dziwne o człowieczych twarzach.

„Druidów widma białe” – pomyślał mimo woli.

I stanęła mu znów w wyobraźni ta świątynia Karnaku, zbudowana z gór przeniesionych wiarą. Oto wśród tych złomów o kształtach mamucich i nieciosów potwornych stoją niby białe kolumny druidzi brodaci: i ci z mieczem, i ci z księgą, i ci harfiani. A tą drogą wiry, w którą słońce wiosenne zawsze zawraca, idą bez końca życia młode, idą pod nóż – W i o ś n i e na okup, słońcu na ofiarę, dla podźwignięcia dusz, powstałych z błotnej topieli pogńębienia.

Wypadł z rozchylonych ust profesora zimny ogarek cygara, a grudy jego rozpylone osypały go całego niby pozapustnym popiołem. W salonach przyległych zaległa cisza pustki i dosytu.

Na twarzy w niepamięć już się rozwiało to uśmiechnięte niedawno zadowolenie wobec starych foliałów kształtu, starego papieru lekkości, starych liter stylu i rzadkich książek ciekawego wnętrza. Na swej zadumy bibliotecznej koniec, książek po ciemku nie widzący, nie dbał już o nie w myślach. Przed oczami duszy stała mu Arka tysiącletniej mowy narodu, a w niej księga na harfie.

I tej harfianej księgi zakon nieodwołany.

Otrząsł się przecie i odpędziwszy widma sprzed oczu, a ponure myśli z czoła, szukał wyjścia z labiryntu pólek. A gdy się wreszcie za ich kręte ściany wydostał, perłowy świt docucił mu oczu; a słuch ciszą w sobie skupiony rozproszył świergot nagły za oknami. Wstawał rano. Oto promień pierwszy już się przez szyby przewijał, wir i kłębowienie się ręce rzucając smugą świetlną pyły biblioteczne. A gdy za tym ich niestatkiem słońca po złocie skierowały się oczy w głąb pokoju, zatrzymał się mimo woli.

Na skórzanej poduszce przy kanapie na pół klęcząca głowę nad splecione ramiona ledwo dźwignąwszy, dumiała tutaj najmłodsza z widzianych dziś kobiet: rzekłbyś, zapamiętała się oto w przedługim paciezu, zmylonym pod koniec myślą niedobłą.

„Otwórz i życie!” – pomyślał pod te świegotne za oknem rozgłosy radosnego nieładu i pod to ręce, zwichrzonego niestatku pełne kłębienie się słonecznego wiru wokół tej głowy dziewczęcej.

Wyszedł wreszcie. I znów w ciemność wstąpił. Zasłony na oknach były tu jeszcze nie podniesione, a światła pogaszono w żyrandolach. Woń perfum pomieszanych, kurz i duchota jakby od potu ludzkiego zawisały tu w powietrzu pod jedynej świecy gromniczne jakby płomienie.

Usłyszał z drugiego końca wielkiego salonu utykania czyjeś nierówne, ciężkie, w podrywach sapliwych, a za nim rozejrzeć się zdołał, spostrzegł na ścianie przeciwległej cień wielki w ramienia i gestu wyolbrzymieniu upiornym. Pod świecy żółte mruganie miała się ten cień na ścianie jak strzyga, a gdy ramię z kijem wyrzuciło się ku górze, sięgała ich sylweta wydłużona aż hen na pułap. Lecz oto zsunę się nagle ten cień z sufitu, zmalął na ścianie, zczerniał jeszcze bardziej i oto wyrzył się nagle orlim profilem zgrzybatej flowy zwiędłej w dziub nie domknięty. Słysząc kroki kulawe i pomruki starczej ze sobą gawędy. Coś jakby klaskanie tego dzioba czy też syk urągłiwy.

Głuchy, w swoim świecie przeszłości i dumań jak mały zamknięty tym wałęsaniem się po nocy i nagłym ożywieniem na odludziu jak kot tajemniczy – strzygą i upiorem przeszłości snuł się starzec w postypowej głuszy rojnego niedawno salonu.

Oto stoi okraciem pośrodku pokoju, o kij naprzód wystawiony oburącz wsparty, grzbietem pogarbiony, głową hardy i ptasim jej profilem na cieniu zacięty. I kuje laską z uporem dziecięcia w dywan głuszący.

– Przyszło i na was! – słysząc w tym sykliwym bełkocie. – Przyszło! Wojna to zawsze rozpoczyna... Po całej ziemi waszej pójdzie!

Nad tą ptasią głową dygoczącą na suchej szyi chwiały się wciąż u sufitu krąg światła, zaś postać całą opływała otoczą żółta, w rozbłyskach i dogasaniach świecy nieustannie mrugająca, rzekłbyś, tej duszy uparte kołatanie się w ciele starczym.

„Owóz i życie!” – powtórzyło się profesorowi mechanicznie, jak to ludziom książkowym zwykły nawracać takie konstatacje bierne wobec rzeczywistości. Ledwo wychylenemu z półek bibliotecznych błędniaka, pomieszały mu się wrażenia: to dogasanie powolne świetlnego dysku nad sędziwca czołem i tamten wir słoneczny nad głową najmłodszej tu dziewczyny wydały mu się niby dwie pochodnie sił żywotnych na obu krańcach zgnusiałego tu życia...

Zły na swych kroków skrzypienie, cofał się ostrożnie w drzwi najbliższe.

Aliści i tu zatrzymał się na samym progu. Zorzą miejskiego świtu podpylną, ceglastą obrysowana, widniała tu w oknie postać męska jak na ekranie płomiennym. Ociężała i wielka, tyłem do szyb zwrócona, z twarzą pod ten blask na wejrzenie zatartą, spoglądała tylko przed się głową graniastą i skośną opaską czoła; zaś na tym bandażu – profesor zerwał na czoło okulary i rozchylił mimo woli usta – zasychała skrzepem przesiąkniętym plama krwi.

Mówił coś w głąb pokoju. Słuchały go z ciemnego kąta pod piecem oczy wielkie: na niskim krześle, chustą i łokciami w sobie zebrana, zawisała spojrzeniem na jego wargach postać kobiety, wyzierająca z swego zatulenia twarzyczką kostną o zapadłych skroniach i gładkiej firance włosów. Znużenie nie przespanej nocy barwiło policzki ostrym rumieńcem gruźliczym.

– Te nasze nadzieje dzisiejsze na nich tutaj! – parszano pod oknem. – A jakże! Sypną pieniędzmi, majątki oddadzą dlatego tylko, że się kilku zapaleńcom roi nowa era z tej wojny alarmem. Zwłaszcza oni się tu przejmą czymkolwiek!... Zaś naszym doktrynerom przez rok tylko coś powtarzaj, na drugi rok przysięgną na to, jak na artykuł swej wiary. Z wojną się to zaczniesz. Zaraz! – parskał. – Samo się robi. Nerwami się robi. Robotnicy. No właśnie! no właśnie! – sarkał urągłiwie. – Te studenty wagabundy i ambitne po czwartakach niedouki czują tylko tę zapalną nerwicę tłumu miejskiego – sami z tychże! „Dusza ludu” – bo to się u nich duszą nazywa!... Pamiętajcie, jak to Jędrzej Niemsta z Kęt przyszedł do nas po raz pierw-

szy, jak we drzwiach niepotrzebnie z wsiowego nawyku łeb chylił i nogę podnosił, niby próg chałupy przestępując, i jak w ten nasz szwargot zagadywania wszystkiego wygłosił od proga, samemu sobie tym przyjściem do nas uroczysty i jakby namaszczałnie spokojny: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.” I tylko krawczyzna jeden jaskliwy porwał się było z miejsca, zapatrzonej w tę chłopską sukmanę, krztusił się, krztusił językiem w gębie i wyrzucił nagle w ogień twarzy całej: „Na wieki wieków. Amen.” Tak się te dwie „dusze” odrębne powitały przy nas. I właśnie z ich to zahaczenia się czuciem szedł jakby spokój w ogniu, ład w alarmie i wytrzymałość kamieni. Krzepiły się przy tym i nasze dusze, ale już instynkty nam to działywały, nerwom na podtrzymanie idące – nie serca, nie głowy.

Twarz w kącie zatulona słuchała go kobiecym zasłuchaniem wiary: każde słowo uderzało, zda się, w te piersi i przepływało wskroś przez ciało nikłe. Te jego rozmyślenia twarde, które w siebie brała, czy też poranka świeżość wstrząsały nią raz po raz jak osiną.

W tym pobiesiadnym ociążeniu samego powietrza, gdzie z cygarowymi dymy i potraw zapachem mieszały się jeszcze kobiet perfumy i poty, echa ich pogwarków lubieżnych i szelestów jedwabnych, w tę godzinę świtu zjawiły mu się, niby niewychmielonej głowie, wyrosłe spod ziemi postypowe upiory.

Wymiotła pustka dosytu taneczne i biesiadne pary. Pozostało tych czworo.

I pulsy skroni powtórzyły mu nagłym przypomnieniem myśli niedawnych:

„Yitae lampadae traditae.”

CZEŚĆ TRZECIA

Z klęczek nie powstająca, zasluchana mimo woli w to zerwanie się ptasiego świergotu na dworzu, nie odrywała Nina rąk od twarzy, bojąc się jakby ujrzeć dzień jasny. Gdy w rojnym przed chwilą salonie głucha cisza zapanowała przed świtem, a wszystko, rzekłbyś, w nory snu się pochowało, dysze w niej oto i zipie zło popełnione, jak nietoperz zaskoczony słońcem. Błado i niewyraźnie przypominało się jej wszystko, co się poza tym dziś tu działo: to wojny obwieszczenie, pochody i rozhuki na ulicach, ów ranny, któremu opatrywała głowę, goście z przedpokoju, widziani przez dziurkę od klucza, potem opowieść jakaś straszna i jej spłonienie, tak dla niej samej niespodziane, a które tamtych ludzi tak zastanowiło; nagły wir rzeczy wielkich i obcych, w których zatopiła tak skutecznie odpychane przypomnienia, aż do tej chwili samotności, w której zło popełnione za gardło ją chwyciło i zatrzymało wspomnienia na jednej tylko chwili.

Niedawna rysa swawoli, ciekawości i zuchwałego porywu na przemian wcinała się w tej chwili w znużone oblicze rysą twardą, wyczuwalną jak ból. Dłonie ścierały uparcie z twarzy jakby lepki wstręt do siebie, gdy nieustanne przypomnianie jednej chwili ubiegłego wieczora chłodem przerażeń przebiegało przez całe ciało. Zaś ta smuga światła, która przez kurze i zaduchy tej nocy kładła się jej na głowie, niby ciepłej dłoni dotknięcie, rodziła w niej głuche poczucie, że z tego wiru i roju ludzkiego tyle tylko pozostało: ciężkość jej serca i głowy bezradność.

Usłyszawszy szelest sukien, zerwała się z kolan: na pół przytomna, słońcem oślepią, zatoczyła się jak pijana.

Po długiej dopiero chwili orientuje się, że to Lena, która ją tu dziś u siebie przenocować miała, stoi przy niej, głaszcząc ją po głowie i rozpytuje o powody łez zastygłych w oczach.

Odeła się wobec tej tkliwości niedbałej i łaskawej pobłażliwości gestu: odczuła w tym instynktownie ową, rychło przez mężatki nabywaną, mądrość cielesną z jej sceptyczną pobłażliwością dla szamotań się dziewczęcych. A jednak dosytni spokój jej żrzałych kształtów udzielał się jakby przez dłoń głaszczącą. W cielesnym wiewie kobiecej doli upraszczała się jakoś spokojnie cała zagadka życia, a przygnębienie jej niedawne zamieniło się w niepokój rzewny i bezradność zahukaną, rade przytulić się bierną myślą do cudzego bodaj szczęścia.

Lena wskazała jej pokój dzisiejszego noclegu i wiodła tymczasem na krótką pogawędkę do swojej alkowy.

Lecz w progu zatrzymały się obie zdumione.

W mgłą jakby zasnutej poświacie ampli stała Ola owinięta w swą rotundę. Na podniesionym kołnierzu i twarzy bladej, niby w podwójnej ramie w ton zatartej bieli, pulsowały te jej żółte oczy swym niepokojem ciągłym. I zatrzymały obie kobiety w progu niemym pytaniem przerażenia. A postrzegając, że witało ją tu tylko zdumienie, stała się wraz cierpką.

– Jak myślisz, Leno – rzekła zamykając powieki jakoś boleśnie – jak myślisz: gdyby tak gdzie indziej na świecie, u innego narodu, wśród innych kobiet?... Przecież wieść taka dobywa kobietom z serca... no, to ostatnie!

– O czym ty mówisz?

– O wojnie.

– Ach, tak!

– Więc ty nie pomyślałaś nawet o tym – mówiła nie otwierając wciąż oczu – że oni idą, będą szli tygodnie, miesiące, lata może pod twoimi oknami w przemarszach głuchych – na niepowroty.

Nina zipnęła gwałtownie.

– Kto taki? – pytała Lena cierpko.

– No: mężowie, bracia, kochankowie...

– Tak się to mówić zwykło w takich razach uroczystych. Tylko cała wzniosłość tego nie jest chyba po naszej stronie. Będą szli niemo i tępo. Cóż innego dać im mogą kobiety? Zaś mężowie nasi? – zaśmiała się – jeśli któremu z nich branka rzeczywiście grozi – poczęła machać niedbale ręką – wykręca się, wyszachrują z tego „ambarasu”, na to, by także kartą fatalną zagrać może wnet na swoje zyski i dochody w szczękę broni cudzej.

Tu Nina podniosła na nią oczy zdumione.

– Mówisz tak, jak gdybyś chciała...

– Być wdową po niewczesnym bohaterze, dać się spalić na stosie wraz z jego koniem i być pochowaną we trójkę pod takim wielkim kurhanem. Uspokój się, moja droga: nie marzę o tym. Chcę tylko powiedzieć, że nasi mężowie, tak bardzo zresztą słusznie roztropni i wykretni w wojnie pokojowej, dają nam wesołą naukę giętkości. Nie zmarnowaną. Oj, nie!

Rzuciła się niedbale na łóżko. Z dalszych półsłówki raczej i przemilczeń Oli dowiedziały się rychło obie, że ów młody muzyk, który jej tu szukał, otrzymał był przed kilkoma dniami jakieś wezwanie wojskowe, do którego nie przywiązywał zbytnej wagi: wynikało tedy, że i on będzie musiał iść na wojnę. I bodajże jego spodziewała się ona zastać tu jeszcze. Obie kobiety, wiedząc o tym panu Tańskim, z którym wyszła i od którego prawdopodobnie powraca, spojrzwały na nią z błyskiem przerażonego zdumienia za to dziwne przeplatanie się uczuć jednego wieczora. Pod tym ich wzrokiem zatuliła się cała drżąca i przybladła jeszcze bardziej, a wążutkie dłonie, wysunawszy się z ukrycia rotundy, sięgnęły jak macki drżące skroni obu. Trzepotało się w niej serce, a ta nerwów dygotka nasycać wnet ją atmosferę samą. Jej oczy ogromne zdawały się wciąż dziwić, że wszystko naokół jest tak spokojne, jak gdyby nic nie zaszło: jasnym było, że zwichrzone w sobie istnienie chwyta się całą siłą wyobraźni wici zdarzenia wielkiego w nadziejach, że oto świat się odwróci, życie przeinaczy, dusza z sobą uładzi i odnowi się w czymś nieokreślonym.

Jej przyjaciółka tymczasem, cała na wznak wyciągnięta, pogoniła swoje myśli. Założywszy pod głowę ramiona obnażone aż po pachy, zapatrzyła się gdzieś błędnie.

– Cha, cha! ten pułkownik! – roześmiała się krótko. – Widzisz, ja zaczęłam już było rap-sod wojenny i uderzyłam czołem – w śmieszność... Ale co ty tak na mnie patrzysz, Nino? Oczy zaokrąglone takie, pytające, i te łyzy wciąż jeszcze na nich zastygłe. No, ciupa – co tobie? Chodź tu do mnie, przysiądź się.

– Ja ciebie wcale nie rozumiem!

– I nie trzeba ci tego, dziecko, bynajmniej do szczęścia.

– Tylko smutno mi strasznie. I za siebie, i za Olę, i za ciebie...

– To sobie popłacz troszkę. Tutaj! – mówiła, pochylając jej głowę ku poduszkom.

Jakoż Nina nie kazała sobie tego powtarzać po raz drugi, bo ledwie pieściwych puchów czołem tknąwszy, wybuchnęła spazmem w łyzy zasobnym, rozdygotanym bezradnie, wypłakującym sownie w poduszki cały rozstrój duszy dzisiejszy.

– Patrz, twoje „nerwy”! – zwróciła się Lena z wymówką do Oli. I bynajmniej nie starając się uspokajać tamtej, muskała ją po głowie, jak gdyby mówiąc: „Wypłacz się, wypłacz!” I tak ją głaszcząc, nie przerywała sobie rozmowy; podnosiła tylko głos wobec tamtych spazmów.

– Nie wiem, jak by tam było gdzie indziej na świecie, wśród innych kobiet, wiem tylko, jak u nas być musi. Właśnie tak! I gdyby mnie wraz z tobą zebrało się również na łyzy, opłakiwałybyśmy pono przede wszystkim siebie... No, dosyć! – zwróciła się surowo do Niny, potrząsając jej ramieniem. – Dosyć już!

Tedy i Nina zdecydowała niebawem, że już dosyć, i wyciągniętą w tył ręką prosiła o chustkę do otarcia łez.

Zaś Ola, przeniósłszy się tymczasem bezszelestnie jak cień w kąt łóżka, u ich nóg wyświetlała swe oczy żółte jak ta sowa i zahukała nagle głucho.

– Inne byłybyśmy wszystkie!... inne!... inne! Aczkolwiek brakło w tym wszelkiego „gdyby”, Lena nawiązała to łatwo z tokiem poprzednim:

– Mocniejsze, prawdziwsze! – dorzuciła.

I równocześnie widząc obzianie się Niny, zwróciła się do niej łagodnie: – Tam, duszko, jest zwierciadło, idź, popraw się po płaczu.

– One są, na przykład, mocniejsze i prawdziwsze przed sobą – huknęła tamta swoje.

– O, la! la! la! – odmachnęła się oburącz.

– Jakie tu u ciebie wszystko eleganckie! – odezwała się Nina śpiewnie na pokój sprzed lustra. Roześmiały się mimo woli.

– Nie drwicie ze mnie!... Ja tak sobie tylko: dla oderwania myśli.

– Masz rację, duszo! My wszystkie odrywamy tak nieustannie myśli od siebie i nie tylko od siebie, ale i od tych obiektów płci męskiej – ku rzeczom i zwierciadłom. Stąd Oli „przykłady” powiadają o nas, że jesteśmy eleganckie... Siadajże tutaj, a raczej ułóż się wygodnie.

Lecz ona tę ciekawość, przeniesioną w oczach sprzed zwierciadła i luksusu otoczenia całego, przeniosła zezem badawczym na strojność neglizu swej przyjaciółki, na jego barwę jakby stonowaną z mgławofioletowym światłem w pokoju, na te jej ramiona jak śnieg białe, zarzucone pod szopę włosów, w tym półmroku jak gdyby świecąca. Pręży się oto niedbale, pod lekką materią swego stroju zarysem potężnych kształtów prawie widna i na puchach zapadłych jak rzeźba twarda i wypukła. Zapatrzona ku górze dyszy leniwie torsem jak z marmuru kutym, a rozchylonym aż po brodawki nieomal. A mimo to wszystko wydała jej się teraz właśnie jakby mało cielesną: nazbyt już wyniosłą czy surową w swych kształtach dużych. I przypomniał jej się niespodzianie jej dziad, ów major sędziwy przy stole, po czym brat ponury, który lat dwadzieścia był na onych „niepowrotach”. Złośliwa myśl podsunęła w tej chwili sztywne baki barona z rybim grymasem warg. I w tejże chwili w otrząsieniu nagłym zbudziła w pamięci dziś tu słyszana opowieść o samobójstwie Woydy, tuż w sąsiednim pokoju. Spoglądała na przyjaciółkę z chmurną już nieufnością.

Ta druga tymczasem nie odmykała powiek, goniąc pod nimi swe udreki dzisiejsze. Jej nerwów dygotka wibrowała w niej wciąż nierównym tętnem pulsów, szły te tajemnicze prądy nerwów przez światło czy powietrze, uderzając w zopieszale i puchem zagrzaną ciała tamtych kobiet.

– A oni tymczasem idą – rozległo się znów głucho – po chałupach, poddaszach, czwartkach zbierają się na swe niepowroty. A niejednen z nich nie wytrzyma może na sobie tego „po co?” – obcym ludziom w miedze pod ich kule iść nie zechce i będzie wołał sam...

– Na litość boską, pani – zamilknąć proszę!

Z Niny to piersi wyrwał się niespodzianie ten zgoła obcy głos: o cały ton niższy, piersiowo głębszy i jakby o długie kobiece lata dojrzałszy.

– Aa?! – pochyliła się nad nią Lena. – Więc i ty, biedna? Ton był aż za wiele mówiący.

Przewinęła się pod jej ręką i ukryła twarz w poduszkach.

– Hm!... Nie pytam nawet, za kim. Mam smętne wrażenie, że tylko nerwów i wyobraźni winna ci była oszczędzać Ola. W przeciwnym razie nie byłabyś chyba teraz tutaj, między nami: lecz tam! – gdzie bądź, przy nim. A potem: bodaj za nim.

– Za markietankę – wtrąciła Ola tak niespodzianie trzeźwą obiekcją po niedawnym koturnie płaczki wojennej.

Na te słowa podjęła się Lena prężnie i opuściwszy nogi przysiadła na łóżku.

– Choćby za psa, jeśli nie można inaczej – rzekła spokojnie, lecz z takim zaciskiem szczęk, że każdy wyraz przebijał się powoli i twardo.

To nieoczekiwane jej wystąpienie stropiło ogromnie dziewczyny obie.

– I psu nie pozwolą.

– Ale kobiecie, gdy się zatnie na swoim, wzbronić nie mogą i krzyżem naznaczyć muszą – czerwonym.

– Oo!...

– Matka moja szła za ojcem w tamteż kraje jak pies – za jego nogą skutą.

– To jest co innego! – broniła się Ola ze zwieszoną głową. – Bo zgodzisz się, że te akcesoria oraz insygnia „siostrzane” dla... kozaków? No, przecież chyba rozumiesz? A przy tym sama mówiłaś: bierni, niemi i tępi w musie. Jakaż siłę uczuć w nas to niecić może?...

– Toteż Bóg litościwy odebrał nam dzisiejszym tę władzę kochania. I dał nam w zamian ciekawość, imaginację, egzaltację i nerwy; a w nadmiernej hojności jeszcze i roztropność samozachowawczą – jej giętkości uczą nas mężczyźni... O, ja o sobie przede wszystkim mówię – dorzuciła szorstko; lecz spostrzegłszy, że ta jej szczerowość wgnębia znów Olę w jej nerwowe zatulenie, pocałowała ją na uspokojenie.

– No, my między sobą możemy być chyba zupełnie szczerze... Patrz no lepiej, jak to Nina na nas spogląda, uwięziwszy płacz w zagryzionych ustach – bo oczy nie mają czasu: oczy łowią słowa na cudzych wargach, a myśl mota i mota je koło swojej zatajonej udreki. No, co ty, ciupa, tak ciągle?

– Nic.

– Tak cichutko? Ot, co ja wam powiem na pocieszenie. Dawnymi czasy, w szczękę broni i burzach namiętności rozpaczały kobiety po kościołach gotyckich: „Przebacz nam, Panie, bośmy kochały tak bardzo!” A Bóg tych kobiet kochających bywał Nielitościwy: ile stąd rzewnych ballad i legend w wierszach pięknych, którymi żywiły się po zamkach wyobraźnie kobiet, własne jak woń kwiatów. Nam dzisiejszym wypada wzdychać po alkowach: „Przebacz nam, Boże, bośmy tak bardzo nerwowe.” I ten Bóg kobiet nerwowych okazał się... dobroduszny. Wynikają stąd zaledwie, brrr! szpetne ballady plotek, którymi żywi się cuchnąca jak ryszotki wyobraźnia tłumów miejskich. Tego się strzeżcie, dziewczęta moje: zamykajcie okna od ulicy!

Nina leżała znów twarzą w poduszkach i ścisnęła oburącz skronie.

– Czy do Boga dobrodusznego trzeba się modlić nerwami?

– Nie, sprytem mężów naszych.

– Och, wszystko to jest bluźnierstwo słów, śmiechu i ciekawości, i beztronski – i przerażenia może jeszcze: wszystko, co ja dziś złego zrobiłam! Ja chyba nawet myślą nie zgrzeszyłam, bo myśl...

– Śpi tymczasem.

– A złe postęпки nasze – wtrąciła Ola głucho – to tylko bluźnierstwo uczuciom, bo zmysły...

– Drzemią jeszcze.

Tu Niną wstrząsnął ów gwałtowny chłód przerażenia, powracający zawsze ze wspomnieniem tamtej jednej chwili. I poderwawszy z poduszek postawił na klęczkach.

– Więc po co? Więc skąd? Więc dlaczego tamto się stało?! Przecież to wszystko jest takie okropne, że...

– I diabeł nie zrozumie, i Bóg nie spamięta. Nina łkała pod tłumikiem dłoni. Ola zatulała się w sobie, zwierzała jak ukwiał, a ręce wążutkie na chudych ramionkach sięgały skroni bolesnych niby macki drżące. Przyciągnęła je do siebie i ogarnęła obie w ramiona:

– No, cicho, dzieciaki! Cicho, biedniutkie moje. Bywają wprawdzie przezorniejsze od was, ale niekoniecznie lepsze;

Zaś te naprawdę lepsze... Pocieszcie się: takie są smętki czasów dla tych, którym losy nie zapewniły wyrostu i wypasu jałówek. Tylko jedno, Olo: nam bardzo nie do twarzy z rapso-

dami wojennymi; nam wypadaloby raczej skladać galazki oliwne dobrodusznemu bozkowi pokoju... zastoju! – dorzucila, opadajac cięzko na poduszki.

I wtedy dopiero schwycila się za głowę.

Zamilkly na dluzej, w okopach zewszad pościaganych poduszek rozložone na wielkim łozu Leny jak na dywanie. Czasami ktoraś unosiła głowę, lecz słowa niepewne spadały z powrotem w pierś i zadumę. Tylko Oli nerwy napięte nie wytrzymały na sobie cięzaru milczenia.

Z histerycznym uporem powracajac po kolistych bezdrożach wyobraźni wciąż do jednej myśli, jęła powtarzac swoje:

– A oni tymczasem ida. W teje chwili: tam na czwartaku – gdzie ow muzyk. Wiem! Wiedzę po prostu! – mowila, przymykajac powieki. – Gotuje się w droge, uprzata przeszłość uboga pośród rupieci sprzetów lichych. W smietnik nadziei, wszczynañ zaledwie, pamiatek moze jakichś – rozpadło się w tej chwili zycie cale przed tą bladą twarzą, na ktorej przeznaczenie wypisuje w tej chwili czarny krzyż zatracenia. Za co? Jezus Maria, za co?... I po co?

A gdy te cienkie i drzące palce nacisnęły skronie rozbolale, wówczas rozchylaly się oczy pod tym bólem sobie sprawionym. I spoglądaly swym żółtym blaskiem jak pijane: rzeklybys, nie docucone z oglądanych dali w na pół świadomą rzeczywistość.

Lena podjęła się przezornie i zbliżywszy się do niej chwycila ją mocno za ramię.

– Poniechaj tych myśli – mowila surowo, kładac jej zarazem dłoń chłodną na czole. – Tyś nam tu gotowa jeszcze jakim atakiem zakonczyc... I co ty tam widzisz ciągle pod tą powieką drgającą?

– Wciąż to samo, od chwili tamtej wieści.

– Mianowicie?

– Krew.

Lena otrząsła się głową.

– Wszędzie! – szeptała tamta, leżac pod jej ręką na poduszkach z oczami wciąż przymkniętymi; wargi drżały kurczowo, twarz bladła jak chusta, a każde słowo zdawalo się sprawać mękę. – Wszędzie! – powtarzala mimo to. – Na ulicach, gdy szlam: kałuże czerwone, gęste... Na murach chlupnięte plamy... Przyjdzie krew daleka... Bryzgnie na mury... Wszędzie!... Lata!... Będą!...

– Co ty bredzisz?... Przestań mi natychmiast!... Ty byś w tej chwili i wróżką być mogła – bagatelizowała umyślnie tonem tym niedbalszym, im bardziej niesamowitą wydała jej się w tej chwili ta dziewczyna. – Tylko naokoło takich wieszczzeń musiałyby się chyba odbywać dzikie poszczęki mieczów i tarcz.

– Zawsze jednakowo dzicy.

– Mężczyźni, gdy zbrojni? Być może. I kto wie, może i my zawsze jednakie wtedy czujnością niepokoju, przecuciem. Może to, o czym tu mowilaś niedawno: to ostatnie na dnie kobiecego serca jest właśnie tym, co w tej chwili odczuwasz ty. Tylko że na to trzeba mieć serce zwichrzone, zburzone rozterką do tego dna ostatniego. Roztargano ci duszę za ciało w taką aż potworność przeculeń. Rzuconoć biedną w te miękkie, gadzie łapy nerwicy. Nie daj się tej zmorze. Bo to naprawdę zmora jest. Wiedzie, Bóg wie gdzie. Aż myślom strach.

Ten prąd opanowania siebie, jaki płynął z pełni zdrowia i sił jej mocnych kształtów przez dłoń na tamto czoło rozbolale, jął się jakby zmagac z nerwową dygotką, która uderzala nieomal iskrami z tamtej głowy. Jakoż jej sił żywotnych sprzęgłość i uładzenie wewnętrzne zwyciężyły rychło niesamowitą zmorę hysterii. Ola jęła obie jej ręce przyciskać sobie do czoła, oczu, kłaść je na płask na ciemę. Pozwalala na to z obojętnym niesmakiem, rozumiejac instynktownie, że jakiegokolwiek skrzepienie wstąpić może w takie galaretki jedynie w przepływie sił cudzych: że na te kalectwa duszne okład dłoni mocnej jest jedynym kataplazmem.

Jakoż tamta ukoila się niebawem tych swoich sił rozprzęgłych poddaństwem, uciszyła się oczywiście na swój sposób: w znużenie raczej niżli ład.

Wtedy w Lenie wziął górę niesmak: stała się twardą.

– Abyś nam tu nie powracała wciąż do tych samych spraw dręczących twe sumienie, wołę ci sama dokończyć wszczętych rapsodów. Z onym tępym „za co?” i ponurym „po co?” powlecze się przed tamtą bladą twarzą i twego oblicza widzenie... na otuchę! Ile warte cele, tyleż i otuchy, mówiono mi niegdyś. Myślę, że my wszystkie mamy do rozdania tyleż otuchy serdecznej, ile ty w tym wypadku. I równie prawdziwej. Ale na nasze usprawiedliwienie: na równie dzielne i samodzielne ich cele.

Przerwała sobie, by przejść się przez pokój i poprawić zarazem włosów nieład. Lecz krok jej stawał się przy tym coraz to powolniejszy w myśli napływie. Przysiadła na krawędzi łóżka i, preżąc ku dołowi splecione ręce, zadumą z lekka rozkołysana, mówiła głębszym tonem przypomnień:

– Ile warte ich cele, tyleż i nasze dla nich otuchy. Kto działa pod musem, tego przekleństwem jest, że pielęgnuje w sercu fałszywe ukojenia, jak ten, co działa nierzetelnie. Tak mi mówiono. I aż do końca! Bo gdy życie się przerwie, skłamane sercem widmo oczy mu zamyka i całuje usta biedne... Zresztą nie moje to myśli ani słowa nawet nie moje, tylko na pamięć prawie wyuczone w przypomnieniach nocy bezsennych. Ktoś, kogo zapomnieć nie mogę...

A wobec czujnego zapatrzenia się przyjaciółek, powtórzyła ostatnie słowa z wyzywającym prawie naciskiem:

– Ktoś, kogo zapomnieć nie mogę... chciał mi dać w duszę tę wiarę, że wartość życia i śmierci naszej stoi w łączności dalekich bożych przeznaczeń od siły uczuć i głębi namiętności naszych: że one się wzajem w niebo wnoszą i krzyżują w kole żywotnego ruchu. „A zdarza się w dziejach – mówił – że zatrzymuje się to koło w niemocy...” Tak powiadał. Pamiętam wszystko!... A gdy to koło gdziekolwiek w gromadzie ludzkiej stanie, wówczas wzorzystość życia naszego, choć dla oczu pospolitych zda się taką, jak wszędzie na świecie, to przecie każda tej tkaniny niteczka jest barwiona w obłudzie przed sobą, w kłamie serdecznym. „A wtedy – mówił – wam, kobietom, wysychają krynice: wszystkie wy wtedy jednakie, nad mętnymi źródłami sztucznych swych uczuć, lichego ich życia i żalosnej ich śmierci.”

Takie mi smutne nauki dawał. Więc zasłuchana całym zatrwożeniem duszy pytałam: jakie moce zdołają odeklnąć uczuć nieprawdziwość, życia fałsz i bezruch jego? Powiadał:

„Było niegdyś, przed tysiącami lat, istnienie ludzi tak zastygłe między życiem i śmiercią, że po dziś dzień zostały nam te żywe w śmierci mumie. A ta zamrą dusz zmusiła wtedy najmądrzych po raz pierwszy w dziejach świata do myślenia nad tajemnicą ruchu człowieczego życia. Co umyślili, było wtedy kłatwą zakryte. Tylko w egipskiej gdzieś grobnicy rozmyślał takich pozostawili dziwny obraz: zamordowanego boga, z którego serca wyrastają kłosa siewne: odnowa życia... A potem – mówił – po dalszych tysiącach lat, gdy życie wyczerpane z sił swoich stanęło znowuż w bezruchu dusz, jawił się ludziom Bóg inny – zamordowany na krzyżu – jawił się człowiekiem. Więc odtąd nie było to już tajemnicą sił ducha, lecz wiedzeniem o niej: wiarą! – Tak mówił. – A gdy po nowych tysiącach lat u innego znów narodu ruch życia stawał i stawał ciągle, a Boga nie było, wówczas ludzie z wiarą ową targali, targali raz po raz koło bezruchu śmiercią swoją. Wtedy była wielka prawdziwość uczuć ludzkich i pogodna ważkość życia i śmierci: był ruch!...”

A wówczas krynice wasze kobiece poily uczuć i namiętności potęgą!”

Tak powiadał. Taką mi studnię na piachu życia mego kopał. A nie dla mnie tylko. I tak zatrudnionego...

Zacięła się w przydechu tak głębokim, że zdawało się dziewczynom, że ten żal głęboki chyba w żyły jej się z piersi rozplynał, gdy mimo wszystko spokojna, kończyła po chwili.

– Tak zatrudnionego w onej studni ja sama przysypałam piachem mego życia!

Odeszła w głąb pokoju, dokąd nie dochodziło ani światło ampli, ani dogonić jej nie mogły zaognione słuchaniem oczy dziewczyn. W mrocznej oddali znaczna była tylko wyświetlająca się plamą na poły rozpadłych włosów, z którymi porały się ramiona białe. Pochwyciła z kąta jakąś chustę ciemną i otuliła się nią cała, jakby powstydzwszy się nagle tych włosów obfitości, tych ramion nagich, tego tchnienia ciała od piersi nie przysłoniętej i swego stroju barwności.

I tak wsiąkła w ocmę pokoju, sama w cień zatarta.

By po chwili podjąć znowu w tym musie pod wspomnień nawałem:

– I onego wieczora ja to właśnie, ja sama, jak ten skłamanym sercem wid otuchy, zamknęłam mu oczy i ucałowałam usta zimne – zadrgało krótko w ponurym przypomnieniu warg.

Tym dziwniejszym i jakby rozczarowanie niosącym wydał się dziewczynom po długim milczeniu głos jej jakby w sobie zacięty i hardy:

– Zresztą ja nie dam pogiąć się nawet i upiorom. Im gorszą się czuję, tym bardziej upartą być muszę: ot, tym kobiecym ratunkiem siebie samej przed sobą. I myślę wtedy: może wszystkiemu było winno to, że ja się rodziłam na taką, która raczej jak pies za skutą nogą pójdzie, niżli ptakiem za cudzymi skrzydłami polecą. I nie spadnie, nie spadnie nazbyt rychło w życia fałsz, już potem – bardziej niżli kiedykolwiek – nieunikniony. Bo mi te drogi gwiazdne każdy dzień życiem uśmiechnięty gasi. Mój diabeł trzeźwości szepcze mi wtedy do ucha: „A te wysyłania rojeń na gwiazdy nie dzieją się one także dlatego, że życie stoi zatrzymane? Tam drogi wolne!” Osobliwie dla tych, co są właśnie jak te mumie na wspak: martwi w życiu powszechnym tym niedołęstwem swoim własnym. Zaś co górnym pomyślane, to ładnie powiedziane, co ich do łez szczęścia roztkliwia, maż to naprawdę dawać życiu... siłę i hart? A tak roją oni przecie. Czy aby te nici ich właśnie najbardziej wzorzystych tkanin nie są barwione w kłamie wobec życia? I czy ta ich krynica nas... dzieci bezruchu – nie poila nazbyt długo najtraficniejszym kłamek serca? Osobliwie nas, kobiety? Czy ta nieprawdziwość nasza i życia okólnego nie pochodzi i stąd? Romantyczne my tu wciąż jeszcze bywamy, gdy się zdarzy, że duszą ocknięte – och, i jak bardzo zapóźnione wobec świata całego! I w jak żalosej karykaturze tego, co było niegdyś! I w jak koniecznej może? Zwiertzała siła wina starego w jad bezwiedny dla dusz... Myślę czasami: czy to nie było jemu trucizną właściwą, którą on zgotował, a ja mu podałam?

Lecz w tejsze chwili załamał się jej głos w niepewności: zmiłkła. By po długiej chwili podjąć głucho, w zatłumieniu:

– Błuznię pamięci potwornie! Odrzucam na niego jak kamienie, ledwie na wspak obrócone, najgorętsze dary jego słowa. I tyle tylko mocy w mym kobiecym myśleniu.

Tamte obie z trudem ogarniały już jej myśli; z tym większym skupieniem słuchały tego głosu dochodzącego z ciemni pokoju. Dziwnym aż do niepokoju stawał się dla nich ten targający się w biegunowych sprzecznościach spowiedny ton duszy, jakby wycofanej tam, w ciemnię – z tych tu luksusowych ram jej kobiecego ciała. Słuchały:

– Błuznię. Purpurę marzenia, złupioną z ofiary, obracam na nice rozsądku i stroję w nią cielesną trzeźwość kobiety. Każdym postępkim moim za dnia to czynię. A w samotności stoję pod pręgierzem jego spojrzenia, w którym zamieszkało me sumienie. I pytam – ot, jak teraz: „Prawdaż to, że ja bym poszła za cudzą taczka?” Odpowie: „Brat twój był tam lat dwadzieścia; myślałaś o nim wiele?” – „Dzieckiem z tą myślą wzrosłam; nie znałam prawie przed powrotem. Zresztą: brat że to? A ja jak kobieta pytam. I nie żebym czynić to chciała, lecz abym wiedziała, jaką jestem! Czy poszłabym za kimś – kochającą?” – „Czym? – odpowie mi – ciekawością, wyobraźnią, egzaltacją, wspomnień mętem, ciała ogniem? Niedaleko zawiodą – one zawsze prowadzą tylko w koło bez wyjścia. Wszystkie wy dziś jednakie w tym zaklętym kole uczuć sztucznych, lichego ich życia i śmierci żalosej...” Tak się oto błąkam teraz ślepa tam, gdzie mnie porzucił: w szukaniu prawdziwości swojej. I pytam jak wtedy, w grób rzucam pytanie dawne: „Jakie moce zdołają odeklnąć ten zalęgły fałsz uczuć i życia oraz

ich niemoc?” Odpowie mi: „Oto dałem ci, kobiecie, sumienie ruchu. Może z jakich serc pogrobnych wyrosną siewne kłosy odnowy życia oraz ich ziarna słodkie jak w wolnych duszach – prawda uczuć.”

Zamilkła.

Teraz dopiero stłumiło się przyśpieszonym oddechem zasłuchanie dziewczyn. Ola podjęła się, zawsze bezszelestna jak ćma, i idąc cieniem w głąb pokoju szeptała z przerażeniem:

– Więc my tymczasem, jak urzeczony, jak przeklęty?

– W serce bierz, a nie rozpytuj. Och, i nie budź mnie! Jakoż stała się niebawem jakby inną, bo odezwała się głosem szorstkim:

– Toż ja wam opowiadałam o kobiecie, w której dusza już nie śpi – która się już stała: z życia i ducha, jakie wokół niej są – która jest, jak każda z nas, swoją współczesnością, swoją gromadą na wskroś: w rojeniach i żądzach nawet! Moje z nim sny na jawie inne w tonie być nie mogły: właśnie im bardziej ja byłam kobietą! Ciągłe, ciągle jeszcze jest na dnie ostatnim serc naszych coś, co trwogą ruszonego sumienia wiedzie nas w koło plemienne... Ja ciebie od razu odgadłam, Olo!... Tylko tym wróżbowym wyczuleniem naszym, które targają mężczyzn opieszale ramiona, potrzeba i skrzydeł cudzych, i cudzego ducha. Bełkoce w nas duch niedołączny i wiją nami jak gadem bezskrzydłym żądze nasze.

– Ach, po coś budziła! – zachnęła się po chwili opryskliwie jakby przed zbliżającym się już napływem innych myśli. – My otrząsamy się i same nazbyt rychło z tych krótkich chwil ze sobą; myśli wnet skakać nam poczynają po rzeczach i zwierciadłach.

Nina, która z miejsca się nie ruszając baczyła tym czujniej, spostrzegła niebawem, jak w głębi pokoju zatulona dotychczas postać rozwidniła się nagle. W swym stroju jasnym zbliżała się ku niej Lena, podnosząc znów ramiona ku włosom jakby dla przeciągnięcia się po tym odurzeniu niedawnym. A wstąpiwszy w światło, mrużyła powieki i uśmiechała się cierpko.

– Takie to winy moje wobec niego były – zwracała się jakby przez pół tylko do swych przyjaciółek, bo więcej ze sobą wciąż jeszcze mówiąc. – Takie przewiny! Ciężkie, widocznie, skoro mi one tak duszę na pół roztargały w swarze nieustannym ze sobą i tych wyrzutach ciągłych. Takie winy... Że kochałam tym gwałtowniej, z tym większym uporem i niesytością, im bardziej pijana powracałam z marzenia; że życiu czy memu diabłu trzeźwości na pokutę tym gorszą czuć się wprost chciałam, im szlachetniejszą wydawałam się sobie lub komu. O, ten ogień przez nich wszystkich tylko całe życie w nas podniecany, a przez jednego potem, zwanego mężem, tylko oszukiwany!... Wiem, co mówię: właśnie brutalną być teraz chcę! Powiem wam więcej: nie pojmuję dziś dobrze swego stanu podówczas, ale pod koniec omal... omal nie był równocześnie – ktoś trzeci! Pogardzałam sobą chwilami aż do odrazy, tym rozpaczliwiej garnęłam się do Woydy i... cha, cha! „szanowałam” męża, jak to kobiety zawsze wtedy, a zarazem wydawał mi się on chwilami w tym niepodejrzewaniu niczego – żałośnie głupim. Otworło się całe piekło przede mną – za sprawą jego, Woydy! Niepokój duszy kobiecej ruszony marzycielstwem i pierwszym ustąpieniem rozpętał najczarniejsze zło kobiecego ciała.

– Ach, i nie dbam o wasze w tej chwili rozczarowania – rzuciła ku dziewczynom – odstrychnięcia się pytające. Patrzcież, wy jeszcze kobiety w sobie czuć nie umiecie, byłoż to leżać przed czasem w jej zło. Toż ja wam, dziewczęta głupie, które nabroili nie wiadomo czemu, toż ja wam opowiadałam o kobiecie, w której myśli już nie śpią, a zmysły już nie drze mią: ja wam mówię o dusz naszych przepołowieniu, gdy ocknięte. O tych spadach z ekstazy białej w mściwość życia nad nami: otóż ja nie jestem właśnie tak szlachetna ani wniebowzięta, jak się komu i sobie do łez roztkliwienia niedawno wydawałam. Diabeł mój wie coś o tym. On rad słucha chichotu mego... Podobno nadmierna żarliwość wiary, o krok jeden od świętości, wiodła nieraz na sabaty słabiznę dusz kobiecych. A diabły jak złośliwe małpy powdrapywały się na wieże najpobożniej szych na świecie kościołów gotyckich, obsiadły je w krąg i wychylają swe złe mordy zza każdego węgła. Zaś tam, gdzie się wieżyca tylko dlatego urywa,

że Boga nie dosięgła, tam właśnie w kamień po dziś dzień zakłete – przeklęte – sprawują diabły orgie z mniszkami, rozpętane tym właśnie urągowskim nad słabizną dusz ludzkich. I tym może jeszcze, że ich żarliwość pobożnych tam, w górnych ukryciach, nie dojrzy ani się nimi zaciekaw. Na razie.

Urwała, by po chwili podjąć znów tym tonem zgłuszonym:

– A w nas, dziś, wszystko to jest z duszy kobiecej przepołowienia, rozdarcia: na ten romantyzm spóźniony, na jego męt wiekowy – a w drugiej połowie duszy na tę niemoc i zakłamanie uczuć w zastoju. A czepia się to właśnie natur najbujniejszych, w których rojenia zagniają się do białego żaru... Dobrze, licho dobrze, gdy nawyki i próżności dostatku, dzieci, pan mąż roztropny, podsuwający nieustannie tak zwane „obowiązki” kobiece, potrafi się uporać z bujną w nas naturą.

A jeśli nie?

Kłątwa ciąży na tych z nas, które się rodziły z dawnych sił bogactwem... Po pas w piachach, stłumione, zakłamate, o sobie nie wiedzące... I przerażone w osłupienie, gdy z jakiej roztarganej do cna duszy kobiecej błysnie dnem serca ostatnim: krew... I zasłuchane, jak te czajki u wyschłych swych źródeł w grzmot burzy dalekiej.

Takie my dziś tu jesteśmy: rodzone dla silnych, niewolnice roztropnych, fascynowane przez słabych, a wplecione w to koło niemocy i bezruchu życia.

Opadła znów na wznak w poduszki. A z tym opadem w puchy niżły się wraz i myśli. Błysło jej, że po tych zwierzeniach winna się jakoś usprawiedliwić ze swojej zewnętrznej sytuacji.

– Och – mówiła tedy – nic żałośniejszego nad to, co ma próżność kobieca kupiła na targowisku szczęścia. Nie tylko, że był bogatym mój pan mąż... Choć i to także!... Głównie jednak, że był na widoku, na czele nieomal wszystkiego, co się tu dzieje i za zezwoleniem działać może. Rządzenia, wpływów mi się chciało, skoro już nie ma takich, którzy władają. A mój pan mąż wysoko mierzy. I także roi w zagadkowy dla mnie sposób. Jak go ta wiadomość o wojnie radośnie wzburzyła! Jak mu się rozbłysły oczy! A pierwszym przecie odruchem do mnie przyszedł. Ceni, jak to powiadają... A jednak ta dwoistość ich uczuć, gdy są bardzo próżni! Wiecie, jak mnie raz nazwał pan małżonek wśród swoich tam kamratów? – że jestem doskonałym „Paradepferd”. Mój pan przy dobrym cygarze i winie wyraża się szczęśliwiej po niemiecku... Paraduję tedy pod siodłem mieszczkańskim na oczach zwierciadeł i ludzi w spokoju dosytu, w równowadze próżności na piachach mego życia.

– I ty to mówisz?

– Pytasz mnie, Olo? Bo już sama nie wiem, czy z kim, czy ze sobą rozmawiam. Właśnie ja, bo cenę osiągniętej harmonii znam dobrze.

Spoglądała chmurnie ku górze, w tę banię u sufitu, sączącą chłodną, ckliwie fioletową zardymkę światła.

– Wszystko to obrzydliwość jest, do czego nas życie i cnota uprawnia, oddając młodość naszą na leniwą konsumpcję cudzego nawyku. Przenieść taki pokój i mnie na łożu do innego lokalu – a mężowski cachet całego meblunku pozwalałby to uczynić – byłoby wtedy mniej dostojnie, ale za to wymowniej. No i – zabawniej trochę.

I dorzuciła wnet jakby gdzieś poza siebie przez poręcz łóżka:

– Ciesz się, mój diable: nie tylko pomyślałam, ale powiedziałam głośno najbardziej ukrytą myśl mojej pokutnej dziś cnotliwości.

Tu Nina odezwała się niespodzianie. Usławszy sobie było tymczasem całe gniazdo z poduszek na bardzo pilne zasłuchanie, a uwagą niemocną motająca raczej rwane wciąż nici swoich myśli – teraz wreszcie ją coś mówić w sufit zapatrzona. Bąkała na pół łzawym czy też sennym głosem:

– Tam jest taki wielki, czarny Murzyn: wiesz? Straszny taki. Ten, co wtedy wieczorem: wiesz? I tacę ma taką mosiężną.

– Więc co z tego, ciupa? – przerwano jej zdumieniem tę bezładną dygresję.

– Nic – odpowiedziała stropiona i pogoniła już w milczeniu swe myśli jakoś bardzo niejasne.

Tedy i Lena powróciła do swoich, lecz zanim nawiązała wątek, Nina odezwała się znowu.

– Powiedz mi: twój brat miał podobno niegdyś jakąś panienkę?...

– W porę odezwała się z nią! Dziwna rzecz: jak takie słuchanie instynktem czujnym zawsze w porę ze swoim się wyrwie! Skąd ci to ona na myśl przyszła? I kto ci o niej opowiadał?!

– On sam.

– Także! Miał też o czym!... Ona poszła, jak to powiadają, na złe drogi. Na bardzo złe drogi. Przez niego do tych jego spraw wciągnięta i zapalona – a smarkaczami byli wtedy oboje – razem z nim też i „wpadła”. Zaś po jego zesłaniu w bardzo niedługim czasie... spadła – od razu na oficerów.

Nina pochwyciła to spóźnionym uchem, pochłonięta widocznie bardziej swymi myślami, które zdążyły już odbiec w inną stronę.

– Jakich tam oficerów? – pytała roztargniona.

– No, chyba tu nie o barwę munduru idzie?

– Ach, Boże! – zdziwiła się zdawkowo, bo w nagłym znów przeskoku myśli za czysto zewnętrzna, dźwiękową asocjacją pilno jej było opowiedzieć:

– A wiesz, widziałam tych żandarmów dziś przez dziurkę od klucza!

I ją opowiadać, jak to było.

Tedy Niny bezładne myślenie i skoki jej uwagi już widocznie znużonej tym wszystkim, co tu dziś słyszała, rozbiły kobietom zupełnie nastrój. Oto w nowym przeskoku myśli niszczyła go już zupełnie opowieściami rzeczy błahych, w tym dziecinnyim prawie rozgadaniu się w progę przedsennego znużenia.

Miała ciepłe policzki, przymrużone szklące się oczy i miły dźwięk z lekka zaspanego głosu.

– Och, Boże – przeskoczyła znów myślą – jaka panna Ola jest teraz strasznie ładna! Twarz niby popiołem przysypana, a z oczu idą takie ognie złote... Niech pani na mnie tak nie patrzy!

Osunęła się na poduszki i zakrywała dłońmi; by za chwilę wyrzeć spod nich ciekawie:

– Uch, jak strasznie!

– Dajże pokój – krzywiła się Lena na to dzieciństwo.

– Kiedy ja tak pasjami lubię drażnić siebie wszystkim, co straszne!... groźne!... niebezpieczne! – opowiadała jak samej sobie bajkę przedsenną.

Na to popielne oblicze Oli skierowała Lena czujną uwagę, jakby w obawie nowego ataku. Lecz pod jej wzrokiem przelały się jakby w tamtych oczach te płomienie złote w nagłe zamknięcie źrenic – właśnie jak u sowy: zamknęły się powieki, nie wytrzymała na sobie mocnego spojrzenia.

Zwróciła się tedy ku tej drugiej, ciemnej głowie, bacząc na jej rozszerzone znużeniem, czarne, pulsujące źrenice: małe jak grochy, złe, niespokojne oczy.

– Cóż wy się stajecie tak przedsennie niesamowite, jak te koty?...

Niebawem wszakże zmorzył i ją smęt nagły, w którym rozwiewały się początkowo myśli wszystkie, by uczynić miejsce przyływowi wspomnień, w obrazach tak jaskrawych, że aż serce tłuc się w piersiach poczęło.

Niepokój dziwny zatrzepotał się nad nią.

I tak oto w pierwszej chwili wyczerpania innych zapanowała natychmiast Olina zmora: jej zwichrzonego życia tętno nierówne i pulsów dygotka, nie wyczuwając oporu cudzej woli, brały w upiorne posiadanie atmosferę całą.

Tymczasem te jej nerwy, wyprzedzające słuch przez ściany, kazały jej się obzierać poza siebie niespokojnie. I odgadywać wraz, czym może naprawdę zaniepokoić rozjątrzoną wyobraźnię Niny, ukrywającą się bezwiednie w skokach znużonej myśli. Odgadując to, obejmowała się raz jeszcze i rzekła z wyrafinowaną flegmą udręczenia:

– A teraz wejdzie Murzyn.

Nina w mig zeskoczyła z łóżka i zapatrzona w głąb ciemną, cofała się tyłem za poręcz.

– Nie, moja pani! nie! O, bo pani nic nie wie. Ja się jego naprawdę boję... Leno, nie daj mnie! – doskoczyła do niej i przypadła do kolan.

I w tejsze chwili wydała zdławiony w gardle krzyk, trwogi.

Portiera w głębi rozchyliła się w postuku pierścieni na gzymsie. W ramie otwartej stanął baron: biały koszulą do pasa; szelki na ramionach i trójkąty baków znaczyły się mocno na tej bieli.

I wraz zniknął za zasłoną.

– Pardon! Mille fois pardon! – wołał w zmieszaniu po francusku.

Na spokojną twarz Leny rzuciły się krwawe pąsy. Zagryzała usta; nie przemogła się jednak i odrzuciła podrażniona w tymże języku, w jakim do niej przemówiono:

– Oo! – vos bretelles alors!...

Jak gdyby ten jeden, tak pospolity szczegół mężowskiego negliżu, przepelniał ostatnią, błahą kroplą czarę zawstydy i gniewu.

A zza portiery rozległo się w brutalnym niepohamowaniu:

– Skądże, u diabła, mogłem być wiedzieć! O tej porze! Dziewczyny ogarnął popłoch: poczuły tchnienie władzy pana. Całowały zdawkowo Lenę, aby pomknąć się co rychło ku drzwiom: prawo przynależności czyniło je instynktownie kornymi. Pochwyciła je za ręce.

– Na litość boską, przecież nie pójdziecie tak natychmiast!

A uprzedzając nowe uderzenie rumieńca, ukryła twarz w dłoniach.

I tak stała oparta o poręcz swego łoża: negliżem barwna, ramionami i piersią goła.

By po ciężkiej chwili odezwać się spod dłoni:

– Oto jest tymczasem jedyna istotna prawda kobiecego życia.

Przedsenna trwoga rozjątrzonej wyobraźni na myśl o zjawieniu się „Murzyna” ocknęła w niej czujność współspioną. Nie mogąc teraz oto trafić do przeznaczonego dla się pokoju, błąkała się po mieszkaniu ciemnym; zaś to drzenie już serca samego, które tłuc się poczynało w piersiach, przyniosło jej nieobjętą trwogę przed złem w myślach, z którego rodzą się upiory wyobraźni. Leny popłoch przed chwilą i jej słowa ostatnie brzmiały jej teraz w uszach jak zgrzytliwe pęknięcie tej struny, na której wygrywała swym przyjaciółkom jakieś niedobre rozmarzenia. Struna pękła w fałsz, stokroć gorszy niżli ten w opowiadaniu rozumiany.

Błąkająca się wciąż wśród ciemnych pokojów i tym coraz bardziej podniecona w wyobraźni, odczuwała głucho niepoimnymi myślami, że wśród tych tu ludzi przybywa wciąż tego niepokoju przed złem w myślach i czuciach. Rozpoczęło się to – pamięta – od rozkołysania zmysłów atmosferą dosytu, od tego niestatku ciekawości drażnionej, a skończyło tak rychło bezwiednym rojeniem o rozkoszy: wówczas przy stole, gdy oczom przymrużonym zawistnie wydało się, że wszystkie te rozszeptane kobiety kosztowały wszak najśłodszych owoców życia. A ledwo tamci wszyscy od stołu wstali... Powrócił znów ten gwałtowny otrząś chłodu, który starczył za wspomnienia tamtej jednej chwili... Utajone krople marzenia o rozkoszy były w tej zabawie ludzi po salonach i przy stołach biesiadnych. Lecz tam oto, w Leny alkowie, przed puchowym ołtarzem jej białego ciała – domieszane jest już do rozkoszy zażycia coś więcej: bo wino ducha, tutaj zaprzepaszczonego! Dawniej słyszana opowieść o samobójstwie Woydy stanęła jej upiornie przed oczami.

Uchyliwszy drzwi najbliższych, wydała krótki krzyk i rzuciła się w tył.

Tam w głębi na tle portiery stał on z swą twarzą czarną i białopołykliwymi ślepiami – on, który wówczas podawał było Woydzie truciznę, on, który dziś tu patrzył na jej grzech.

„To jest ten bożek pokoju... zastoju – pomyślało jej się nagle – któremu Lena radziła szycerco składać obiady.”

Szarpnąwszy drzwi najbliższe, dostała się do biblioteki, skąd ją niedawno zabrała była Lena do siebie. Światło poranka, jakie przez rozchylone okna padało tu, sprawiło, że uczuła się znowuż jak ten nietoperz zabłąkany w słońce, w którym dyszy oto i zipie całe gnuśne zło noc, zatajone po czuciach, myślach, przypomnieniach i wyobraźni...

A gdy wstąpiła w tę smugę światła pod oknem, otrząsała się w jego ciepłe od stóp do głowy, sama w tej chwili, jak ta zmora ocknięta. Z dłońmi na oczach osunęła się na kolana – do pacierza zdawało się jej – czyniła to już po raz drugi w swej bezradności dzisiejszej.

Słońca muskanie ukojne niosło spokój w młodą głowę i potrzebę uładzenia myśli, objęcia zeznań swoich.

Jęła tedy mimo woli wspominać wszystkie swe przeżycia dzisiejsze.

Tamtych mężczyzn krzątania się przymilne za jej spódnicy szelestem, śmiech z niej wylechtywany pustoty gamą lub niecierpliwym chichotem po kątach. „Błahaś!” – mówiło jej zwierciadło samo powtarzanym spojrzeniem wszystkich tych ludzi, którzy bawili się jej młodości niestatkami aż do spazmu nieomal jej nerwów drażnionych, I tylko jeden człowiek hardość życia młodego w niej budził – człowiek obcy, szabli pobrząkiem od innych w przypomnieniu wyróżniony. Bo gdy za innymi oglądała się pamięć, widziała z kolei tamtych panów powagę karcianą, ich narady obywatelskie, polonezy posuwiste, toasty biesiadne – a wszystko jak polonez jeden: szumne, uroczyste, wielce szanowne... I oto ruda głowa aktorki błogosławiona przez najczcigodniejsze ręce za to, że wszystkich tych ludzi istnienie przypomina światu swoją sławą rozgłosną. Za czym oklaski wielkiego roztkliwienia, kieliszków brzęki, wina upojenie, kobiet poszepty i pogwarki, ich obnażonych biustów przydechy głębokie i najsenniejszego walca rozkołysanie lubieżne... I nagle obcego słowa w te wszystkie głowy

uderzenie: „Wajna!” I jej, najmłodszej tu między nimi, pierwszy krzyk. Tuż obok siedział on z bladym przerażeniem na twarzy, za rękę przez nią kurczowo ściskany. Wszyscy niebawem powstawali w zamęcie; oni oboje z miejsc się nie ruszali, jak te dzieci alarmem w osłupienie ocknięte i zapatrzone tępo w ludzi starszych. Zaś tam, naprzeciw: starczej ręki miotanie się dziwne i tej głowy sędziwej kołysanie urągliwe.

A potem, ledwo tamci wszyscy po pokojach się rozeszli, w jej rozkołysane zmysły i targniętą wyobraźnię rzucona żagiew; potem tamta chwila, która przypominała się tylko mrozem przerażenia.

To jedno pozostało w pamięci: jego dusza słaba, roztargana tu już wniwecz, i ciało bezduszne, wywlekane na wojnę daleką. I ona sama powalona pod spojrzeniem tej kukły Murzy-na... Podczas gdy za oknem grzmiała równocześnie jakaś surma mosiężna i śpiew jak wichler: tak się młode obce życie hardo obwoływało tam...

Zaś potem, sama nie wie, jak trafiła za progi: w te labirynty półek z książkami niby ściany katakumb, w pyłu i pleśni woń i ponure jak w grabami ociążenie piersi. Na czole rozpalonym Wandy dłoń chłodna, a przed oczami ta głowa graniasta pod bandażem, ta wiecha włosów, które osiwiały hen, daleko. I opowieść tamta... I to milczenie wraz z płaczem uparcie w piersiach trzymane: do pyłu i pleśni starych książek domieszany, ostry, całą duszę jakby oczadzający zapach krwi!...

A potem – to, co u Leny było: Oli oczy straszne i jej bełkoty wtedy. Dalej, zapadłe mimo wszystko na dno duszy słowa Woydy, powtarzane ustami Leny. Wreszcie tej struny pęknięcie zgrzytliwe w fałsz kobiecy, niosący już tylko przypomnienie tych diabłów, co poobsiadały wieże kościołów.

Dłonie bezradne poczęły znów ściskać czoło i twarz całą. A ta rysa niestatku na policzkach dała się znów wyczuwać na obliczu jak ból: nadmiar życia wrył się w twarz młodą stygmatem męki nieomal...

Z gardłem ściśniętym, w swych myślach zbłąkana rychło zupełnie, wciskała głowę bezradną w splecione ramiona.

Aż póki nie poczuła na nich czyichś potrażeń gwałtownych. Podniósłszy oczy, ujrzała nad sobą starca wspartego szeroko na kijach i głowę jego suchą, wychyloną zdziwieniem na długiej szyi. Nad coplami wąsów, w dziobie twarzy zgrzybiałej żarzyły się źrenice drobne na szarych, zamączonych starością białkach, niby żuźle w popiele. A spoglądały te oczy tak przenikające, że mimo woli przystłoniła się od nich dłońią.

– Co ci! – mruknął krótko i trącił ją swym kijem. – Czemuś tu? Mów!

Zamierzała powstać z klęczek, lecz w zachwianiu się nagłym sięgnęła jego kolan i uwisła na nich. I już sama nie wiedząc, co i dlaczego to czyni – chyliła głowę jeszcze niżej...

– Co ty?!

Przez nią w swych ruchach obezwładniony i w zdumieniu jakby stężały, stał tak cierpliwie czas jakiś. Po długiej dopiero chwili znów ją kijem trącił: usuwał od siebie. Przysiadł z trudem na kanapie i w swą żylastą rękę ujął ją z tyłu za głowę tak mocno, że trzymał ją nieruchomo przed oczami. I znów sama nie wiedziała, dlaczego tak przytakiwać musi całym wejrzaniem coraz to bledszej twarzy. Zagniewały się brwi jego: pytał jeszcze chmurniej; wówczas spod jej powiek opadłych toczyć się poczęły łzy ciche.

Puścił wreszcie jej głowę z zacisku twardych palców, uchylił włosów na skroniach, patrzył badawczo na czoło otwarte.

– Tak! – odezwał się wreszcie. I tą zadumą wlepionego spojrzenia przyłgnał do jej czoła.

Zapamiętał się w myślach starczych pod sapliwe rozchylenie ust.

Po długiej dopiero chwili podniósł kij i grożąc nim jakby poza siebie, ku pokojom:

– Tam na stołach – mówił głucho – pozostały nie dopite kieliszki, resztki potraw i kwiaty powiędłe, po salonach zaduch i czad. A tu – ty! niby ten kielich nadpity, kwiat pomięty, jak ta żywa resztką, osad i męt tego ich życia... Boję się, że ten osad i męt młodością tu się nazywa!

Rozkiwała mu się głowa, słowa mrukliwe już się do własnej zadumy tylko zwracały:

– Boję się ja, że w tym męcie i osadzie sumienie ruszone tego życia będzie!... Gnuśność wszystkich zło w myślach i czuciach warzy: młodość w siły najzasobniejsza na swe biedne dole i czyny je weźmie i – rozniesie, rozwlecze po życiu.

Ocknął się z zadumy i zachnął, teraz dopiero spostrzegłszy, że dziewczyna, słów jego niewiele słuchająca, przypadła tymczasem do jego ręki.

– A jakże! – parsknął, tknąwszy ją twardym palcem w głowę. – Takiej głowinie każde słowo surowe teraz jak to księdza fukanie – i tyle jej pewno trzeba na ulgę duszy... Nie ksiądz ja! – sarknął – nie do kobiecych mi dziś przewin i kajań się. Czego innego pytałem się oczu i czoła twego.

Wartości życia samego patrzałem: jaką to czarę wypełnili oni mętłem swoim? I nie jedna mi twoja głowa dziś na myślach, a gromady ich całe... Bo dzwon mi dziś w głuche uszy uderzył, dzwon! – chylił się ku niej krzykliwie z kiwaniem ręki koło swego ucha – dzwon na czasy, które idą. I te nagłe myśli o życiu, o przyszłości, o was młodych postawiły, patrz, uparciej na odrętwiałe nogi, zapaliły ostatnie może jasne płomienie w tej głowie starej. Urwało się na chwilę w oddechu ciężkim.

– A staremu nikt tu ucha nie użycza; mumią żywą uczynili, sługom w opiekę, gościom na nieme respektowanie oddali. Sam ja tu, po nocach żywy, jak ten ich upiór postypowy, gdy mnie śmierci lęk lub myśli udręka uwstrętniają łożę. Saam! – huczał jej nad uchem.

A jej się zdawało, że te oczy uwypuklają się jakoś dziwnie w tej chwili, wystawiają mętłymi białkami i, zaskoczone zadumą, patrzą zezem, jakby nie widzące w roztargnieniu myśli.

– Chciał boży przypadek, by się śmierci starszej trwoga takiej ot jętki o młode życie zadumą pytała... I kto wie: może my mamy wiele do pomówienia, do zrozumienia: my oboje. Bo, widzisz – kładł jej twardą rękę na głowie – jest dusza gromadom ludzkim wspólna, która i takie nawet dwa bieguny życia jednym czuciem wiąże. A jednej to duszy koleje: i ten ludzi dzisiejszy obyczaj, i mego długowiecznego życia utrudzona daremność.

Rozkiwała się staremu szyja, a słowa głuche w dal odeszły. Mówił już zupełnie niewyraźnie, sobie tylko, przy miękkich, jakby żujących, ruchach warg. A w miarę tej mrukliwej gawędy ze sobą dygotała coraz bardziej ręka na kiju rozkołysanym.

– Wiesz ty – pochylił się do niej nagle twarzą – jakie jest w złym życiu tych ludzi zło najgorsze? Duszy w każdym zaprzepaszczenie. Bo za tym idzie niechybnie – zdrada tej wspólnej.

– Taak! – wyszeptał jej w usta prawie i ledwo w tył się nie cofnąwszy, trzymał ją tak pod zezem oczu zawsze zadumanych. – Zdrada.

Ręka z kijem wyrzuciła się znów w tył, na pokoje wskazując.

– A to jest tej zdrady nora i ognisko: cały ten ludzi obyczaj dzisiejszy!

Wmyślił się widocznie w rzeczy nazbyt wzburzające siły niedołężne, bo niespokojnym ruchem rąk obu począł odpędzać je od nabrzmiałych skroni i posiniałej w tej chwili twarzy.

„Helena!” – zaplątało się jakoś dwukrotnie imię wnuki na wargi drżące.

Lecz tym starczym instynktem samozachowawczym odpędzał się od myśli dokuczliwych jak od roju; a że nie ustępowały, postanowił wstać: gestem usuwał je od siebie, by prostować z trudem nogi, podnosić się na swe kije.

– Wiem ja – mruczał, szamocąc się z niedołęstwem swoim w postuku kijów niecierpliwym – półślepy, półgłuchy, półżywy, wiem ja, co się tu po kątach i zaciszach dzieje. Co przy stole było, małym wiedział ogłuchły w sobie. Ale co tam na ulicy niebawem było, to widział ślepy i słyszał głuchy. I to wiem – wskazał kijem na krwawą misę w kącie. – I jacy tu goście zaglądali potem do przedpokoju. I wasze tu milczenie po opowieści wnuka słyszałem głuchy. Może to ja wam tu poniosłem tę ciszę długą: tam w głębi, za półkami zjawiony. Bo takim upiorem milczenia wałęsa mną śmierć leniwa po ciszach i zadumach, tak szpieguje mną pozostawionego życia treść.

I znowuż zadumały się te jego oczy, obiegające zezem błędnym otoczenie całe.

– I dziwna rzecz, że tutaj, zawsze tutaj tylko! jakby do tej komnaty ukrywała się zawsze, mimo woli, resztkę ducha w życiu tych ludzi... Gdy się ten Woyda przed dwoma laty truł z amatorów, tum go zdybał przedtem. Tutaj! – zakuł łaską w ziemię. – Stamtąd, z alkowy wylazł, pod ścianą stanął, rozdygotany na twarzy bladej, mdły, ze zwisłymi ramionami: ruina woli męskiej! A oczami gorączki wodził po tych półkach, po biustach nad nimi, jakby się przed tymi tam rachował z życia swego. Wtedy przystąpiłem do niego i zdjąłem mu te ręce z twarzy. Wrzasnął gębą niemą, cały w bladym strachu, jakbym zza grobu do niego przystąpił... Prawieć! – odparłem – prawie! Już mnie śmierć leniwa widmem między wami czyni i widma władzę daje; każe mi się błąkać po nocach bezsennych, przed zatrzaśniętymi marą stawać... Który chcesz przede mną co ukryć, w ucho mi to wrzeszcz, w ślepią mi z tym leż; pewno ukryjesz. I ty. I Helena także. Bo widzieć i słyszeć nie chcę! Bo gardzę! Tak, miotaj się, miotaj – honorem! A mnie w tej wzdardzie ciebie, biedny, więcej żal od rodzonej wnuki: za to ducha zaprzepaszczanie, za siebie i innych; za przyłożenie ręki do zdrady posiewu... I innych! – rozumiesz? Cóż lepszego Bóg w piersi dał, nie dla ciebie to samego. I nie dla kobiety!... Bądź spokojny: za barona się nie stawię; i za kobietę nie, choć wnuka... Tak oto wszyscy wszystko – ukryć możecie przede mną. Bo wiedzieć nie chcę! Ale o czym usta wasze już milczą, o czym dusze w sobie jeszcze nie wiedzą, że w ztratę idą: tego nie ukryjesz – żaden! Bom jest, jak z uchylonej trumny spojrzenie na życie, jak patrzące sumienie naszej duszy wspólnej...

Coś odsunęło ją na klęczkach, a w piersiach zapał się oddech. Z tego żółtego czoła nad nią, białych coplei wąsów i rozgaru oczu osadzonych gdzieś głęboko w tej ptasiej Czaszce – spoglądała na nią groza sama. A dalsze koleje Woydy tegoż wieczora stanęły jej tak jaskrawie w myślach, że ręce zatrzepotały się jakoś bezładnie koło głowy oszołomionej.

Ten jej odruch zdał się i starego naprowadzać na przypomnienia dalsze, bo mówił niebawem z głową zwieszoną:

– Tam, tuż obok, chodził po dywanie godzinę całą. A potem jakby w sił opadzie czy żalu już spóźnionym i popłochu nad tym, co uczynił, jał się tu jakoś skrobać do tych drzwi. I runął pod drzwiami.

Stary machnął ręką:

– I dobrze tak! Z diabłem precz! Wydała krzyk krótki.

– Pod tą powierzchnią życia – słyszy za chwilę słowa jeszcze głuchsze – która tu ciebie jak korek niosła, ponure jest nasze życie tam, gdzie się dusza wspólna budzi, gdzie sumienie rachować poczyna. A trzeba tu dziś ludziom mocnych doli docisków, aby ocknąć w marnej bezradności duszy własnej czucie tamtej... Gorzej bywa, gdy uczuć płytkość jak ten korek na powierzchni niczym docisnąć się nie da, gdy młode życie bezduchem w te dosyty wsiąknie; wtedy i na śmierć duszy nie stanie. Dziś tu wywlekli takie młode ciało na jego wartość ostatnią: kamienia w cudzym ręku na ciśnięcie, gdzie trzeba – na dalekiej wojny pohybel.

Zatuliła się cała w dłoniach i ramionach od przypomnień tamtych.

– I dobrze tak! – słyszy z przerażeniem.

Splotły się z trudem w kłęb jeden gruzłowate palce starego.

– Dzięki ci, Boże, że nam się chwasty same pialą!

Dorwała się rzutem do tych rąk splecionych i targnęła je w dół.

– Na litość boską, nie!... Taka modlitwa to przekleństwo jest! I nie na niego tylko. I na mnie chyba? I na mnie może!

Nie dosłyszał widocznie głosu wśród łez, bo tylko te oczy pytające ku niej zwrócił i zastygł tak: choć zda się, zapatrzony, a przecie w roztargnieniu myśli nie widzący.

I mówił znów do siebie tylko:

– Patrzę ja tu od lat dziesiątek na całe hekatombie życia młodego, spalonego przez gnuśność powszechną ogniem swej żywotności!... Jestże gdziekolwiek jeszcze na świecie życie

takie, gdzie między tymi dwiema: zdradą i ofiarą w duchu i czynie nic nie wyrasta, nic nie dojrzewa? Wszystko samo się niszczy, samo się piele...

Ruszył z miejsca w kijów postuku i szamotaniu się ciała za nimi. I tak się kołatał czas jakiś po pokoju. Aż póki nie zatrzymał się nagle przed misą w kącie i gąbką w niej krwawą. I stanął nad nią z zezem oczu zadumanych.

– Po co? – parsknął z urągiem. – Kwoli czemu? Nijak, tylko do resztek potraw, wina i kwiatów pomiętych na stołach, do czadu i zaduchu po ciźbie dosytniej, do mętu i osadu w duszach młodych – jeszcze i to: starym bogom ofiara po uczcie, która była... Toczy wam ten ludzi obyczaj dzisiejszy ciepło życia młodego z żył serdecznych – toczy po próznicy! Płonki wy wszyscy z ziarna życia, jakie było, a gleby i powietrza, jakie są. I pomyśleć trwoga bierze: która płonka w życie zasobniejsza, ta gleby i powietrza schłonie właśnie najwięcej... Choćby to twoje rwanie się do życia sił wszystkich, które ciekawością zła i dobra wyprzedzają dołą: z ziarna to jest. Co z tego wyniknie, gleba i powietrze ustanowią – i dołą, twoją dołą nazywać się to będzie! Siły i zamierzenia innych najlepsze: z ziarna one będą, a owoc z nas tu wszystkich – i czynem, ich czynem nazywać się to musi!...

Jej myśli nie podążyły już za tym, co mówił. Ale słowa starca, rozlegające się głuchym podzwiękiem w tym labiryncie półek jak w kościoła nawach, przygniatały jej pierś. Nie patrząc widzi, jak tam stoi za nią, szeroko na swych kijach wsparty, niby kruk o zwisłych skrzydłach. Czuje na sobie spojrzenie tych oczu zadumanych.

– Wiem już! Wiem! – szarpnęła się nagle.

– Cóż ty wiesz?

– Sumienie!

Słyszy, jak przysiada z trudem obok niej. Po chwili kładzie jej rękę na głowie.

– Twojeż to? – pyta żałośliwie. – Wasze? – odyma się z pogardą. – Co z sumienia bezradnemu sercu i głowie młodości? Chęci dźwignąć nie zdoła, a myśli tylko udreka zeszpeci i radość życia w piersiach struje. Jeszcze i słabość samą – rozdwoi. Kędyż zawiedzie głowę bezradną sercem słaby i rozdwojony? Instynktowi życia samego już nieufny? Kędyż to wszystko zawieść może: wasze sumienia młode?!

– Więc!... – poderwała jej się głowa hardym gestem zniecierpliwienia, jakby straciwszy już ufność w odpowiedź dla się zrozumiała.

– Więc – schwycił zniecierpliwioną za ramię i przyciągnął ją ku sobie – więc ta siła jest wam ku potrzebie, która i najslabsze serca godnością dźwiga, a i najlichsze od znikczemnienia uchroni – ta, którą wam tu ludzie zdradzili: dusza wspólna!...

– I w tę grobnicę zamknęli! – dorzucił z ruchem ramienia na pokój, jakby w przezornym zwracaniu myśli w inną stronę.

Gdyż oto nabrzmiały mu znów skronie, posiniała twarz. A że dziewczyna, hipnotyzowana już wręcz tą starczą mową i wejrzeniem, uwisała na jego ustach zeszkląłymi od łez oczami, więc potraçał ją kijem, cucił z tego otępienia, by za kija wskazaniem odwieść jej wzrok na te półki z książkami, na te biusty białe nad nimi, na tę powagę i skupienie w komnacie całej. Uległa, rozglądała się czas jakiś, lecz niebawem wracała ku niemu tym spojrzeniem w smutku aż otępiały.

Ale on zwiesił już było głowę.

– Grobnica to jest – mówił po długiej dopiero chwili – i dla takich głów jak twoja zamknięta. A jednak: i to dzisiejsze duszy starej targnięcie tu mnie zwlec musiało, abym poczuł i len jeszcze ból: jak takie czoło bezradne przypada do mej dłoni niedołącznej, jak gdyby ona stamtąd właśnie... Zostaw! – wyszarpnął w tejże chwili rękę. – Samemu wstręt przed nią. Zwiędła i wyschła w szpon pokurczony i – patrz! – aż zły i ponury na wejrzenie w bezwładzie swoim, jak starość każda. Takie ręce młodego życia nie zratują, a rychło patrzeć, splecą je ludzie na obojętność wieczną, pozostawiającą młode życie w bezradności jego. A te wasze

„naprzód!” czy „wstecz!” za jedno mi błędne koło będą wokół trumny mojej... Żadna ręka tu się ku wam nie wyciągnie: sami z siebie wy dziś wszystko... sami. Taki jest wielki smutek wszystkiego, co było daremnie, co się nie nawiązało łańcuchem sił żywych.

Rozgniotły się słowa dalsze w miękkim zacisku warg, wyciągającym w dziób usta stare. Zgrzybiałość ogromną dożyło wzburzenie z tej twarzy ptasiej, wystawiając jeszcze bardziej ku górze ostry podbródek i zwierając ku niemu nos zakrzywiony pod niewyraźne czas jakiś bełkotanie i chrypliwe przydechy niedołęstwa. Oburącz odpędzał od siebie to zniemczenie: skronie ścisnął, skrzepiał siebie.

– Nie patrz tak! z litowaniem... Nic to! Dzwon ja dziś usłyszałem, dzwon na czasy, które idą, niepokój o dusz młodych siłę zatargał aż do trzewi nikczemną resztką sił moich. I nie płacz mi!... Nie o tobie ja przecie... Nie o tobie.

Lecz nagle, oderwawszy drżące dłonie od skroni, sięgnął oburącz do jej głowy i przygarnął ją z całych sił do piersi:

– Twoją głowę najmłodsza!

Zaszedł ich baron, już przyodziany w półszlafrok jakiś czy też kurtkę myśliwską. Na progu samym wykrzywił gołe usta w jamie baków, ofuknął starego dosyć twardo, czemu spać się nie kładzie, i zadzwonił na służbę, by się nim zajęła. Ninę zdziwiła ta szorstkość po takim respektowaniu sędziwca przy stole, a zdumiała jeszcze bardziej korna uległość starego. Baron huknął mu w uszy, złożony w tubę ręce obie. „Przecież on nie jest już taki znów głuchy! – pomyślała – więc czemu oni z nim wszyscy w ten sposób?...” A starzec zdał się rzeczywiście wraz i zahukanym, bo oto słuchając czujnie z białek wytrzeszczeniem zdał się słyszeć jeszcze mniej niż zwykle. „Aha! Aha!” – krzyczał w odpowiedzi przeraźliwie głośno, potakiwał całym ciałem i zbierał czym prędzej kije. Byłby powstał na nich z tym gniewnym impetem energii, gdyby nie zjawienie się służącego, który pierwszym gestem pomocniczym zlekceważył ten wysiłek. Jakoż staremu poplątały się wraz ruchy i zmieszany a ponury, opadł rychło w sobie: oddawał swe niedołęstwo już zupełnie biernie w ręce sługi. A gdy go podnoszono, mrucał coś pod nosem, na co ani baron, ani służący nie zwracali najmniejszej uwagi.

To nagle oniemiało, ogłuszenie starego i ducha w nim jakby przygaszenie twardą ręką trzeźwej opieki wydało się Ninie czymś potwornym.

Lecz oto baron patrzył spod oka na to wzburzenie jej pozostałe po rozmowie ze starym w łzach zastygłych, w bledności twarzy i rąk drżeniu. Przez chwilę żuł gołymi wargi niepewność, w jakiej formie należy się zwrócić do niej. W obawie, czy się stary nie wygadał przed nią z czymś niepotrzebnym, uważał za konieczne wygłosić pouczenie małe, kwoli zasłonięciu i siebie od sądów starego.

– Muszę uprzedzić panią, że staruszek – (baron zrobił dla młodej osoby to ustępstwo w zdrobnieniu) – jest niezupełnie odpowiedzialny za swoje słowa. I nic dziwnego: w tym wieku! Więc czasem opowiada rzeczy zgoła nie istniejące oraz osądza sprawy i ludzi, których rozumieć nie może. Dzisiaj zaś ma szczególnie pobudzoną imaginację tym wypowiedzeniem wojny. Również nic dziwnego: wspomnienia dawne!... Proszę mi darować, ale po całym pani wejrzeniu widzę, że on, posepny jak zawsze, musiał tu nadużyć pani wrażliwości.

Nina zipnęła łzami. (Sprawiło to niemal automatyczne tchnienie kontrastu: tej trzeźwości jasnej po omrokach starczego smutku.)

– Szlachetnej – dorzucił wobec tego baron czym prędzej – szlachetnej wrażliwości!... Za młoda pani jest, aby móc wytrzymać na sobie to tchnienie otwartego grobu.

– Panie!

– Trudno, trzeba te pesymizmy nazywać po imieniu – rzekł sucho. – Zapewne: należy bardzo respektować wiek sędziwy, ale kto chce żyć...

– A my chcemy żyć! – dorzucił po wytrzymanej pauzie z wykładnym gestem dłoni. – Nam trzeba pogody, zaufania, wiary w siebie. Nam trzeba krzepić się nawzajem, a nie pogłębiać w takie ot rozprzężenia serdeczne... Niechże się pani opanuje. Ja panią w tym stanie nie mogę nawet samą tu zostawić, a żona już się ułożyła. Głowa ją boli – rzucił kwaśnym nawiasem. – Nam trzeba... Może pani wody podać?... Nam trzeba mocno stać. Bo zresztą nikt nam ręki nie poda.

– On mówił...

– Mówił sam? A widzi pani!

– O młodych mówił.

– Młodość nie powinna na naukę do grobów schodzić. To nie jest szkoła życia.

– Panie, na miłość boską, toż on jeszcze żyje! Ot, tam idzie. Może i słyszy nawet. On wszystko wie, co się tu dzieje.

– He?!... – baron błysnął zezem podejrzliwym. – Nie, nie słyszy – opanował się natychmiast. – Daj mu, Boże, jak najdłużej życia. Tylko na to pojęcie starczym pesymizmem duszy młodej, osobliwie przyjaciółki mej żony, nie bardzo mogę pozwolić. A za sędzię również go sobie nie obiorę. Powiadają, że należy żyć dla tych, którzy po nas przyjdą, ale nikt jeszcze nie pouczał, żeby żyć dla tych, którzy przed nami byli. Przeto, cokolwiek on mógł tu pani opowiadać o ludziach i sprawach... „Bourgeois” raczy nas obzywać przed służbą pan major francuski... Z awanturniczego życia pana majora po świecie mamy tu wszyscy w rezultacie tyle – (baron pokazał figę) – a jego rozumienie naszych konieczności oraz intencji równa się temuż. Gdyby cała przeszłość spoglądała na nas z aprobatą lub nie, mielibyśmy w zysku lub stracie tyleż. – (Tu baron pokazał trzecią figę.) – Jeśli nam tu nikt ręki nie poda, to oni, oni najmniej.

– Jacyż to „oni”? – pytała głucho.

– No, przeszłość, myślę.

Obejrzała się mimo woli poza siebie ku drzwiom otwartym.

Oto wyprowadzają go tam przez salon długi; kołacze się w swych kijów postuku i mruczy coś pod wąsem długim, na co nikt nie zwraca najmniejszej uwagi: wlecze się właśnie jak ta przeszłość ogłuszona i oniemiała pod twardą ręką trzeźwości i odprowadzona precz, jakby na przechowanie do nowej okazji odświętnego respektowania.

– Chyba pani nie przypuszcza, że mu się tu jakakolwiek krzywda dzieje? – zdjął baron z bezradnego nachmurzenia się troski czy żalu na twarzy dziewczyny. – Pielęgnowujemy. Że też ta wasza kobieca wrażliwość kieruje się zawsze ku niedołęstwu raczej niżli ku życiu... O, te łzy na przykład – proszę mi, starszemu człowiekowi, darować szczerłość! – te łzy niech pani sobie schowa na swoje kobiece tam smutki, daj Boże, najprzelotniejsze. Nie młodej to kobiecy rzecz: osądy życia i ludzi.

– Ja nie osądzam! – tłumaczyła się czym prędzej tonem zdumienia. – Tylko... A zresztą: już nic! Nic już nie wiem.

Zorientowawszy się tedy w odporności tej głowy, uspokoił baron podejrzliwości swoje. Lecz stało się to w tak nagłym błysku oczów, w przejściu od nieufnego wejrzenia ku łaskawości, że Nina, bezradna w obronie swych myśli, pojęła w mig więcej, niżli przypuszczała. Przyszedł tu bardzo podrażniony, wspomniał tak kwaśno, że żonę głowa boli, i był tak dziwnie podejrzliwy, o czym też rozmawiała z dziadkiem. „Wy, kobiety” – rzucił przy tym dwukrotnie. Ów też instynkt kobiecy w takich sprawach naprowadził ją na domysł, że tu między nim i majorem starym muszą się odbywać nieustanne porachunki, i to zaoczne, jak teraz: że tu idzie o wpływ na Lenę, w ciągłej trosce, aby nie być przed nią upokarzany. Kto wie, czy i teraz nie przyszedł tu z podobnym uczuciem: wybuchał wszak od samego początku. Zastąpiła tedy przypadkowo Lenę, na bezwzględniejsze może jeszcze wypowiedzenie się jego zapiekłej goryczy, niżli to możliwe jest wobec wnuki majora.

– Tak – mówił tymczasem, już uspokojony w podejrzliwościach swoich, ku bezinteresownemu jakby pouczeniu – czy może być coś fatalniejszego dla życia samego niż to zestawienie: ta pani młoda, radosna ciekawość życia i ponurość starca, który schodzi do grobu z przekleństwem?

– Och, nieprawda!

– Moja pani – skrzywił się baron na tę śmiałość opozycji – nawet błogosławieństwo pesymizmu jest przekleństwem.

– Boże, on się tak strasznie modlił! – przypominała w otrząsieniu gwałtownym.

– A widzi pani!... Tylko, na miłość boską, niech się pani temu tak nie poddaje. Bo ja, jak się rzekło, nie mogę pani pozostawić samej w tym stanie... Jakże to on się modlił?

– Żeby wszystko młode, gdy słabe duszą... Boże!... samo się wyniszczyło, pełło jak chwasty.

Twarz barona stała się w tej chwili białą i suchą jak płótno, a wargi zacięły się tak, że znak ust gubił się nieomal w tej gołej jamie baków. „I mieć takiego starego upiora ciągle pod dachem swoim!” – zdawało się jej, że usłyszała w syknięciu tych ust.

I zgnębiło ją wraz to uczucie, że powtarzając słowa starego wystawiła go na taki wybuch nienawiści. Starła się tedy bronić go wedle sił, zbierała z trudem myśli:

– A jednak – próbowała filozofować na swój sposób – a jednak to wszystko jest...

– Nic jeszcze nie jest! – zbył twardym lekceważeniem, nie siląc się nawet doszukiwać toku w tych załączkach myśli. – Zaledwie coś się wszczyna, ale za to już wprost naocznie, budzi się dusza w tej oto główce... I jakże to się dzieje u nas zwykle – a patrzę ja na to przecie nieustannie – gdy nad wrażliwością młodą wezmą się do roboty te stare idealizmy? Jakże się odbywa to duszy budzenie?... Kosztem rozbicia wszystkich jej instynktów życiowych! – kończył już swym ostrym głosem.

– I to jest właśnie klęskowy wpływ tego, co ludzie nazywają pesymizmem – podjął po chwili. – A rozsiewają nam się jego ziarna z dwóch stron: ze Wschodu (poznała pani brata Leny – nie?), a potem z grobów tu nieustannie wietrzonych, z tej plechy i pleśni, wcieranej jak sakrament w głowy młode. (No, dziadka Leny poznała pani ot przed chwilą!...) A przecie nie oni jedni! Nie obaj oni tylko stróżują tak nad życiem naszym.

– Ładnie byśmy tu wyglądali – poniosło mu myśli – mając tylko te okna na Wschód otwarte i te wierzeje w groby przeszłości. Czym byśmy tu byli bez tego sąsiedztwa sprawności cywilizacyjnej o miedzę na Zachód?... Boją się Niemców? Pah! – a! a! – wybuchnął suchym śmiechem i coś w rodzaju rumieńców ożywiło nagle twarz sztywną.

Urwał jednak, teraz dopiero zorientowawszy się, że nie do inteligencji żony mówi. Dopowiedziały mu szeroko otwarte oczy Niny.

Pochlebiali jej po części te twarde refleksje, wygłaszane przed nią; rozumiejąc wszakże, iż zastępuje tu Lenę, odczuwała w tym pewną brutalność: muszą się wypowiedzieć w podrażnieniu, przyniesionym skądinąd – i kwita! A jednak rozmyślania barona padały jej w duszę nie tak ciężko może jak słowa starca, ale przez ten kontrast właśnie rodząc bodajże większą jeszcze rozterkę.

On tymczasem chodził sztywnym krokiem po pokoju i wyglądał baki. A pomnąc już teraz, przed kim mówi, uderzył w ton wprost przeciwny:

– A główka niepotrzebnie tak zwisa, tak się załamuje jak na łodydze. Wiele z tego, co się rzekło, mówiło się z życzliwości dla niej. A i rączki niech się uspokoją. Z czoła w przyciskane rączki otucha nie spłynie.

Drasnęły ją te zdrobnienie nagle, po tak poważnym przed chwilą tonie. Skoro sprawy życia są tak ważne, że słuszność musi być aż brutalna, to czymże jest jej własne życie, skoro nagle: rączka, główka, czółko. Lecz jeden rzut oka na niego wystarczył, aby się przekonała, że ani poniżać jej nie zamierzał, ani też przymilnym być w życzliwości: przeciwnie – wygłaszając te słowa „rączka”, „główka” miał jakąś powagę, namaszczenie nieomal w sobie. I teraz dopiero uderzyło ją coś obcego w całym zachowaniu się tej nieco sztywnej postaci: znamiona rasy tknęły ją instynktownie.

– Aż czego spłynąć może otucha? – dobyła z siebie głosem nieufnym.

– Z ukochania życia właśnie takim, jakim ono jest. Na przekór wszelkim „tabu” ideałów: wszystkim Woydom, dziadkom, panom Komierowskim; wszystkim tworom posepnym; z ukochania życia naprzód ciekawością, potem pragnieniem, wreszcie walką...

Jej zwisały powoli ramiona, a zdziwione oczy jakby się gdzieś w dal błąkać poczęły, szukając wspomnień dzisiejszych w ich kolejnym następstwie: byłoby w tym wszystkim jakieś znaczenie dla niej niepojęte?...

Nie spuszczała z niego oczu szeroko otwartych.

– Należy ukochać życie – mówił baron tymczasem – nad smutek wszystkiego, co jest lub być może; pogardzić wszystkim, co smutek i pesymizm niesie.

– Och, Boże! – krzyknęła wprost, bo stary major stanął jej natychmiast przed oczami, właśnie w chwili, gdy go odprowadzano precz.

I jakaś niepewność odbiła się na jej ruchach, wraz niespokojnych.

– A jeśli zło... własne? jeśli grzech? – ocknęło się w nagłym przeskoku myśli.

– Ba! nawet ze zła i grzechu, gdy pogodą zwyciężone, zrodzić się może... ot, niedola przez ludzi. Nie należy samego siebie nigdy opuszczać przed ludźmi, należy być wtedy tym bardziej odważnym. Nieszczęście powstaje dopiero z tego smutku, jaki się łęgnie na złym postępku, z tej niepewności, jaka nas opada wobec ludzi, z ponurych dociekań wobec siebie.

Zdziwienie podniosło ją z krzesła. Lecz opamiętawszy się, przysiadła natychmiast. „Toż ja wtedy właśnie bez wiedzy i woli – przypominała gorączkowo – przeraziłam się najbardziej tego smutku, jaki z grzechu wyrzał, i zgłuszyłam wszystko ciekawością, ruchem, innymi sprawy, jakby w zapomnienie nagłe: sama nie wiem, jaką w sobie siłą.”

Spoglądała w niego jak w jasność: świadomość siebie piła wprost ze słów jego.

– Panie, ja byłam... Ja się tu bez wiedzy stawałam...

– Jakaż to?

– Jak pan.

– Hm?!...

I w tym rozpromienieniu, a napływie ufności w duszę otwartą, wołała w pilnym przeskoku ku innemu jego słowu:

– I odważna jestem bardzo. Strachów to się czasami boję, ale przed ludźmi!... Czasami to się aż dziwną sobie wydaję: próbuję sobie wyobrazić rzeczy okropne, no i... Ja lubię nawet rzeczy groźne. Ja bym się wszystkiego mniej bała niżli... no, niżli Wanda nawet!

– He?!...

Baron kroczył sztywnie po pokoju i spozierał od czasu do czasu zezem w jej stronę.

Ona tymczasem pracowała pilnie myślą, czując potrzebę wypowiedzenia poruszonego nurtu. Układała jakieś rozumowania wymowne, przekonywające, objąwszy je wszystkie zdecydowała się wreszcie mówić i... zmyliła myśli wszystkie okrzykiem piersiowym:

– Panie, ja tak strasznie chcę być szczęśliwą!

Odruchowo odpowiedział śmiechem, który przeszedł wnet w smęt pobłażliwy. Zbliżył się do niej, pogłaskał po głowie. A jej, jak wówczas spod dłoni Leny, sączyć się teraz poczęło ukojenie dobre. Z jego życiowego rozsądku szedł tchnieniem równowagi – jak od jego żony negliżu i stroju – ten cielesny wiew człowieczej – kobiecej doli, w którym się zagadnienie życia całe tak łagodnie upraszcza. Więc i teraz to przygnębienie i rozterka, jaką pozostawił po sobie sędziwy major, zamieniły się w bezradność zahukana i rzewną, radą przytulić się w myślach do czyjegoes zwycięskiego szczęścia. Lub bodaj tylko do tego szczęścia nauki.

Lecz ukojenie było tak dobroczynne, że nawet słuchać i rozumieć rychło przestała: sam ton działał błogo i ta pewność, że mówi ktoś mocno stojący wśród ludzi, czyjej słuszności doświadczyło życie samo. Pomyślała tylko: „Takim właśnie, takim winien być mąż Leny! – inaczej byłoby z nią źle. Z nami wszystkimi byłoby źle, gdyby nie tacy właśnie mężczyźni!”

I starała się słuchać uważnie.

– ...w tej walce o swoje prawa do szczęścia...

– Ach? – odezwała się tonem rozczarowania. – O takiej pan walce mówił?!

– O jakiejże by?... W tej walce pogoda jest połową powodzenia wśród ludzi, pewność siebie, odwaga w sięgnięciu po swoje znaczenie i stanowisko czyni resztę. Wiedzą i kobiety o tym.

– Ach, taka odwaga?!... A mężczyźni?

– Na inną tu nie miejsce i nie pora. A mężczyźni walczyć tu są zmuszeni bodajże tą bronią, co i kobiety: życie jest tu za niemrawe w smęcie swoim, za bezkształtne w niedołęstwie, za nieoporne na wszystko, żeby je trzeba lub można było zwyciężać: ono się daje tylko uwodzić.

Lecz jej czujnej teraz i upartej uwadze przypominały się natychmiast słowa Leny o tej niezamarnowanej nauce giętkości, jaką tu kobietom daje życie ich mężczyzn.

– Czyż zawsze trzeba być giętkim? – odęła się wzgardliwie.

I tym podbiła mu jakby myśli w bezwzględność, zacięły się wargi.

– Przed słabymi i smutnymi – nie! I o tym wiedzą kobiety. Dla siebie można by wobec takich być tylko niedbałym i normalnie miałyby się dostateczną, kobiecą satysfakcję w okazaniu im tego. Ale w obronie życia samego należy być dla nich nieubłagany twardym! I dzieje się to samo przez się u każdego, kto ma w sobie rzetelne instynkty życia. Gdy wracam, na przykład, z Europy, z Berlina, czuję po prostu, jak mi po drodze, w wagonie kolejowym twarz stygnie i zacinają się wargi na cały czas „szczęśliwego” tu pobytu. To jest po prostu odruch życiowego instynktu w obronie przed tym smętem i niedołęstwem, jaki się tu z powietrza wdycha. Bo niechby sobie tylko kto pozwoił mieć tu wejrzenie pogodne, jakie się wywozi, na przykład, za granicę, do Berlina. Rychło spostrzeże, jak się rozżarzą wokół niego ślepie szakali. Nikt się tak nie zna na prawych ścieżkach życia jak niedołęstwo; a te prawe ścieżki nudne są przecie i smutne, wiedzą szakale. „Oto idzie ktoś pogodny, uśmiechnięty; widocznie powodzi mu się w życiu: pewno łotr. Ale podwinie mu się noga, podwinie! nie rychliwie, ale sprawiedliwie” – oblizują się szakale. To są opiekuni każdej sprawności, każdej działalności życiowej u nas! A niech te głosy szakali tylko zasłyszają hieny idealizmu!... O, ja się szczerze przyznaję, że do fizycznej odrazy znosić nie mogę najdalszego zawycia tego „ich” tu idealizmu. Nienawidzę na przykład „ich” tu sztuki! Śmierdzi mi to wszystko rozkładem życiowego instynktu.

Tu baronowi nadmierne wzburzenie samo zamknęło usta, rodząc spóźnioną znów orientację, że nie z żoną się swarzy, nie przed nią wybucha. Tedy z wysiłonym spokojem i akcentem żalu w głosie zamykał sprawę, jakby przed sobą tylko: – „My” sami się grzebiemy.

– Ten „wasz” tu Woyda – parsknął mimo to za chwilę – który żonie chciał jakieś tam wiersze swoje dedykować – Boże! jak ja tego człowieka znosić nie mogłem! Cały osobnik jak stara panna: smętny, pretensjonalny, a nie ufający swym wdziękom. Rzekłbyś, fizycznie śliski w tym swoim tragicznym niedołęstwie wobec najbliższej sprawy życiowej, gdzie trzeba choć za grosz mieć woli. Po prostu nabawiałem się jakiejś niedobrej monomanii z pasji do tego człowieka. Przybył mi nowy strażnik szczęścia mego. Miał wpływ idealistyczny na siostrzaną duszę mojej żony... Proszę pomyśleć tylko: taki dziad! brat taki! – i jeszcze tamten! Takie czuwanie hien idealistycznych i te ślepie szakali nad cudzą radością życia; nad źródłem jego sprawności, dzielności czynu – oto jest polskie szczęście!

Patrzała na niego rozszerzonymi w koło oczami: „Co to ma znaczyć?!...”

Twarz barona była w tej chwili znów biała jak płótno, wąskie wargi nikły w zacisku.

– O, gdyby ten Woyda nie był na tyle dowcipny i nie przeniósł się dobrowolnie na samo „tabu” ideału...

– Ach, Boże – i ten także!

– Któż tu mu jeszcze wieszował tego kroku?

– Dziadek.

– E?... – baron stał przez chwilę z otwartymi ustami. Rychło jednak zorientował się i w tym.

– Kochają się bardzo hieny wszystkie! I te nie stanowią wyjątku. Nad trupim gnatem ideału nie pożywione, pożerają się wzajemnie. Wytwarza to tak zwaną atmosferę... – baron parsknął w kulak wetknięty między baki – duchowego życia w tej... ph!... metropolii ideałów.

I twarz odeła mu się wzgardą bezmierną: rozłaziły się baki.

W przerażeniu i stropieniu ufności nagłym przestała się już orientować w tym wszystkim. Rozumiała tylko nienawiść i wzgardę, nie wiedząc dokładnie, do czego i kogo odnosi się ona właściwie. Mozoliła się w ciasnym kole swoich przypuszczeń, ustaliwszy wreszcie po kobiecemu, że to wszystko razem jest zazdrością o wpływ na Lenę, a może i o nią samą. Aczkolwiek baron może nic nie wie o jej stosunku z Woydą, tym bardziej właśnie nurtuje go to tak bardzo, że aż nienawiścią w grób sięgać zmusza. Baron tego wszystkiego nienawidzi i tym gardzi, co tamten ukochał i co przebóstwił. Wyłożywszy sobie tedy wszystkie fale życia, jakie

z jego słów w nią uderzały, na swój ład kobiecy, uspokoiła się rychło. I podniosła na niego spojrzenie, acz nie dawnej już ufności, to przecie większego jeszcze zaciekawienia.

– Trzeba mieć twardą pięść – słyszy oto głosem tak ostrym, że wstrząsała się mimo woli – trzeba mieć twardą pięść dla tych wszystkich, co oblegają radość życia, jak te hieny i szakale. To wszystko i tak jest przeznaczone na zatrącenie. Przyjdą inni, mocniejsi, przyjsć muszą, jak biali do Murzynów. „Tabu” pozostanie jako curiosum muzealne wiary zawziętej, która ludzi cywilizowanych wtrącała z powrotem przez barbarię – w dzikość. Gdyby pan major, dziadek niby, mógł przeżyć tę wojnę dziś obwieszoną oraz to wszystko, co po niej niechybnie nastąpić musi, pokazywano by go może za kilka lat w Berlinie po panoptikach jako ostatniego Mohikanina. Może z piórami na łbie i tomahawkiem w rękę.

Zerwała się z krzesła w ślepym już odruchu oburzenia.

Ale on w pasji swej już nie zauważył nawet tego. Wypadło przecie z ust, co ścisnąć musiały zęby w swym otoczeniu przez lat tyle: pękł wrzód zaropiałej goryczy.

– Tak, po panoptikach! – przybił raz jeszcze. – Ludzie dzielni, przed którymi jest przyszłość własna i świata, tam będą odsyłali te patosy smutków i pesymizmów. A ponurościami in spe panoptikowymi raczą się, jak wiadomo, tymczasem instynkty zbrodnicze. Będzie to ultimum oddziaływania pesymistycznego ideału!... Czytałem u jakiegoś misjonarza czy też podróżnika, że zdegenerowane jednostki ginących szczepów, wykradając się po nocach na „tabu”, wracają z taką żądzą krwi w nozdrzach, że lepiej nie czekać, lepiej od razu w łeb strzelić. Ja memu panu szwagrowi, ukochanemu bratu Leny, po prostu boję się nieraz w oczy spojrzeć. Przecież w tych ślepiach ołowianych drzemie tymczasem czyhające zniszczenie.

– Jezus Maria! – szeptała już z bezradnym trzepotaniem się rąk koło uszu.

– Mamże jeszcze powiedzieć i o trzeciej hienie: o Woydzie? Schodzi oto z „tabu” w „purpurze marzenia”, powiada żona – i dzierży złoty klucz mistycznych tajemnic. Nic się nim jakoś roztworzyć nie chce, co by rozsądek lub rozum chciał mieć, na przykład, choć trochę uchylone. Natomiast pasuje ten klucz dziwnie do wszystkich serc kobiecych oraz wszelkiej wątplizny dusz męskich. Tausendschlüssel! I otwiera im mroczne głębiny życia w ich własnych osmuceniach! – sumieniach! – prowadzi na wyżyny lepszych wiedzeń niż chęci, wyższych chęci niż skłonności, by w tych przerażeniach duszy nieustannych zamienić proste ukochanie życia w miłość złą, ponurą, przewrotną!... Trzeba ten zapóźniony romantyzm maruderów cywilizacji: tę ideologię pesymizmu przy robocie podpatrzeć – nad formowaniem dusz młodych. Jest czym się przerazić! Bo wszystko, co się rzekło, to wciąż jeszcze ta prawa, wysoce idealistyczna strona medalu. Lewym, niechybnym odpowiednikiem jest równocześnie spotęgowanie nieodporu na wszelkie pobudki i podniety życia, aż do bezładu wrażliwości – przy zawsze „złym sumieniu” idealisty. Ponure zaznania zapowiadają się tak spreparowanym przez pesymizm duszom... A klucz mistycznych tajemnic pracuje w nich tymczasem wciąż: dociera do najbardziej utajonych zakamarków smutku, sumienia, beznadziei, białej ekstazy i czarnej perwersji! Zbawienie nas wszystkich leży na dnie tej „tajemnicy”. Abrakax!

I usłyszała śmiech tak niski, że, zda się, tylko w piersi dudniał pod jadowity grymas warg.

– To ostatnie słówko jest czarnoksięskie – parsknął za chwilę – może być i purpuratowe, ponieważ nic znaczyć nie raczy. Czytałem, u tegoż misjonarza, że czarodzieje czy też kapłani zdegenerowanych szczepów...

Lecz tu ona zatrzepotała się cała jak ptak w bezradności ostatniej. I odwróciła się twarzą do ściany, przylgła do niej czołem, uszy oburącz przysłaniając.

– Niech pan zamilknie! Ja nie mogę tego słuchać! I nie chcę!...

Zbliżył się do niej i pochylił nad uchem. Poczula z tyłu na szyi suche muśnięcie baków.

– Oto, jak czuwają hieny pesymizmu i szakale cnoty nad ochoczością życia u nas. Oto jest polskie szczęście! Te bestie płoszyć i opędzać się przed nimi zdołam ja może – chłodem krwi i myślą obronną, wyostrzoną w życiu jak nóż. Ale oto dusza, która zbudzić się ma dopiero, instynkty życia najbujniejsze może z otoczenia całego. A hieny i szakale przywabia najsko-

rzej ciepło krwi co najbardziej wartkiej. I w porę! Rychliwiej niżli sprawiedliwie już się tu podcięło życie młode w lekkomyślności czy szaleństwie jakimś. (Baczę ja dobrze na słowa i wnet złowię płótkę tajemnicy młodej!) Tedy widzę już po prostu, jak dopadają to życie szakale i hieny. Szakale ustępują: i w pysku słabsze, i niuchem wołają to, co się już rozkłada. Poczekają!... Hieny zatryumfują tymczasem i obudzą, obudzą rychło smęt bezradny w pustocie dawnej: rozszarpia pesymizmem te życia instynkty bujne, rozwłoką po cmentarzach starych. Już ów dziad ponury rozpoczął tę robotę!

– Kto pan?! – krzyknęła, nie odrywając czoła od ściany. – Kto mówi?! Ja chyba już na pół przytomna... Ten szept!

I zdawało się jej, że słyszy w odpowiedzi:

„Budzi się dusza młoda ku przeznaczeniu swemu: szeptem mówić należy.”

Poczuła na ciemieniu jego rękę pulchną; pociągnął ją ku sobie tak, że głowa oszołomiona oparła się wbrew woli o jego piersi.

Słyszy tym razem już wyraźnie głosem chłodnym namaszczonej życzliwości:

– Tedy żal mi tej główki młodej.

– „Wszystko samo się niszczy, samo się piele” – wyrwało się jej z ust w przypomnieniu nagłym.

– Co pani?...

– „Wszystko, co nie jest ofiarą, lub...”

W porę pochwycił ją wpół, zanim osunęła się ciężko na ziemię.

Bezradny, nie mając wody pod ręką, próbował niżyc jej głowę, by docucić tak wywołanym uderzeniem krwi. Poderwał w ramiona: zwiśla mu w nich właśnie, jak ta łodyga złamana. Przez pół tym docuconą, doniósł, dociągnął za próg, gdzie na tacy Murzyna stał dzban i czarka. Przerzucił na jedno ramię, drugą ręką nalał wody i przytknął do ust.

W ramieniu jego leżąca rozchyliła powieki i spojrzała na czarkę z obłądnym przerażeniem w oczach.

„Woyda pił!” – krzyknęła myślą.

Dzwoniła zębami w szkło i zacięła wraz usta w kurczowym zacisku szczęk. Rozpaczliwy, szamocący się upór był w popłochu tych oczu i nieprzytomnych wyblyskach nienawiści.

„Diabła sakrament!...”

Naciskiem ciemienia podawał głowę i wciskał zrąb czarki między zęby. Zadzwończyły dygotem drobnym po raz drugi w szkło. Już nie nienawiść była w oczach, lecz stężenie łęku błagalne.

Wyczerpał ostatek cierpliwości. Brutalnie mocnym naciskiem policzków pod uchem rozchylił szczęki zwarte i wlał całą zawartość czarki. Krótki krzyk jej stłumił bełkot w ustach.

A płomień zgrozy na źrenicach rozwiął się rychło w zdumieniu, z jakim spoglądały za chwilę oczy. Na kanapę złożona i nie widząca go przed sobą, miała dziwne wrażenie, że znikł, przepadł nagle, jakby w tych dymnych kłębach nienawiści i wzgardy, w których gubiła się myśl ledwie ocknięta.

Gdy jedno pomyślenie podniosło ją powoli nad poduszki:

„Któreż to było przekleństwo, a które błogosławieństwo?” – pytała siebie, przypominając dwa uściski swej głowy.

„I ku czemu?...”

A on wypaliwszy tymczasem papierosa i owładnięwszy rozdrażnieniem chwilowym, stanął nad nią z rękami w kieszeniach i zwieszał cierpko wargę.

– Co to było właściwie? He? Jakaś nerwica w dodatku po omdleniu? Przecierała oczy.

– Ach, pan jest tu?! Tak mi dziwnie, że pana jeszcze widzę.

– Czemuż to pani nie dawała mi się ratować?

– Ratować? – powtórzyła tępo, wciąż jeszcze w omroku jakimś. – Nie wiem. Wzruszył ramionami.

– Ja od razu powzięłem tę obawę, że pani nie należy pozostawiać samej w tym rozstroju, w jaki ją wprowadziła rozmowa z dziadkiem.

Dziwnym jej się wydawał głos ów w tej chwili: że taki naturalny, prosty, rozważny i choć ostry w dźwięku, to przecie pełen dobrej życzliwości. Przepraszał za swoje uniesienia w niedawnej rozmowie i za jaskrawości sądów o ludziach spod swego dachu. Uciszał przemawianiem do rozsądku, spokój myślom zalecał.

W tej chwili z oburzeniem już wspominała dzikie urojenia swej wyobraźni. „Wszakże to on – myślała teraz – każąc służbie wprowadzić starego, przepędzał zarazem zmory smutku, beznadziei, śmierci, przeszłości... O szczęściu ludzi żywych on jeden wśród nich tu wszystkich zaprzętał się troską surową i pracowitą. «Instynkty życia» – wypowiedział z jej własnych czuć prawdę prostą. I darował jej tę prawdę w oczy ufne. Uśmiech, od godzin zapomniany, przez Izy wywabił na tę jego drogę: od warg niecierpliwością rozchylonych ku oczom w czujnej ciekawości zawsze współprzymkniętym, w tę rysę drgającą na obliczu: w to znamię życia na policzkach młodych. Rozjaśniał, rozświetlał duszę. Zaś ludzi w przyszłości może niechętnych, zła popełnionego pamiętnych – szakalami zawczasu obezwał. A odwagę, sił żywotnych dar ślepy, przeciw nim skierował: na walkę o swoje prawa do szczęścia!...”

Oto wciąż jeszcze stara się uspokoić ją rozważą swoją. Lecz ona już słuchać uważnie przestała: sam ton solidny robił swoje, wprowadzając znów w ten błogi stupor uległości. „A jednak – pomyślała jeszcze – jedyne to usta, które mogą mówić o prawdziwym życiu; jedyny człowiek, który znając je na wskroś, dać może pouczenie szczęścia. Jedyne to też ręka, która za to proste pragnienie własnego szczęścia pogłaskała ją z powagą ojcowską. A słowa «główka», «rączka» wymawiał z namaszczeniem prawie pastorskim, jak gdyby błogosławiąc wszystkim instynktom i zmysłom kobiety.”

Podjąwszy się na łokciach, opuściła nogi, przysiadła na kanapie i acz słów niebaczna, zaśluchana jednak wciąż w ukajającą perorę tonu. Ujęła go ciepło za rękę, zmagając się przez chwilę z nieodporem czy też musem, podjęła ją wreszcie do ust.

Przyjął to z flegmą nieomal, jak rzecz należną lub co najmniej taką, do której przywykł był może wobec żony w pewnych chwilach owładania jej rozterką.

Cała w pokurcz przed nim schylona, przeniosła tę jego rękę sprzed ust do rozbolełego czoła.

„Niewolnice roztropnych!” – przyniosła pamięć uparta i te słowa Leny. Nie wykrzesła z nich jednak ani cienia odporności, a przeciwnie: świadome już dążenie do największego uciśnienia duszy.

A jednak złudne to były ukoję: nurt sięgał głębiej i dał się ledwie po wierzchu ukołysać i wygładzić usypiającym duszę kobiecą tonem męskiej rozwagi.

Bo oto ledwo drzwi się za nim zamknęły, rozjątrzona tyłoma wrażeniami wyobraźnia wyrwała się z głębi i poniosła znów drogą natłoczonych obrazów w niepokój nowy.

Na mosiężnej tacy ponad jej głową grają blaski świece i odciągają tam raz po raz spojrzenia lękliwe. W kryształowy dzban zanurzyło się odbicie płomyka, skrami światła błyszczą czarka tuż obok. Zaś nad tacą, dzbanem i czarką wyziera łeb kukły czarny i białopołyskliwy jej ślepie, przyczajone w ciszę nocną: te same, pamiętała, które onej chwili patrzyły na jej grzech.

Przebiegł ją wskroś ten wstrząs, ścinający wargi, a powracający za każdą chwilą tamtego przypomnienia. W gwałtownym napływie wstępu próbowała zerwać się z kanapy, ale sił nie stało. Mimo że w swym zasluchaniu w ciszę postanawiała nie oglądać się poza siebie, coś jej przecie skręcało jakby szyję, zmuszając do obejrzenia się na ten graniasty łeb o szklistej czerni, głuche ślepie wołu i wargi krwią odęte.

„Oto stoi on – bożek zastoju!” – przypominała znów słowa Leny.

I pomyślało jej się znów, że pod jego to spojrzeniem wypijał Woyda czarę swoją, by się tam oto wnet potem zwalić – u tamtych drzwi.

Wzrok jej wbił się w to miejsce na dywanie, wplątał się w jakieś jego arabeski i nie mógł się z nich wyrwać, trwodze samej na przekór.

A równocześnie odżywała w pamięci ta Woydy opowieść, powtarzana niedawno ustami Leny: o życiu zaklętym w bezruch i fałsz, o serc kobiecych zakłamanym urocznym. Słuchała tego niby bajki na pół znanej o pięknej młodości zaklętej w szklaną trumnę: o tym, że gdy serce kobiety zastygło, cały świat zamarł w bezruchu... Wyciągnęły się wtedy ręce po ten ponętny owoc piękna, usta nazbyt prędko rozgryzły w nim robaka. Bo jakież to osad został po tym wszystkim z onej wyobraźni kobiet, która za życie im stała, piękno wysokie roi, a zło w dopuszczeniach myśli wylega potworne. Oto powracały do pamięci te diabły, co jak złośliwe małpy powdrapywały się na wieżycy kościołów i wychylają zza każdej wnęki swe złe mordy, by tam, gdzie wieża urywa się, nieba nie dosięgłszy, by tam właśnie...

Otrząsała się grozą.

„Nie sąż to kobiety?” – przyniósł dziwnie błysk przerażenia.

„Najczujniejsze, przeczuwające sumienia życia!” – odwróciła się myśl na wspak przypomnieniem i tych słów Leny.

W zaleknienu instynktów stawała przed nią właściwa tajemnica życia: zagadka samej siebie.

I ogarnęła ją po raz trzeci już tutaj niesamowita trwoga przed złem zatajonym w myślach i czuciach. Jakby za każdym słowem, śmiechem i porywem wśród tych ludzi, za każdym oddechem wśród nich zaczerpniętym przybywało tego niepokoju. Zaś to, co mówił baron – nie przypominaż się to, mimo wszystko, mrowiem niepewności? nie wiedzieć hardą żądzą szczęścia w dymne kłęby na pół zrozumiałych wzgard i nienawiści dla tego szczęścia wrogów: hien i szakali, jak ich obzywał?...

Pośród tych tu ludzi z początkowych słów, śmiechów i porywów błahych czyniło się już usypisko ruchome gdzieś ku dołom rwącej lawiny.

A w tym zaleknienu – Lena, która po swych górnych opowieściach tak rychło u boku męża dręczyła siebie niżącym myśli dopustem, że oto w przechodniego mężczyzny ramionach i gdzie indziej leży: ta Lena wiedźmą wydała jej się w tej chwili. I oto gdy zimne ciało wiedźmy teraz może znów swą służbę sprawuje, coś się od niej ptakiem odrywa, w ponocnego

nietoperza wraz zamienia i tu się oto błąka – pod drzwiami – gdzie on skończył... Zaś tamta, druga, z jej dygotem i trzepotaniem się zwichrzonego życia – strzygą jej się wręcz wydała.

Te myśli urojenia, czepiwszy się rozjątrzonej wyobraźni, prawie że zwidem się stawały. Owe ómy i nietoperze, które czały się tu jakby po ciemnych kątach na każdą chwilę wyczerpania, zjawiły się znów – tym razem z taką siłą, że stają się dla oczu rojem cieni błakających się cicho w ómie pokoju.

Zaś tam, na dywanie, skąd się wzrok dotychczas oderwać nie dał i ledwie dłonią przysłonić pozwolił, tam pode drzwiami – leży Woyda tej chwili: wystarczy może tylko rękę opuścić, aby ujrzeć powalonego kłębem w skurczu zatrucia. A wokół tego miejsca strzyga się snuje; krew, z ust jego wąską strugą płynącą, niucha strzyga zwiwnymi chrapy, tą twarzą popielną i złotym wyblaskiem okrągłych oczu: dopada i trzepie się bezszelestnie – z cichym, mysim piskiem nietoperza.

A gdy to widzi wyobraźnia, szyję skrzyło znów nagle, każąc się obzierać na ten czarnoszklisty łeb i gały w nim białe: patrzeć czujnie w oczekiwaniu jednego słowa, które hakiem czepiło się wyobraźni.

Widzi najwyraźniej: poruszają się oto szerokie, krwią odęte wargi – czerwony pysk wyciska z kukły to słowo czarnoksiężskie:

– Abrakax!...

Wysilek śmiechu nad sobą za to urojenie przeszedł natychmiast w chichot szarpany i urwał w spazmie krótkim, stłumionym w poduszkach.

Cisza nocy stała się jak struna głucho dudniąca, uderzana biciem jej serca, a zakończona tłumionym przyjęciem oddechu i wypraszałnym bełkotem, rzucanym w noc milczącą jak przepaść. Opadła głowa na poduszkach, w tył się jakoś osunęła na sprężonej szyi, omotała, błada, włosów nieładem: z szeroko rozchylnych ust wyrzucało się spiekle tchnienie gorączki, ołowiane ciężary położyły się na oczach, potem zlewało czoło. Nad głową uspioną rozpostarł lęk czarny swe trzepoczące skrzydła.

Niebawem wszystko zgłuchło wokół niej jeszcze bardziej, jakby kto zaparł cicho ostatnie wrota jawy.

Ujrzy się przy ognisku: zatulona, drżąca, jakby spod słoty i szarugi wielkiej tu się przedarła – przez te dymy gęste naokół, z których wysuwają się kołem wąskie mordy i żarzą bezlikiem ślepią krągłe w zielonawych rozblaskach. Ogień, dziwnie mocny na tle tej nocy dymnej, łopoce się w purpurowych płacht rozdarciu i trzaska wciąż od tego roju ciem i nietoperzy, co się wtrzepują w niego bez końca.

Widzi Lenę tuż obok: ciałem gołą, ledwie włosów płowych wiechą na karku przysłoniętą; grzeje w blasku czerwonym boki tłuste, o skórze lśniącej i jak na bębnie opiętej; waży w dłoniach piersi, czy rychło zwisać poczną; pluska się po udach dłonią ciepłą, jak gdyby powiedzieć chciała: „to jest jedyna prawda nasza!...” Naprzeciw, przez rozwiew płomieni co chwila widny, leży brat jej: wyciąga ramiona ciężkie, zagrzewa przed ogniem kułaki brązowe, ziewnie przeraźliwie i powala się na grzbiet, jak ten niedźwiedź w klatce zanudzony... Tuż obok zebrał się wąsko w garb wielki nad kijami dziad Leny; grzeje przy ogniu członki chude, śmiercią stygnące, i kiwa głową jak zegar wahadłem: niemy, głuchy, ślepy... Oto wchodzi przez kłęby dymów ktoś obcy: na postać chmurną purpura ogniska narzuciła płaszcz blasku; przylegał oczami do Leny; a gdy zasiadł do ognia, zdał się przerażony tym, co czyni; chwiał się, słańiał i powalił wreszcie u nóg jej: i tak też i pozostał w cieniu jej ciała. Lecz oto wchodzi przez dymy ktoś drugi, już nie na Lenę, lecz na nią samą spozierający mdłym uśmiechem znużenia: poznała wraz z tym otrząsem mroźnym, z jakim powracało zawsze wspomnienie tamtej chwili. On tymczasem siada za blisko ognia; a jej tężeją ręce bezradne, głos zamiera na ustach: i tak patrzeć musi, jak płomienie chwytają się jego rękawów, oplatają pierś i buchają już ponad głowę. Wyciąga ku niej ramiona płonące i z matolczym chichotem na ustach za

ręce chce ją chwycić, w ogień szarpnąć. A oni wszyscy są tak dziwnie spokojni, jak gdyby nikt tego nie widział.

Za nimi, w dymach czynił się tymczasem ruch wśród tych ślepi żarzących się wokoło; zgasty nagle wszystkie: i kołem obsiadły ognisko gromady panów i dam o twarzach przymilnych gości dzisiejszych. A spojrzenia ich zwracały się zgodnie w jedną stronę.

Szedł z twarzą bladą i suchą jak płótno i sztywnymi baki, a w gołej jamie tych włosów zaciskały się wargi tak, że ust wcale widać nie było. Wszystko gięło się przed nim – mijał z pogardą. A gdy się do niej przysiadł, stężała w trwodze. Wyciągnął rękę, pochyliła się do niej.

„Wszyscy to czynili – rzekł sucho – ilu ich tu widzisz. Zaś ty musisz: nie dla siebie tylko... Bacz, by na twarzy nie czytano przerażenia: szakale patrzają. Uszu przychył, oczy spuść: dziecko twoje...”

„Jezu!”

„Milcz.”

Błysły mu oczy czerwonym odbiciem płomieni. I splonął w ognisko.

„Wszyscy mi tu kwoli czynią dla swoich tam przyczyn, o które nie dbam: głodu, ambicji czy kobiet. Więc i o twoje błahe przyczyny nie stoję. Wszyscy mi tu nie tylko kwoli czynią, ale i po myśli. Znużyły się dusze w niemoc zamyślenia nad sobą, w trwożę przed tym, w nieważność tego: pesymizmem zwą – i to także!”

I usłyszysz śmiech niski, na wargach zaciśniętych nie widny, w piersiach tylko głęboko rozdygotany.

„Ale tyś najmłodsza, duszą nie znużona. Przetom do ciebie przysiadł. I bacz – szeptem mówię: «budzi się dusza młoda ku przeznaczeniu swemu».”

Przysunął się bliżej, ustami do ucha chylił.

„Pogodę zła daruję, owoc szczęścia w drżące dłonie dam – za jedno tylko: za poniechanie prawdy uczuć i myśli, własnych wyłącznie, tych przed sobą jedynie, o których i tak nikt nigdy nie wie.”

„Wykląć się?!”

„Nie za siebie tylko. Nie o twoje błahe szczęście idzie. Nie o twoją duszę stoję.”

„Przypominam! – dobyło się z niej w oddechu głębokim. – Życie stanie – w bezruch dusz, powiadali.”

Wówczas on porwał się z ziemi i zapalił się gniewem w oczach czerwonych przed tą mną ognia.

„Nie wiesz, przed jakimś ty ogniskiem?! Nie mówiło stary?! Nie poilem ja cię tu w trosce ratownej? Gdzie bądź uciekniesz: w sobie masz ten napój żądzy szczęścia i dosytu.”

I ujrzy go wówczas dopiero w jego postaci własnej, oczom ludzkim skrytej...

Biegnie po bezdrożach dymnych. A za nią, porwawszy się sprzed ogniska, pędzą kołem szerokim chmary szakalów. Mniemała, że przed się pomyka, rychło wszakże czuć ją, że w koliste bezdroża gnają ją przed sobą w mgłę i oćmie te ślepie okrągłe o zielonych wyblaskach naszczekujące wciąż: „dziecko! dziecko twoje!”

Gdy nagle usłyszysz koło siebie skrzypienie piskliwe, gdzieś nie opodał w tej ciemni.

„Krew!... Krew!... – skarży się wokół niej i skoli ta strzyga niewidna. – Za mną chodź – szepcze – wywiode, wyczuje! Skrzydła popalili, ciało pohańbili, duszę roztargali, dno serca obnażyli: nim ja czuję! Chodź za mną. Wywiode... Patrz – jest! Jest jeden!”

Widzi przed sobą tamtego – sprzed ogniska, zza płomieni rozwiewu: z przepaską bandaży na głowie i plamą krwi skrzepłą, co się przez nią na czoło przesączała. „Sama wiązałam” przypomina.

A on:

„Podobnaś! Dziwnieś ty mi podobna...”

Machnął ręką ciężką: odtrącił precz wspomnienia.

„Patrz! – podjął myśl inną – żądza dosytu u jednej kobiety ilu ludzi poniżyła! Zmarniał przy niej, jadu sięgnął duch strażniczy; marnieje przy niej, jadem cudzych dostatków truty, i ród jej własny... I ja ległem przy jej ognisku po dwudziestu latach wielkiego znużenia. Nękiem obcej krwi ołowianej lat dwadzieścia truty, tu między nimi innej obcości jad chłonę. I tak między dwoma duchami obczyzny za młodą swą duszą wstecz patrzę, młode me siły swoim ludziom oddałem doszczętnie, młode me uczucie na hańbę posłali w odwzięce. Sam ja!... czekający wciąż.”

„Na co?!”

„Na krew” – ozwie się przed nimi.

W tej chmurze ciemnej, w korowodach wśród oomy nieprzejranej zbłąkała się rychło, zgubiwszy ich głosy przed sobą. I wziął ją lęk samotności przed ciemnymi drogi w tumanie. Więc klękła bezradnie, cała w sobie stulona, twarzą w ramionach ukryta.

Aż póki nie poczuje na sobie potrażeń gwałtownych! nie rzuci się obejmować kolan starca, chyląc głowę i czoło ku ziemi.

„Nie o tobie ja! – mruczy starzec nad nią – nie o tobie przecie! Na twą młodą głowę zmaczonymi oczami patrzę, a gromady ich całe widzę. Nad każdą – wszystkie do łez krwawych oplakiwać będą, a wśród wszystkich – każda mi niczym. Bo śmierć, obojętności matka, nie nad dolą tam czyjaś, a nad duszy wspólnej przyszłością dumać mi każe... Nie czepiaj mi się ręki! – patrz zła w pokurczu niedołęstwa jak starość każda... I dokąd mnie wleciesz... Kędyć szaleństwo ciągnie? i jaz to niby prowadzę? W tył powloką i podobnie ja wieść będę. A mnie te wasze w «tył» i «naprzód» w jedno błędne koło się zamykają wokół trumny mojej... Daj, niech spoczną na niej... Idź w przeznaczenie swoje, idź!... Wszystko samo się wyniszczy, samo wypiele...”

A gdy się od tych słów jak od przekleństwa oburącz zasłoni i podniesie wzrok – ujrzy hienę u trumny, szkieletem prawie widnym, jakby popielną próchnicą tylko przysypanym i jej głuche, zamącone oczy cmentarnego wejrzenia.

Szła ślepa wciąż, te zielonawe wybliski szakalich ślepi widząca jeno naokół. Póki w tych korowodach wśród ómy tajemnic nieprzejranej nie ujrzy ludzi jak cieni, zszeptujących się ze sobą z cicha; potem gromady ich całe, wreszcie tłum wielki jak chmurę. A w rozchwiei głów, dla wzroku w plamy zatartych, w morzu twarzy niewidnych – gdzieś, hen, jak świeca jasna: Wandy oblicze blade. Lecz oto przed te tłumy wyskoczy on z karabinem w rękę. „Mam jeden!” – krzyknie. A którzy bliżej, sarkną wzgardliwie, tłum za nimi szumi jak morze. Te groźne pomruki i rozchwieje gromady, powietrze skier i płomieni pełne rozdarły przed nią wszystkie tumany uczuć w jasność zachwyty: wyrzuciły się ramiona ku górze i zaklaskały ręce szalone.

A oni sarkną.

„W śmierć ty nas owczą, na zatracenie!”

„Kolejno pójdziecie: «jako te kamienie, jeden za drugim...» Też ja wam wprost jakby z książki: wedle wieszca czynię” – rzucił im z pogardą.

„Za kamieni kupę?...”

„Ku czemu was matki rodziły, nie wiedzą pewno same. Ledwie przypomną, dlaczego na świat wydały; wspomną z marzeniem lub chichotem. A im, kobietom, co – w jakie nas życie miotnęły? Ku czemuście wyrosli, wiecie sami dziś. A do czegoście zdolni, wiem ja. Ja jeden wiem, co życia bezruch na bezdachach płodzi: jakie dzieci te matki rodzić zdolne. I ku czemu? Nim się matki wasze dowiedzą, ku czemu was rodziły, tę im psotę czynię, że się zwiedzą przypadkiem, iż zrodziły... bohaterów!” – wyrzucił im jakby z ręki pogardliwej przy zębów zacisku.

Zgubi go na chwilę sprzed oczu w głowy opuszczeniu, a gdy go wzrokiem nad tłumem szuka – ujrzy hienę włochatą i jej pysk wprzód rozziwany, teraz w kłach wyblysku rozwarto pod ołowianych oczu twarde zapatrzenie.

„Chodź! uchodź od nich precz! Nie leż w tę ich robotę. Wandę ja znałam, na pokucie znałam... Widzisz: desperacja to twoja, ten z dzieckiem w myślach frasunek, zgłuszony gromadnych spraw zamętem, przecie na dnie duszy kobiecej żył najbardziej. Takie my już z natury. I tak cię one frasunki grozą przypomnień i rozpaczy błyskiem wprost i w ręce nawiodły – po ciemności. A Wandę znałam, pod kluczem znałam. Nieraz jej mówię: «Za mężczyznami laźłaś pani w to: wiesz czy nie wiesz. Każda z nas, kobiet, wszystko, co robi, to przez tych drani tylko. A same my: to albo za mąż się dać, albo... się. Tyle tylko potrafimy z siebie...» A i ty nie leż do nich! Oni właśnie na takie jakby zaczajeni: która nie wie, kędy w życie, a odważna z siebie. Podjudzą, do białego żaru rozpalą i kamieniem cisną, gdzie im trzeba. Napatrzyłam ja się tych sokołów, gdy w sępy po klatkach zamienione tuczą wątrobę wspomnień... Że też nie trafili na podjudzoną sokolicę, na samicę zbestwioną, która mścić się zechce, jak to kobieta: na sobie, że otrzeźwiała, na nich, że zawiedli – i w klatkę zamkniętą, sama sępem w ich wątrobę wspomnień sięgnie... Hu!... źle by było!...

A ty nie drzyj! I nie trzep się tak ramionami, nie wyciągaj rąk błagalnie. Tu ci nikt ręki nie poda. Nie bój się, nikt!”

„Przypominam! – odpowiedziała oddechem głębokim. – Stary mówił: Nikt ręki nie poda!...”

I zapadła twarzą w dłonie.

Wtedy tamta pod ramię ją ujmie i wiedzie gdzieś przed się.

„A głupiaś ty mi! Każda z nas im ma krew cieplejszą, tym na karierę głupsza. To żeś ty odbiegła ogniska polskiego szczęścia. I kędy? Dokąd? Z dzieckiem w brzuchu! A ty myślisz, że tylko oni szczęścia chcą: burzuje? Każda nędzota, każde ścierwo ostatnie ma jeszcze diabła swego, któremu rade odda za ono ostatni szmat duszy. Tylko że u nich ładu, składu, porządku pięknego w chęciach więcej; a smutek ich damul w łózkach, gdy próżne – piękny, bardzo bo piękny! A tu u nas: niebo z piekłem się mieszało, chęci się kłębią jak to węzowisko, a smutki nasze zwa się: zbrodnie.”

„Kto ty?!” – krzyknie teraz dopiero i wyrwie się jej z rąk.

„Ja Mańka «Kalosz»! Pani baronowej siostra starsza. Mleczna siostra. Jedną mamkę ssimy. Chu – udą! A obie spaśle... Nie bój się śmiechu mego. Choć gruby. Nie bój!”

I wtedy dopiero ujrzy jej postać własną, oczom dotychczas skrytą.

„Nie uciekniesz, ja cię zgonię... Wiedźmyć w duszę zaszczepiano: na sabatach byłaś uchem! Nie wyciągaj tedy ramion: tu nie pięknych smutków pora, tu nie białych damul łoże; tu już nasze desperacje i chichoty nasze! Tu już na się wzięta dola!... Własna – twoja – biedna – dola!... Dola!... Dola!... Stój! W mig cię zgonię. Bądź co w uda swe okraczę, kieckę w skrzydła, na ramiona! wyżej pępka, wyżej zadu i – huu! śmigam w lot nieścigły... Ich się nie bój: to szakale! moje kotki, me pieszczochy: «Kizi – kizi, goście mili! przyjacioły, druhy ludzi...» Pójdźże, pestko diabła twarda! Ja wyłuskam cię z gorsetek. Precz te szmaty! wont atłasy!... Białe kurczę, spod skorupki. Mięsa mało, pierza wiele. Gładkaś. Ciepłaś. Słodka w szyi. Łaskotliwa pod pazurem. Mnie się trzymaj, kurwy starej. Ja się znam na drogach ciemnych, nie przerazi mnie pogarda; nas przekleństwo wichrem miecie w najciemniejszych dróg rozkosze: na sabaty! na sabaty!... Już szakale w lot się mają: jak pochodnie z nami wzlecą oczu ognie ich zielone. Daj, namaszczęć, byś latała. Łydy prężne, stopy kocie... Już zabłysły ślepki skore? Skórka w dreszczach, włos się jeży... Wezmać, wezmać dzikie dreszcze, jak te wieżycy sabatnice pod piorunem nieba grozy: Bogu, ludziom, diabłu sprzeczne!...”

„Kto?” – targnie się ciałem, uczuwszy się pochwyconą za ramiona i ręce wraz.

A ona hen z oddali już:

„Oficery grzeczne.”

– Święta ty dla mnie, Wandziu, jesteś! – więc pozwól, pozwól mi klęczyć przed tobą. Choćby za to, że mnie ze snu straszego zbudziła twoja twarz jasna. Bóg chciał, żeś ty tam cicha na pokojach przy rannym pozostała, by usłyszeć przez ściany moje płkanie bezradne. Dusza mi się, Wandziu, ocknęła i wyrwa się – słów ładu nie patrzy – och, bo ja wiem! – w twoje chyba oczy głębokie. Prawdziwość jest w nich uczuć bezdena! Do niej ręce składam... „Święta Brygida, celtyckiego króla córka jedyna...” Och, nie odpychaj mnie. Za pacierz mi to staje uciszenia. Ja słów pacierza w pamięci teraz nie znajdę. Zło jeszcze nie daje: ledwie ustąpiło przed tobą. A tamto wraca do myśli, ilekroć na ciebie spojrzę. W „żywocie” czytałam dzieckiem. Dziecka pamięcią powtarzam... Och, nie uchylaj mnie od siebie! Nie przerażaj ty się mnie. Jeśli co ze snu tego gorączki zostało, nie moja to wina. Zło życia całe przeze mnie gorączką, mówiło i żar swój piekła samego jeszcze mi na wargach pozostawiło. Ale czucie ogniem głębiej padło: w piersi, Wando!... Och, nie przerażaj ty się mnie, nie odpychaj rękami chłodnymi! Ucałuję! – ubłagam! – ubóstwię!

Ona wtedy za ramiona ją chwyci i co sił wątłych potrząśnie nią.

– Zbudź ty się, zbudź jeszcze bardziej: jakieś niedobre moce tego snu targają tobą wciąż. Głosu przecie nie poznaję – twarz nie ta; nie twoja. O, i te oczy!

– Ocknęłam ja się duszą, ocknęłam, Wando.

– I powstań z kolan, droga.

– Ty nie znasz tej potrzeby ubóstwienia czegoś, co można widzieć, czuć, słyszeć – za rękę chwycić: pomocną, ratowną.

Lecz w tejsze chwili, jakby inną myślą uderzona, porwała się z klęczek, zatoczyła jak pijana i zachichotała ostro.

– Ja tu ciągle do czyichś kolan przypadałam, ciągle ręce jakieś obcałowywałam: tak mi się dusza wypraszała w ocknięcie... Oni powinni byli wiedzieć. A jeżeli nie do rąk obcych dorywałam się, tom chichotała przy uśmiechach cudzych lub zapalałam się wyobraźnią w konopiany błysk splanienia i w ciemności strachu ogromne. A pulsy to czułam tu, na policzkach, gdzie ten uśmiech... bolał ciągle – wyrwało się z zipnięciem płaczu nagłym. – I tu na wargach pulsy czułam, na ustach, gotowa przychylić je każdemu, kto zabawi, rozśmieszy, zdziwi, podrażni, przerazi, zachwyci – wszystko jedno! Oni powinni byli wiedzieć.

– Cóż to ludzie wiedzieć by powinni?

– Jaka ja... będę.

– Nie mów tak! O i te włosy w wicher nieładu wokół twarzy – i jakby w zaognionej czarności. Popraw! popraw je czym prędzej! Och, nie – nie rób tego mu na złość! Nie rozrzucaj ich. Nie mogę patrzeć!

– Cha, cha! Gotowaś uciec ode mnie! Patrz, tak nas przystroją i posadzą w świetle: kukiełki głupie i puste, w których myśli śpią. Aż póki...

Chwytała w garście włosy i w małpjo zwinnych ruchach oplatając je koło ciemienia.

– Wiesz ty – mówiła prędko, połykając słowa – że ja się tu dziś wieczór oddałam. Komuś, któremuś... Przyjść musiało. Który najbardziej rozbawił naprzód, potem najbardziej roztkliwił, wzruszył i najbardziej przeraził. Zabawił pustotą: tym, że się tak zmienił przez lata, że już oboje nie dzieci, że w psotach i mocowaniach dawnych coś nam przez ciała przepływa teraz. Roztkliwił wspomnieniami młodości. Wzruszył aż do rozpaczty tym, że go z rąk moich porwali na wojny pohybel. Przeraził do szafu ducha swego zamętem – wtedy już. I tak w tkliwości, wzruszeniu, grozie i przestraczu, na progu chyba nieświadomej odrazy w mej duszy bezmyślnej. A sam on, wtedy już bez duszy nieomal: zwierzę jakby. Oo! wstręt i odraza tylko teraz!... Powinszuj mi pierwszej miłości.

Wanda szczękała zębami. I bladła na twarzy tak, że te żyłki błękitne na skroniach występować zaczęły w sieniej już siatce i gruzłach. A z oczu fioletowych całego kręgu jęły wysączać się łzy jak rosa na jej rzęsy wielkie.

– Na litość boską, zamilcz – szeptała błagalnie i tak cichutko, że tamta ledwie po warg ru-chach odczytywała jej słowa. – Oni tu tobie rzeczywiście ognia w żyły chyba naleli.

– O, ty nie rozumiałaś wcale: ani z jak bezładnym żarem modlić się tylko może dusza po tym, ani z jak wielką nienawiścią do siebie spowiadać po tym.

– Po czymże to ciągle?

– Po sabacie.

– No, co ty?!... Co ty znowuż?

– Wszystko, co tu było dzisiejszej nocy, na co patrzyłyśmy obie – sabat to był czarownic i szakali zlot przed diabła ogniskiem. A kto od niego odbiegnie, temu nikt ręki nie poda, nikt! – mówił stary... Hieny i szakale otoczą go i ku dobru prowadzić zechcą. Bo nie ma „sił żywych” nam ku pomocy, nie ma! – mówił stary... Zło tylko jest żywe; zło prowadzi, zło kieruje: to zło myśli całe, które ze starego wina wymaca gnuśność. My to na swe dole... – powiedział major stary. O, nie mogę! Mnie ten starzec... mnie ofiara, mnie zdrada obie głowę ścisnęły, obie błogosławiły! – obie przeklęły? Nie wiem. I nie mnie może tylko. I nikt z nas nie wie. Natura, ona jedna wie... Ognia, mówisz, w żyły naleli? Był tam on już, Wando. Natura chciała. Oni tylko jego iskry odszukali w śmietniku pustoty, rozgrzebali wszystkie w drażnieniu, rozniecili grzechem ponurym; a potem złym czuciem, złą myślą i wyobraźnią, jak suchym wichrem w niego dmuchali. Pożar mam ja w sobie!...

Wanda dyszała ciężko, wraz i tych oczu kręgiem rozszerzonym.

– Spójrz – zagadywała czym prędzej jej dalsze wybuchy – pomyśl, jak dziwnie: tak niedawno jeszcze tam na pokojach błyszczało wszystko od barw i światel wśród zwierciadeł, a teraz? – patrz, słońca smuga wprost nam na głowy. Same my tu teraz: czujne po tym gwarze wielkim, jak dwie siostry biedne w ciszy ogromnej. Tu zawsze taka zaduma jest w powietrzu, tu przed książkami, że uspokój się tylko trochę, a zobaczysz, jak się uciszenie sączyć pocznie w ciebie bezwiednie. Może każde życie jest sabatem złych ludzi, a dobrych myśli i czynów na uboczu. Spójrz: całe wieki życia tu, a jaki spokój, jaka godność! Czasami myślę – mówiła idąc ku półkom i kładąc nieśmiało rękę na którejś książce – czasami myślę, że gdy te karty powstawały, gwar życia czynił się naokół niedobry. Gwar ścichł i przepadł, a dusza została na tego życia świadectwo. Pomyśl: ile tu życia zaświadczeń, ile dusz niegdyś czuwających. A ile było tych niemych, które tylko śmiercią swoją mogły...

– Ty dusza! – wybuchnie nagle Nina. – Nie, nie mów nic, nie przecz!... I mnie dziwnie, że gdy ten sabat w noc się zapadł przed tobą, ty jedna tu po tym zamęcie całym: w tym perłowym, prawie białym powietrzu ranka sama suknią białą, snująca się, smukła – i taka cicha każdym słowem.

– Ot i znowuż – odpowiedziała spokojnie – wytargałaś niby coś z siebie aż boleśnie i spaliłaś w rękę na konopiany błysk. Czym ja tu! – wzruszyła lekko ramionami. – Wszystko, co mówiłam o tej tu ciszy, o życia zamęcie, zapadłym w niepamięć, i o duszy, która żyje, powiadałam tylko tobie na uspokojenie: żebyś zapomniała.

– Czego?

– Ciała. Bo z niego wszystek zamęt życia i sabaty wszelkie.

Tamta zwiesiła powoli głowę.

– Więc się ucisz tak – mówiła, kładąc jej teraz dopiero dłoń na ramieniu. – Stamtąd zamęt życia. A niepokój duszy, to zgoła skądinąd. To jakby dzwon jaki daleki... Miałam ja przed chwilą rozmowę dziwną z tym, komuś ty czoło dziś opatrywała. Każde słowo zapadło mi w piersi. I wiem, że to złe życie ludzi stanęło u końca dziś właśnie: na rozstaju, nad przepaścią może. Zbliży się coś wielkiego, idzie, przyjsć musi... Gdy fatum zwiastowało się ludziom dawniej, to zanim ptaki pokazały się na niebie, kobiety zrywały się po nocach, jedne do dzie-

ci, która za wrota, inne – wypatrywać... Niepokój to w nas złych przeczuć. I stąd to wzięcie żyda ludzi całego trwogą w swoje piersi, za swój jakby grzech. Tylko tyś to wszystko wplotła w gorączkę snów.

– Bo czym my, kobiety?...

– Dusze nieme. Jak kwiaty w polu. Żyją przecie one najczujniej.

„Mówiła Lena podobnie” – miała już na ustach, gdyż teraz dopiero tchnęło ją instynktownie i pokrewieństwo myśli, i podobny tok rozmarzeń.

– Ty znałaś Woydę? Prawda! Przypomi... – mówiła powoli, w miarę jak się jej oczy w coraz to większym zdziwieniu i smutku zapatrywały w Wandę. – Przecież ja wszystko rozumiem. I wiem nawet wszystko. I o jego strasznym końcu przez tamtą! I tę rzecz jeszcze straszniejszą wiem teraz – zwlekała w mówieniu pod zdziwienie myśli coraz to większe – że wszystko lepsze w tęsknotach tych ludzi, a co oni tak zamęcili... Ja na źródło tego wszystkiego trafiam teraz ślepa! Jak to oni powiadali? „Prawdziwość uczuć?” Tyś ją tylko dawała życiem całym, uczuć cichością i jeszcze większą ciszą tego, coś czyniła, więzieniem twoim, krwią z ust pluta. I wszystkim, czego ja nie wiem. I wszystkim, co będzie. Jak oni to nazywali to drugie? „Sumienie ruchu?” Powiedz!... Ty niema. Rozumie się. Ty na śmierć nawet nie miałabyś słowa przerażeń, tylko uśmiech może smutny. A oni wszyscy są z kłamstwa słów! I kłamstwa wyobraźni, która się rodzi... O, z niesytości dosytów chyba! By płodzić w myślach rozkosze większe od zaznawanych. Och, ja pamiętam każde słowo z tego, co Lena wtedy opowiadała. I rozumiem teraz dopiero. On miał słusność.

– Kto taki?

– Diabeł – zaśmiała się ostro.

Lecz niebawem i na śmiech nawet nie stało w pasji. Dłonie tylko to rozczepiały się palcami, to zaciskały się w kulaki.

– Mówił, że „purpura marzenia” to jakby Leny negliż strojny. Że to także ze zmysłów i dla zmysłów. Bo inaczej nie byłoby to ani marzeniem, ani wyobraźnią, ani pięknem przecie. A straszna jest ich robota, powiadał, nad naszymi duszami młodymi.

– Czyja?

– Hien tych. I tej ostatniej także.

– Jakiej?

– Woydy.

Doskoczyła do niej Wanda w mig i zacisnęła jej usta dłonią całą.

– To ci tylko diabeł sam mógł powiedzieć. A ona tym gwałtowniej ogarnie ją za szyję i wzburzeniem swych dłoni krzepkich targa, pociąga jej głowę ku sobie – twarzą do policzków.

– Tyś dusza!... Ta, o której major stary mówił: zdradzona! Dlatego cię tu Lena do siebie „ciągnęła” prawie że z więzienia wprost, abyś nie „zdziczała”, abyś się oswoiła z ich życia ponętami. A ty samotnością zahukana podpatrywałaś to życie z cichych kątów onieśmieleń. Dlatego oni cię tak radzi poniżyć, podeptać, jednym „He?!” – co na imię twoje spada im z warg niesmaku. Lub żałośliwym współczuciem otoczyć, jak Lena ciebie, ubraną może za jej pieniądze na te bale, by się ciebie wstydzic nie potrzebowała. Nie ma na tobie purpury marzenia! A ty spod ich pogard niemych, spod nóg roztańczonych nieomal, tą Leny urodą „wspaniała”, jak mówiłaś, rozbolała we wspomnieniach, uciekałaś w swej wrażliwości tu, w tę „grobnicę”, mówił major. Tu cię widywałam zawsze, tu tylko z tobą mówiłam. O, ja wszystko teraz rozumiem, wszystko widzę ocknięta!

Lecz ona odjęła powoli jej ręce z szyi. Zdała się być tylko znużoną tym wybuchem.

– Znowuż spłonęłaś w konopiany ogień. I znów przeze mnie. Ach, i odchył twe policzki dalej: żar od nich bije taki. Na szyi czuję z daleka. I ręce odejm, od dłoni nawet; nie ściskaj ich tak: masz gorące takie! – mówiła z drgającym grymasem niesmaku. – I daruj mi. Mnie chłodu było trzeba życie całe i zapominania w sobie...

– Czego?

– Ciała, Nino. Cicho! Nie męcz... Powiem ci za to – mówiła opanowując drżenie głosu – że tamtego wieczora, gdy wszyscy głowy potracili, a Lena spazmów dostała – gdy on już stygł, ja zmywałam mu z twarzy tę krew, która – och, tak długo jeszcze, tak ciągle! – spływała mu wąskimi strugami z ust i nosa – och, i z oczu nawet.

– Matko Boska!

A po długim zadyszeniu się ich obu:

– Tu jest strasznie dobrze, Nino, w tej ciszy kościelnej przed książkami, w tej godności i spokoju po życiu, jakie było.

Przycichły obie; wśród labiryntów grobnicy surowej w perłowym świetle ranka – snujące się, żywe, zbożnie zamilkłe.

Wanda zatrzymała się, wskazując na szereg książek.

– Ach! – drgnęła wraz druga całym ciałem. – I on tu?! Cicho zniosły to do okna.

Wanda długo nie odzywała się, przerzucając karty dłonią drżącą. Oczy drugiej zabłąkały się w tym oczekiwaniu ku górze, gdzie nad półkami rzędy popiersi płonęły o poranku niby lamp białych szereg dziwny. I słyszy oto:

Ofiarnych snów grobnico biała,
Jam zabłąkany w ciebie ptak!
Gdy młodych chmar gromada cała
W słoneczne życie wzięła lot,
Mnie wspólnej doli trafia strzała:
Do grobów skuł miłości grot!...
I w cierń mi wplata marzeń wieńce,
W marzenia twego krzyża znak,
Ofiarnych snów grobnico biała,
Co w śmierć upajasz zatracenie...
By na twym krzyżu każdy pił
Rozmarzeń swych octowy szyd:
Czy jest? Czy będzie? Czy już był?
Czy świat majakiem, czy on zwid?!...
Tak ksiąg harfianych chce obiata,
Cierń nam w węzowy pierścień splata:
W zatracanego stygmat świata:
W ofiary ciągłej nieskończony myt...

Jeszcze nie ścichły strunne jakby podzwęki jej głosu, jeszcze ona sama stała w tej złotej smudze pod oknem – zamodlona, z twarzą w dłoniach, gdy ta druga w tył się nagle rzuci i spręży przed się ramiona.

Tuż przy tym słonecznym promieniu i białym jego zjawie ujrzy marę snu nieprześnionego, o pysku z warg, nozdrzy, i oczu krwią ociekłym: widzi hienę w rozdziawieniu kłów cmentarnego zwierza – drapieżnym a cierpliwym...

CZEŚĆ CZWARTA

Zapoznaniu się profesora z Komierowskim towarzyszył zgrzyt obrzydliwy. Oto gdy za światła przygaszaniem wyszedł podówczas z biblioteki, minął starca kołaczącego po salonie pustym i natknął się na tamten monolog spod okna wygłaszany do dziewczyny, po pierwszym oszołomieniu poczuł się dziwnie niezręcznie w tym przypadkowym podsłuchaniu rzeczy obcych i tajemniczych. Jął się tedy usprawiedliwiać: jak to zasiedziawszy się przy książkach szukał wyjścia i pragnął pożegnać się z gospodarzem. Osobnik z przepaską na czole odpowiedział dopiero po długiej ciszy nieokreślonym pomrukiem. Wanda natomiast starała się łagodzić tę jego opryskliwość okazywaniem niezmiernego szacunku. Profesor bąknął tedy coś na usprawiedliwienie i ustąpił. Ledwo zdążył wycofać się z pokoju, a usłyszał za sobą niskim szeptem:

- Nie chodzi on tu z uchem? ha?
- Bójcież się Boga: profesor z Krakowa!
- Mało co profesor! I mało co z Krakowa!

Usłyszawszy i to mimo woli, wstrząsnął się odrazą: z tej na poły obcej gwary przebijało w ponurym napięciu tych ludzi podziemnych wręcz jakieś odziczenie dusz po ostępach. Zbyt pełen był sam rozmyślań nad przeszłością i wrażeń przyniesionych z biblioteki, aby tego pierwszego głosu współczesnego życia nie odczuć jako potwornego zgrzytu wszechstronnego już zbarbaryzowania: uczucia, myślenia i słowa.

Lecz za Wandy naleganiem stanowczym ponury osobnik dogonił go w przedpokoju i przedstawił się jako brat Leny. Rzekłbyś, odgadując wrażenie, jakie wyrzeć musiał, starał się być poprawnym, a mówił przy tym prosto i najniespodzianie szczerze. Profesor stwierdzał dla się mimochodem potęgę rasowości: „Przecież i taki niedźwiedź nawet – myślał – gdy zada sobie tylko nieco trudu i wyjrzy z tej narosłej skorupy barbaryzmu, staje się nieomal charmeurem w obejściu.” Przy obustronnym tedy wysiłku zatarcia niemiłego zgrzytu sprzed chwili wywiązała się rozmowa, a wraz i dysputa najzarliwsza. Profesor sam nie spostrzegł, jak długo przeciągała się ona.

Wanda, przysłuchująca się czas jakiś, odeszła była na pokoje, do Niny; oni rozprawiali wciąż.

W palcie na ramionach, z cylindrem w rękę, chodził profesor niespokojnym krokiem po przedpokoju, przystawał zasłuchany pochmurnie i wybuchał od czasu do czasu.

– A przecież ludzie tu ślepi są i głusi! Ani się który domyśla, co wy im tu pod ziemią, pod nogami wprost gotujecie.

– Oni tu zdziecinnieli zupełnie in rebus publicis – odparł Komierowski z tym niedbałym rzutem dłoni w mankiecie. – Rozpisują się tu po pismach, że odezwy w sprawie tej wojny oraz innych sprawach rozrzucają zawczasu między ludem... hakatyści. Bo to jest najnowszy straszak nianiek. Tu jest jeden tylko człowiek, który przewiduje doskonale, na co się zanosi, i bierze to w rachuby swoich tam zagadkowych i nieciekawych zresztą kombinacji.

- Mianowicie kto taki?

- Mój pan szwagier: baron.
- Ach? – zdumiał się profesor. – Czyżby on wam sprzyjał?
- O, do pewnego stopnia. I czasu prawdopodobnie. Na razie gotów by nawet i funduszem pewnym...
- Czyżby? A potem?
- O sympatiach takich ludzi decyduje siła.
- Myśle! – profesor odymał wargi i kiwał głową: bardzo dziwne i niewyraźne wydało mu się to, czego się tu dowiadywał o baronie.

Lecz oto powróciła Wanda, przyniósłszy ze sobą blade milczenie. W rękach splecionych trzymała jakieś książeczki małe, niby modlitewniki tego skupienia. Miała się ku wyjściu. Barońskiego człowieka zaufania prosiła, by posłał kogo ze służby na miasto po codzienną odzież Niny, która, nie myśląc już o spoczynku, pragnęła się tylko jak najprędzej stąd wyostać. Wychodzili tedy we trójkę, gdyż Komierowski ofiarował się odprowadzić Wandę.

Na progu zatrzymał się w namyśle i dał od siebie zlecenie służce. Wręczał klucz i posyłał na swój czwartak w sąsiedniej ulicy, aby się upewnił, czy tam kogo nie szukano, a jeśli można, zabrał jakąś paczkę z pieca i przeniósł ją tutaj. Człowiek zaufania chwycił polecenie w nadstawione ucho i, pochylając głowę statecznie, przymknął powieki na znak ścisłego i milczącego wykonania zlecenia. Wanda spoglądała na to frasobliwie i jakby z wyrzutem; jej wielkie oczy zdały się mówić: „Po cóż to jego wciągać w takie konfidencje!”

- No cóż? on dobry człowiek – mruknął Komierowski niedbale.

Człowiek zaufania, podawszy profesorowi z godnością palto, wyświecał ich wszystkich na schody, zatrzymawszy się przy drzwiach jak posąg. Profesor zrozumiał to sposobowienie służki i cofnął w kieszeń garść z drobną monetą. A gdy ujrzał przed sobą nisko pochyloną głowę, chwyciła go nagle taka niewytłumaczona odraza do tego łba, że cofnął się odeń gwałtownie, jakby w skurezu.

Usłyszał głucho zatrzaśnięcie drzwi, które uderzywszy echem pod wysoki strop klatki schodowej wracało niskim pohukiem niby zatajonego w tych murach złowieszczonego śmiechu.

Zzymnął się gwałtownie na ten ostatni akord wrażeń dzisiejszych.

Tu już nie duchy postępowe i „życia lampy”, lecz niewyraźna atmosfera jakichś innych duchów, gaszących płomyki zarodkowe, potraçała myśli czujność w odrzynie ledwo świadomej.

„A jednak to życie – myślał teraz – pod błahą i nikczemną powierzchnią swoją jest przecie podmyte głębszymi nurty, jak może nigdzie na świecie, w ciasnocie ludzkiego tu bytowania stykającymi się nieprawdopodobnie; wrogimi na śmierć, a spokrewnionymi tak niesamowicie instynktami podziemia.”

Ta pobłażliwość Komierowskiego dla lekceważonych kombinacji barona, nad którymi zastanowić się nawet nie raczył! A potem ta jego niedbała dobroduszość wobec – kto wie – czy nie ducha stróża nad baronem! „Zaś ja – przypominał – jakżem ja tu został powitany?”

Węzeł był zbyt niepokojący, aby nie zwrócić myśli na jego rozplatanie.

„O tym – rozważał tedy – co ludzi rozbraja do siebie ufnością – nie o sympatii bynajmniej, tęcz o pewnej pociągliwości ku sobie, decyduje atmosfera, jaka każde życie otacza w zgoła nie uświadomionych drobiazgach sposobu dawania się, gestu, ruchu, spojrzenia. Dla opie-szalca inny opieszalec będzie wprawdzie zgoła obojętny, lecz w tej właśnie obojętności... «no cóż? – dobrym człowiekiem»; dla junaka nawet rabusiowa zuchwałość gotowa stać się czymś fascynującym; szczeremu nawet błaha i pusta szczerłość wiązać będzie niechybnie; dla skryte-go cudzej skrytości jeszcze nawet nie uświadomione cechy będą czymś wzbudzającym zaufa-nie. Jest pewne ponure pokrewieństwo instynktów, nawet wśród sterujących wolą w biegu-nowo przeciwne kierunki: ci najtrudniej uwierzą w złość krewniaka. Niesamowite i złowiesz-cze krewności zapowiadają instynkty podziemia.”

Ocknięty z zadumy słyszał ostatnie, coraz to niższe pohuki w głębokiej studni klatki schodowej: śmiech milkł, zatajał się w tych murach.

Wystąpili wreszcie na ulicę i poczęli chłonać świeżość poranka w piersi zdławione. Oczy profesora błąkały się mimo woli po monotonnych szeregach okien przeciwległych. „Oto – myślał – jakim powietrzem oddychają po wszystkich tych wnętrzach, w których dławi się duch powszechności, wtłoczony w ramy za ciasne.”

I zadumał się nad tym, czy każdy nie ukrócony zasób sił dawnych, na wspak temu życiu w tych wnętrzach rodzony, nie musi siłą konieczności pójść na zatracenie po etapach dalekich? Czy każda rzetelniejsza wrażliwość, po kątach rodzinnych pamiątek pajęczyną przeszłości omotana, nie uwiędnie tu w młodym smętku dla życia i nie dojrzeje na cichą ofiarę? Czy każda namiętność, w atmosferze zastoju do ambitnego czynu nie ponoszona, nie gorzeje tu bez płomienia i nie tli się dymnie wraz z duszą młodą? Czy pospolite tu marzycielstwo kobiet i mężczyzn nie wypełni się nazbyt rychło mętem zgnuśniałego naokół życia? Czy, rzadkiej tu w istocie, bujności natury kobiecej w atmosferze takich uczuć i namiętności nie grozi zwichrzenie bezsterowym zasobem sił emocjonalnych? Czy... i tak bez końca!

A nade wszystko: czy nie są to tych wewnątrz ofiary konieczne? i czy nie zwa się one tego życia – młodością?

Zagadnął go wreszcie Komierowski, zapatrzonego w tak surowym skupieniu w te głuche szeregi okien naprzeciw.

– Ach, panie! – odparł. – Zajrzałem oto dziś do jednego z wewnątrz takich – i znam je wszystkie już! Wychodzę pijany smutkiem aż do nienawiści życia. To uczucie musi być wam dobrze znane, he? – spojrzał na niego spode łba. – Aż do nienawiści samego siebie, gdy energia bez ujścia zło lub zółć w sobie tylko warzy i serce nią własne zalewa. Dostyc z wami wieczór jeden przeżyć, aby was zrozumieć.

– Toteż pułkownik przecinał węzeł naszego życia mieczem. Gotów był nas wszystkich na wojnę zaprosić.

– I miał słuszność, dalibóg!

– Prawda? – rozpromienił się Komierowski w oczach. I nacisnąwszy głębiej kapelusz na czoło dla ukrycia tu na ulicy bandażowej przepaski, chwycił go aż pod ramię w ożywieniu nagłym.

– Prawda, panie? To jest więcej niż słuszność: to jest zrozumienie konieczności. Bo prócz „racji stanu”, życia i jego krzywd czy pożądań jest jeszcze ta najważniejsza: racja dusz ku czemuś fatalnie dojrzałych. Dojrzałe tu one jak owoce późne. I gniją, gniją na drzewach. Należy je czym prędzej otrząsać.

– Sobie! – mruknął i spojrzał nań znów spode łba.

– Czyż to własność jest – te dusz ogrody? Boję się, czy nie pierwszego wiatru. Macie mi gnąć marnie i rozsiewać tylko kołem wasze zło bezpłodne, czyńcie mi tedy moje zło twórcze.

– Któż to tak niby mówi?

– Mógłby rzec ten, który powiada o sobie: ja jestem rozum, ja jestem konieczność, nie czas mi bratem, ale siostrą wieczność... Za rymy przepraszam; zwykłem przemawiać do młodzieży, muszę tedy cytować wieszczów: inaczej nie jestem dostyc przekonywający.

Na ustach osiadł mu uśmiech jakiś obcy: „kosy”, chytro--melancholijny, nie wiadomo – z siebie czy z innych szydzący.

Profesor baczył nań uważnie zezem ponad okularami. Dziwnie bo sprzecznym z tym uśmiechem wydawał mu się ów niedbały rzut dłoni w mankiecie. W tym geście krótkim było przecie coś z „vogue la galere!”, coś z woli i fatalności zarazem: jakiś błysk junactwa spod chmury melancholii.

„Z ciebie by, bracie, oskrobać ten kurz dwudziestoletniego barbaryzowania się w nęku dusz obcych, ogolić, jak się patrzy, ubrać w mundur, posadzić na konia, dać powieść szarżę jaką, a dokonałbyś może cudów nie gorszych od tych unieśmiertelnionych dawną chwałą... I

tkwi oto taki w tużurku zakrystiańskim, obrosły na szyi jak ten wilk morski, samotny, ponury i odcizłały jak te rybaki. I wylawia oto w mętnych wodach życia resztki energii żywotnych, nie gardząc i kobiecymi. Tobież to warcholić wśród tłumów jak temu mnichowi, wieszczów cytować niby Ojców Kościoła?... Czy może być większe odwrócenie natury na wspak? Czy zdarzyć się może ono gdzie indziej na świecie?”

A on tymczasem z tym rzutem dłoni w stronę okien przeciwległych kończył swoje:

– Bądź co bądź po wszystkich tych wnętrzach oczekują jego rekruty.

– Czyjeż to, koniec końców?! Któż to jest ten rozum i konieczność zarazem, a wieczności brat? Ja nie jestem tak mocny w poezji.

A on podniósłszy oczy zza skrzydła kapelusza, popatrzał nimi twardo.

– Ten, który każdą wojnę na świecie nieci: dziejów szatan.

I znów z tym dziwnym uśmiechem na cierpkich ustach:

– Zaś o szatanach trzeba tu młodzieży prawić gęsto: wyziębły bo dusze na człowieczeństwo w sobie pełne, które i surowe właściwości mieć w sobie winno. Nie mają tu ludzie dobrego sumienia w czynie twardym. Jest jedna rzecz, która to dobre sumienie zawsze daje: komenda gromadzie. Gdzie jej nie ma, tam trzeba w ludziach podtrzymywać to, co dzielności wprowadzie nie tworzy, rodzi za to... no! – „zachwał” czynem. Trzeba w nich podtrzymywać...

– Złe sumienie romantyków! – wpadł mu gwałtownie w słowa.

Ruszyli wreszcie. Wanda, oczekująca na nich na uboczu, przesyłała tymczasem ukłony w stronę najbliższego okna na parterze.

– Przyjdź do mnie zaraz, jak tylko będziesz mogła. Czekać będę u siebie.

Pod ostre światło poranku widniała za szkłem zatarta sylwetka głowy dziewczęcej i dwie dłonie na szybach przyplaszczone, jak dwa białe skrzydła u czoła.

Na pierwszym zakręcie ulicy oczekiwało na Komierowskiego dwóch młodzieńców, bodajże w tej sprawie, w której wysyłał było służącego na swój czwartak. Profesor przypomniał sobie te twarze: byli to wśród gości dzisiejszych owe dwa łazęgi europejskie, panowie Mikulski i Bogdanowicz. W miękkich, nieco druciarskich kapeluszach, z kołnierzami palt nastawionymi w przymrozkę poranka przyłączyli się do nich milcząco, ledwo pozdrowiwszy pomrukiem.

Profesor nawykły do bardziej respektownego obejścia ze strony młodzieży począł rozmyślać nad tym, jak to tu wśród młodych zatracą się wszelkie poczucie hierarchii, przede wszystkim intelektualnej. Wszystko to zda się u nich dotyczyć tylko obcych: swoi są swoi – i kwita! bywają burżuje i proletariusze – i tyle!... Przypatrywał się wprost z niepokojem surowym obliczom młodzieniaszków. „Jak to wszystko samopas po szerokim świecie chadzać musi, samokwitłe się rozwijać, nieufne wszystkiemu, co im potakiwań nie obiecuje. I jaką ponurą fatalność ma to wypisane na swych czołach młodzieńczych.”

Jęła go niecierpliwie niedostępność tych „smarkaczy”, jak myślał. „Co te serca otwiera, co je rozgrzewa?” – pytał się w duchu. I tym niepokojem kierowany zagadnął poufale o to i owo, zrzuciwszy pychę godności z siebie. Ale oni pamiętali mu dobrze jego opryskliwe i twarde zbycie ich prośby o poradę w sprawach „studiów społecznych” dla osłodzenia sobie omierzłej „techniki”: odpowiadała oziębła młodzież chmurna. Czuł mur między sobą i nimi. „Czyżby – myślał z przerażeniem – czyżby mur taki oddzielał tu już... pokolenia oba?!”

Żywszy z tych dwóch młodzieńców, pan Bogdanowicz, rozkrochmalił się wreszcie:

– Cóż tam... w Krakowie? – zagadnął.

I nie otrzymał wcale odpowiedzi, tylko półgębkowe odęcie się warg i bystry zez nad okularami: ostatnie słowo wypowiedziane było jakoś zbyt wesoło jak na gród poważny; brzmiała w tym ponadto dziwna nuta wyrozumiałości młodego pana, pragnącego widocznie reprezentować życie bardziej współczesne. „Rzecz niepodobna! – zdumiewał się w myślach – by te epidermalne uprzedzenia i niechęci Wschodu potrafiły siłą czasu samego przyłgnąć i do takich!”

Tuż przy trotuarze wlokła się w ślad za nimi naprzykrzona dorożka, ciągniona przez chudy potwór koński o przeraźliwie wystających bokach. Woźnica na koźle siedział, a raczej zawiśał, w demonstracyjnie apatycznej pozie, zarzuciwszy nogi na wyższy od siedzenia przód pojazdu, wystawiając wielką dziurę sukmany na zgarbionym grzbiecie i jakieś strzępiące się z niej właki. Ziewało na nich północne lazaroństwo i z tych domów, jakby krzywych pod to kolebanie się zgrzytliwego pojazdu, z kamienic o barwie pośredniej między granitowym tonem miast Zachodu a pstrokacizną Moskwy: fasad o koloru brudno wesołym, zdobnych ponadto w jaskrawo kłójące się barwy blach i szyldów rozmaitych. Pod te aspekty architektury dziwnie szpetne, bez śladu jakiegokolwiek woli prócz zysku, obtłukiwał się po brukach lazaroński wehikuł, rzucając, zda się, na wszystko, kędy skierowały się oczy, swój turkot apatii monotonnej: jak Bóg dał! jak Żyd chciał! ile każdy z tego miał!...

Omaliż nie nadepnął na nogi żebraka, który wyłożył na trotuar swe wyschłe na kość piszczele, niby samotrzask na osoby dobroczynne, przedostali się pod mur i skręcili rychło w dół ku Powiślu, gdzie mieszkała Wanda.

Gdy zapuścili się jednak w spadziste, ku rzece wiodące zaułki, gdy wionęło na nich przeraźliwie zatechłą wonią nędzy, gdy z murów i rynsztoków, odzieży i łbów ludzkich nieomal cuchnąc poczęło jadłem, wydzieliną i ich gniciem zarazem, profesor opadł w sobie i przybladł na twarzy. Patrzył z odrazą na rachityczne bachorki, zaropiałe koło gąb i nosa, na tłuste Żydówy, pełzające jak brunatne ropuchy od sklepiczka do sklepiczka, na szwargotne rojenie się Żydów, na te ich królicze, na pół krwawe ślepia żerujących po śmietnikach stworzeń. A bardziej przytłaczającą od wszelkiego brudu i nędzy była dlań leżąca na wszystkim barwa szarzyzny mętnej, ton już nie asfaltu nawet, lecz płwociny.

– Cyliender! – usłyszał nagle z podgwizdem, jakby głosem szpaka.

I wyblęły nagle przed nim jak rtęć żywe oczy na głowie wystrzyżonej w kulę płową. Na porę zimową widocznie ciepło przyodziany, tkwił ten wyrostek w szerokiej marynarce po kimś starszym, zwieszającej mu się po cholewy ciężkich butów. Ta figurka w kloc, na której tkwiła płowa, wystrzyżeniem śliska głowa smarkacza o rozbieganych w ciekawości oczach, sprawiała wrażenie gнома, umorusanego od czuba do pięty, rzekłbyś, w złośliwej jakiejś robocie.

– Franek! – krzyknęła Wanda. Dopadł do jej ręki, a wnet potem zakręcił się jakoś między nimi wszystkimi, rozbłyszczał oczami jak ten młody pies: swoi panowie!

Komierowski sięgnął garścią do tej głowy żółtej.

– Jak się masz, łotrze!

– Ostrzygłem się – rzekł chłopak nagle zmieszany pod tą dłonią ślizgającą się po jego ciemieniu.

– W toilette – clubie! – parsknięto. – W ratuszu szelmę znów ostrzygli. Cóżś chapnął znowu?

– Jak Boga ko!... – wrzasnął chłopak i zapaliły mu się oczy głębokim żarem. Ale w przeczności zabobonnej wolał jakoś nie kończyć lepiej tej przysięgi; oczy zgasty tak nagle, jak się zapaliły, i stały się jakoś niewyraźne. Lecz wejrząwszy na rozbawione raczej w półśmiesiach spojrzenia ludzi, błysnął chytrze oczami i machnął ręką:

– Ee, o jabłka tam poszło.

– „Poszło!” Komuś tam o nie poszło.

– Oj, Franku, Franku! – groziła Wanda. W mig dopadł do jej ręki.

– Cóż to znów jest? – pytał profesor, przypatrując się wciąż tej klocowatej sylwecie, w której tkwiło giętkie i śmigłe ciało otroka.

– To? – Komierowski przygarnął chłopaka ramieniem. – Życie samo, in crudo. Działwa, jak to się mówi u nas sentymentalnie. Robociarska, zresztą... „Fotografijki” masz? – zwrócił się nagle do chłopaka w przypomnieniu jakimś. I nie czekając odpowiedzi, sięgnął mu szybko do kieszeni. Wyrwał jakąś paczkę i uderzył go nią z rozmachem po łbie.

– Ty świnię mała!... Ot, czym taki handluje chętniej niż gazetami. Wybiega z tym przed hotele.

– Tfu!

– A no, żywi to się, czym może, jak te psy w Konstantynopolu, nie tyle z łaski ludzi, ile śmieci.

– Ojca masz? – pytał surowo profesor.

– Ni.

– Gdzieś się rodził?

– W szpitalu.

Ta osobliwa konkretność odpowiedzi rozśmieszyła kogoś. Chłopak poczerwieniał w jednej chwili aż po uszy, draśnięty ambitnie tym śmiechem.

– Czy to źle? – zaniepokoił się żywo, przeskakując oczami z jednej twarzy na drugą.

Wśród opieszających po bramach bab i Żydków ruchliwych na ulicy wszczął się tymczasem jakiś nagły niepokój: podrywało to się jak wrony, biegło przez ulice, kupiąc się zgiełkowie przy jednej bramie w oddali. Jakby kto kamień w mrowisko rzucił: w mało ludnej przed chwilą ulicy zagęściło się nagle od chałatów, babich kiecek, dzieciaków pędzących tabunami. Czynił się gwałt wielki i zakotłowanie wrażliwych tłumów podmiejskich.

„L o k a t u r!...” – słyhać było poszmerem słowo dziwaczne w tym zamęcie.

Przez ciżbę rozstępującą się szedł ktoś z gołym łbem, wielkim jak ceber a zwichrzonym w kudły brudne: postać mizerna, chuda, z długimi ramionami małpy; ziemiste blada twarz dygotała mu bydlęctwem na świeżo popełnionego tam czynu.

Bo oto tłum rwał za nim jak te psy za dzikiem. On zaś przystawał raz po raz i obzierał się spode łba – przystawali i oni. A gdy ruszył, popychali się wzajem jemu na piętach. Wlokący się dotychczas pod murem, wytoczył się na środek ulicy, sięga długim ramieniem po kamień bruku.

Lecz oto z tłumy wypchał się łokciami ktoś stanowczy i, wtlaczając w kieszenie gotujące się kułaki, następował za nim twardo.

– Tee!... – rzucił tylko.

Tamten spojrzął mu ledwie w oczy i w tejże chwili skoczył w bok: rozepchnął tłumy uderzeniem ciała i śmignął przed się w ucieczkę. Z zawyciem i gwizdem przeraźliwym walił za nim tłum cały.

Zaczepili pytaniem kogoś z brzegu.

„L o k a t u r” – usłyszeli znów to słowo cudaczne.

– W sprzycze – dopowiedziała dumnym tonem osoby świadomej jakaś jejmość brzemienna. – W brzuch dziabnął.

Komierowski machnął ręką z obojętnym niesmakiem i pociągnął naprzód swą kompanię. Lecz uciekający, mając tam w głębi zagrodzoną widocznie drogę, rzucił się w tył i biegł wprost na nich. Osobnik z rękami w kieszeniach mało co przyspieszał kroku. Komierowski poznał widocznie znajomego i krzyknął ku niemu:

– Dajcie pokój. Jur, temu ścierwu! Nie wasza rzecz. Tamten wyrwał ręce z kieszeni odruchowo i zawahał się przez chwilę w uległości.

– To jest rzecz zupełnie insza! – mruknął jednak odpornie. – Dać pokój?... Jużci! – żeby nas tu wszystkich porozpruwał. Taki umie się pokumać z kim trzeba: jego nie tak prędko nam ruszą. A trzymają nas te wilki w trwodze jak te owce głupie. Nie ruszać! – rozumie się.

Uciekający, chcąc zmylić pogoń, skoczył w podwórze najbliższego domu.

– Jezdeś! – rzekł spokojnie robotnik. A tłumowi skomenderował, by zagrodzono tam w głębi podwórza dostęp do parkanu. I nie śpiesząc się wciąż, wstępował powoli w bramę domu. Obciążał półkożuch, gotował ramiona na rozprawę twardą. Profesor zdumiał się spostrzegłszy, jak krótkim zatajonym ruchem przeżegnał się na ostatku.

Cizba na ulicy ścichła radośnie: skrzyły się oczy w oczekiwaniu niecierpliwym. Wreszcie rozległ się tam zdławiony krzyk trwogi: „Nie strzylaj!” – „Chodź tu!” I wraz echowy rumor jakiegoś zmagania się na schodach.

– Ma go! – stwierdzono lakonicznie w tłumie. A potem nieludzkie zawycia w targaniu się szamoczącym, łoskot rzucałego po schodach ciała, wrzask chrypy pod razy głucho spadające; wreszcie jęk tylko, wyciągnięty w skowyt długi.

– Juszy on tam teraz jak ten wieprz obuszony – zgadywał ktoś w tłumie.

Profesorowi rozchyłały się szeroko usta: „Co to jest?!...”

– Grzanka – tłumaczyła zwięźle jejmość brzemienna.

Potworny wiew odziczałego motłochu teraz dopiero wstrząsł go całego odrazą. Chwyił się za głowę i odstępował na bok. Najchętniej zamknąłby oczy, by nie widzieć tych wszystkich rozbestwionych, jak odczuwał w tej chwili, ślepi naokół.

– Co znaczy u tej dziczy słowo „lokatur”? – zżymał się wstrętem, odgadując i w tym jakąś ohydę. Roześmiano się.

– No, taki, co mieszka kątem przy robotniczej rodzinie – pod oknem lub piecem: lokator zwie się. Musiał to być numer nie lada, skoro to niewyszukane stanowisko życiowe stało się dlań zawołaniem bohaterskim i siało grozę wśród tych ludzisk ciemnych.

– A, dajcież mi pokój! – splunął tylko w odpowiedzi. – Wszystko to razem – jedna kanalia, bonne pour etre mitraille przy pierwszej sposobności...

– Te, cyliender, nie gniwaj się! – rzucił mu jakiś przechodzący robotnik. I wyciągniętą łapą byłby mu wbił kapelusz na czoło, gdyby go w porę nie odepchnięto. Odrzucony mocno na mur, przyjął to dobrodusznie i poszedł spokojnie dalej.

– Nie gniwaj się! – wołał tylko raz jeszcze. Profesor nie raczył się nawet za nim obejrzeć.

– Ahańcza! – syknął tylko przed się, w tłum. – Ile w tej tłuszczy skośnookich mord! ile tatarszczyzny, ile Wschodu wszelakiego domieszać się tu musiało krwią – a duchem ile chama wschodniego w ten zbarbaryzowany motłoch nasz! Ile tu faktorstwa głodnego, ile rozwałęsanego beczynnienie łachmaniarstwa i chałatów! – ile wilczych spojrzeń spod łbów podejrzanych! – ile niuchów węszących! – ile waszeciowatych jakichś postaci, tkwiących jak posągi pod szynkami: ile tu rąk bezrobotnych w tym nędzarstwie!... Czyż trzeba wyraźniejszego piętna i stygmatu Wschodu na tym cielsku nędzy wszawym!

– Czy ten oprawca dobrowolny – rzucił się nagle z odrazą – rychło skończy swą robotę junacką? tę swoją „grzankę”?... I jakież słówko mile swojskie wynaleźli swym instynktom ścierwnym!... Bójcież się Boga – chwycił się znów za głowę – pomyśleć, że to wszystko jest nasze!...

– A czyjeż to ma być, dobrodzieju, jeśli nie nasze? – kłaniała się maciejówką jakaś niska figurka. – Bez obrazy, że przemawiam. Widzę: osoba ważniejsza, myślę: trzeba wytłumaczyć. Bo skąd wiedzieć takiemu panu. A no: dostała się jedna wesz nędzy naszej w twarde palce – gniotą mocno, choć osoby delikatne uszy z daleka bołą. Kogo on „lokatur” tu nie zmądrzył, kogo nie oczmucił pisaniem próśb czy licha do sądów: wyłyzgrosz jeden! Kogo on w jakie szachrajstwa i niecnoty nie wciągnął, którą dziewczynę, choć trocha do ludzi podobną, Żydom na Amerykę nie przedawał! A ilu on ludzi po ulach nie wyszargał donosem kłamnym? ilu pijanych zgrał w pasek? Kto wyliczy! A ta wdowa, co mu mieszkanie pod samym piecem dawała, widziała ona kumorne? Ze strachu trzymała. No i ma teraz! A na te brzany z ulicy podwikowe przecie nałożył i pilnował, żeby jak podatek – od stuki: akuratny jak Niemiec. Taki on rufian conceptowy! – rozjaśniła się nagle twarz skarżącego. – A skurwysyn sam! – rozpromieniał jeszcze szerszym uśmiechem. – Kto wyliczy? – poważniał z trudem. – A bo taki zapłacił kiedy za to, co w kałdun kładł? Żydówy z kosza strawne dawać musiały. Że się postarzały, powiadał – (i znów spogodniało oblicze skarżącego). – I po prawdzie: każda racja dobra, kogo się ludziska boją... A co do wszów, to będę się dopraszał, żebyś szczyrą prawdę mógł powiedzieć – kłaniał się znów czapką. – Nie brak ich i tam, na górze, w mieście: wśród

panów. Tylko innego to zachowania wygi, innego cwaniarstwa rufiany, innej manieri wyłży-grosze. I my tu nie tak znowuj ciemni, żeby nie wiedzieć... Hej, panie! na wszawicę to całe nasze cielsko bezdame jest chore. I co panu powiem: te rodzime wszy to som najgorsze!

– Co pan tu za jeden – z zajęcia? – przerwano mu z chmurną powagą.

– Szewc, panie.

W rozmowę wtrąciła się ta jejmość brzemienna, która czepiwszy się raz profesora, już odeń nie odstępowała, jakby fascynowana cylindrem i złotymi okularami osoby ważnej czy też pragnąca po prostu coś zwędzić przy sposobności. Zagarniając kieckę to z prawa, to z lewa, dreptała wciąż koło niego.

– Grzanka już się skończyła – uspokajała nowy jego wstrząs odrazy wobec tych krzyków nie milknących. – On tam kwiczy już tera więcej z pogneńbienia, z pohańbienia: że to przy tyła ludziach.

– Pogneńbienia! pohańbienia! – powtórzył z nagłym podrywem nerwowego śmiechu.

I aby nie patrzeć na wstrętne mu w tej chwili fizjonomie wszystkich tych ludzi, błąkał się wzrokiem ku górze. Lekki mróz ustępował szybko w dniu pogodnym i bury ton blocka zalewał wszystko, na co oczy spojrzwały. Mdłe światło wisiało nad tym światem ponurym, blaski pyłne i rdzawe sączyło tu słońce nędzarzy.

– Cyliender! – naprzykrzały mu się uparte pokrzykiwania z tłumu.

– A jednak żyją tu ludzie – dogonił go Komierowski i wpadał od razu w myśli odgadywane. – I ot, jakie to zasoby sił wytryskują po tych śmietnikach! – mówił, prowadząc Franka pod ramieniem. – A ty, szelmo, wyrzuć z nozdrzy te circenses uliczne! Jak to się chrapy rozedrgały tabunowemu źrebięciu.

– A ty gdzie jesteś... lokatur? – zagadnął go profesor chmurnie.

– O, on jeszcze młody i płochy, nie ustalony życiowo: nie łożuje nigdzie.

Profesor spojrzął spode łba na Komierowskiego. „Toż tobie samemu chrapy w tej chwili chodzą!” Ohydny był dlań to dziwne podniecenie jego w tej chwili.

– Ale, dałby pan wiarę! – wołał ten tymczasem – chłopaczysko, gdy go tu niegdyś szukano, spiał czas jakiś w kaplicy pogrzebowej.

Franek zarumienił się znowu po uszy i rozbiegał oczami po obecnych: takie mieszkanie zdawało mu się znów ośmieszać go przed ludźmi.

– O, ja się umrzyków nie boję – ratował brawurą swój ambit.

– Za to będą się ciebie bali niezadługo żywi – mruknął profesor w brodę.

– „Umrzyków!” – śmiał się Komierowski szerokim basem.

W tym ożywieniu jego niezdrowym wśród krwawego motłochu, przy odgłosach zwierzęcego kwiku katowanego krzywdziciela nędzy, w tych conceptach i śmiechu w tej chwili odgadywał profesor, myślami jeszcze nie objętą, a przecież już wyczuwalną, ponurą perwersję smutku, co przeżerała serce do dna ostatniego i łechce się w ożywienia nagłe już tylko krwi pomściwej zalotem. Także... „śmiech czerwony” – myślał.

„Oto gdzie najzasobniejsze, choć najbardziej mętne wody tobie, rybaku! – gdzie najobfitsze dziś junactwo dla ciebie – wnuku, prawnuku!...”

– A pani, panno Wando – zwrócił się w głos do niej – uważała, że najpilniejszą potrzebą jest tu... Wszak to pani zbierała tę młodą hołotę u siebie, entuzjastko alfabetu?

– Tak – odparła prosto.

– A zadenuncjowali przecie sami?

Nie odpowiedziała wcale.

Tym zajęciem ulicznym zahukana w popłoch cichy, dygotała w sobie, przyciskając pod pachą zabrane z biblioteki baronostwa tomiki poezji.

Ruszyli dalej, przeciskając się przez tłumy.

– Cy – liender! – nakrzykiwały uparte szpaki ulicy.

Minęli wreszcie te rojne zaułki i wydostali się w pustkę długiego traktu, biegnącego równoległe do rzeki. Tu i ówdzie przez poprzecznicę widniał prąd mętnej roztoczy wodnej, dziwnie obfity i wartki o tę porę zimy łagodnej. Droga zamieniła się rychło w roztopy błotne; powietrze stawało się pełne dymów, pyłu węglowego i kołatów metalicznych; dudniał z daleka głuchą monotonią wielki młot walcowni. Jeżyły się naokół kominy fabryczne.

Panowie Mikulski i Bogdanowicz ożywili się w nagłej gawędzie ze sobą i rozglądali ciekawie: niby ci przyrodnicy współcześni, którzy swą przyrodę naprzód z książek poznają i sprawdzają potem ciekawce oglądane species z ich schematem w pamięci. Coś się tam tłukło w ich rozmowie o naszym „przemysle”.

– A jakże: nasz! twój i mój – ofuknął ich Komierowski. – Tamto wszystko, aż do muru – to belgijskie; dalej: ten szereg grubych kominów – to niemieckie, z drugiej strony – francuskie; te fabryczki przy ulicy małe – żydowskie. Wszystko to jest bardzo nasze.

– Kapitał nie zna ojczyzny.

– Zaczynicież swoje! „C h o d z i ł a c z a p l a p o c z e r w o n e j d e s c e...” Ale ma pewno takie miejsca, gdzie się urządza, zagospodarowuje, a z sobą poniewoli i kraj cały, gdzie się konsumuje, wytwarza potrzeby liczne i wyższe gałęzie zatrudnień, gdzie krąży, dzieli się, rozpada, gromadzi – ta nagromadzona stąd praca. Odbywa się to wszystko we Francji, Belgii i Niemczech. Te kominy czerwone to wielkie ryje, wielkie ssawki pracy przysane do tej ziemi na cudze korzyści. Nasze jest to, co było tam po zaułkach... I nie nudźcie już o tym!

Ale młodym panom nie było do zamilknięcia: dysputa teraz właśnie rozpętała się między nimi na dobre. – Ot, spojrzycie! – przerwał im, wskazując na chlapiący błotem powóz – gdzie taki cudzoziemski dygnitarz kapitału: explorer na Murzynach. I dałby kto wiarę, że to jest Francuz! Patrzcież, nie raczył się nawet odkłonić tamtemu pocziwcowi. Czy taki bonhomme z fizjonomią paryską byłby możliwy u siebie w tym potwornym odęciu się pychy? Mais, mon cher monsieur Duval, qu'avez vous donc? Polskaż to pana tak rozdeła pogarda?... Nie, panie, nie kłaniamy się. To spojrzenie!... Przejechał. I z Bogiem. Do miłego zobaczenia się – w miłszych czasach lepszego respektowania.

– Hej? – błysnął nań profesor zezem nad szklami.

– Nic to. Westchnienie pobożne, oby... „wiedzieli narodowie, iż ludźmi są”.

– Za zaułki tamte? Bacz pan, by one decydować nie poczęły i za was.

– Jakoś się zgodzimy.

– Boję się, by nie wynikły stąd sprzeczki oraz grzanki – i między wami. Panowie Mikulski i Bogdanowicz – z twarzy czytam – już są gotowi do wywodzeń opozycyjnych. A „grun ist jede deutsche Theorie” przy takiej jak tu polskiej praktyce.

Nieokreślony wiew nowego zamętu na ulicy kazał im niebawem zamilknąć i obzierać się w dal. Zatrzymywały się tam rozturkotane dorożki i zjeżdżały na boki. W głębi ukazał się tłum gęsty. Słysząc było jakiś śpiew głuchy.

Ludzie obcy! – długowłose, brodate, stepowe twarze: chłopci w czarnych sarafanach i podkożuchach pękatych. Szła ta cizba bezładną kupą, pomrukując z cicha. Płoszona miejscem i wyglądem ludzi dla się obcym, śpieszyła truchtem owiec, doganiana po bokach przez odpadające raz po raz, gapowate i przerażone brody. Szli, a raczej dreptali, świecąc jasnymi wiechami obnażonych głów i kupiąc się szczelnie koło kilku wielkich chłopów o rozwianych ryżych brodach. Pomruk basowy kołysał tym tłumem. Słyszało się to niby nasze zawodzenia pogrzebne: raz milknące w sennym pomruku kleryków, to znów podrywane melodyjnym rzękiem księżego chóru.

Rozchyłały się w zdumieniu usta. „Cóż to znów za upiory?” – wisiało na wszystkich wargach. Patrzano na to, jak na chmarę dziwnego ptactwa, którą wichry zniosły z dalekich dróg i wtrzępały w ulice miasta. Ten i ów z ciekawych podbiegał do nich i wracał rychło z jeszcze większym zdumieniem w oczach.

– Powiadają, że są chrześcijanie. I tyle.

– A bo my tu pogany? – rzuciła się gniewnie ta jejmość brzemienna, która uczepliwszy się profesora i jego kompanii już ich nie odstępowała i zagarniając wciąż kieckę to z prawa, to z lewa, szwendała się między nimi nieustannie. – Nie widzisz, kacapie jeden z drugim, kościołów katolickich! – wskazywała im w dal szerokim gestem oburzenia.

„Co oni za jedni?!” – wzruszano w tłumie ramionami. „Skąd? – kędy? – i gdzie ot zaleźli!” – „Na zesłaniu tu oni u nas, nad granicą ich osadzili – tłumaczył ktoś świadomy. – Ja z tych stron, więc wiem... Słuchać, to oni nikogo nie słuchają: powiadają, że to grzech, by człowiek człowiekowi bydłciem był. Na miejscu nieradzi siedzą: «ischody» czynią. A te po wsiach naszych gawędy, że na wojnę idzie, ruszyły ich znowu w świat. Im wojna grzech największy: Antychrysta rzecz. Tyle i między nimi usłyszysz: o grzechu i Antychryście – w koło. Zresztą łebscy u nich bywają starce, a wszyscy oni dobry i sprawiedliwie żyjący naród.”

Profesor nie wytrzymał i zagadnął któregoś ze starców. Ten przystanął poważnie i jął mówić z namaszczałnym spokojem: – Wierzmy owo i wyznajemy, iż jest jeden Pan nasz, Jezus Chrystus, syn Boży. Bóg jest człowiek! – mówił z naciskiem i ręki podniesieniem...

Przerwała im wnet jakaś baba histeryczna, znów brzemienna czy też wzdęta tylko kartoflanym brzuchem na ciele chudym jak kościec. Owinięta w chustę doskoczyła do nich z ulicy i, słuchając czujnie, wdychała słowa gorączkowymi usty. I nuż zawodzić niezrozumiale dla chłopów onych:

– Ludzie wy moi! Męża mi wzięni na ona wojnę. Sześcioro mam: powyzdychamy jak te myszy po cudzych kątach. Ludzie wy moi, gdzie zmiłowanie jest?! Prawdaż to, co powiadają, że światu na koniec... Prawdaż to, że zmiłowanie będzie. I koniec wszystkiemu!

I jąła targać się koło kiecki.

– Ostatni grosz z siebie wydrę.

Olbrzymy tymczasem, opanowawszy ruch uliczny, szły teraz mocnym krokiem, ryże brody wystawiały się w uroczystym skupieniu. Szła ta chmara ciżby obcej z swym niezrozumiałym oremus przy podnoszonej raz po raz pogrozie basowego przyjęku. Nad te dudy monotonnego mruku wybijał się stekiem bas najgłębszy i zawodził przodownie psalm:

Panie, przecz się rozmnożyli, co mnie trapią? wiele ich powstaje przeciwko mnie!...

Ano ty, Panie, jesteś obrońca mój, chwała moja i podwyższający głowę moją!...

Profesor uszom swym nie wierzył: acz w mowie z trudem rozumianej, słyszy przecie najwyraźniej ten psalm Dawidowy. I błyskawicą przemknęły mu w pamięci wszystkie te obrazy bezdusznego zmaterializowania ludzi, na jakie przez całą noc patrzył, by o świecie zanurzyć się po tych zaułkach w najbrudniejsze kałuże nędzy z piętrem odziczenia i wschodniej gnuśności, wyciskanym na całym bytowaniu ludzi. I oto wichry przypadkowe wtrzępały w ulice, niby ptaki wróżebne, te kruki Wschodu.

A myśl wracała mu uparcie w te natłoki dosytniej ciżby po salonach tamtych, gdzie otrupiały w zastojach uczucia i namiętności wszelkie. Zaś targnięta wyobraźnia kładła tym pielgrzymom bogomolnym i te jeszcze psalmy Dawidowe:

Albowiem nie masz w usciech ich prawdy: serce ich jest marne, grób otwarty gardło ich, języki swymi zdradliwie poczynali...

Oni to, myślał, tego ludu po zaułkach:

...boleść poczęli i urodzili nieprawość jego.

Na wierzech głowy ich nieprawość jego spadnie.

Dół otworzyli i wykopali go: i spadną w dół, który uczynili.

Idą tymczasem ci dziwni ojce brodacze, dusz jakoby budziciele i poborcy, wkraczają w miasto obce, zagłuszone w bezdech jednych, a odziczenie drugich, idą niby te mnichy średniowiecza – z niewiadakąd, niosą duszy niezgaszoną pochodnię.

I zapadły mu nagle myśli w dale przeszłości, przywodząc na pamięć tłuszczę podobną i równie obcą, zbliżając się po nocy do murów miasta. Słychać po basztach głuche sygnały rogów i nałazących tłumów zaszum ogromny. Widzi nieomal tę czerń dziką a obcą, w kupę zebraną po gościńcach Europy całej: tę krwawą ahańczę biczowników, nałazącą z wrzaskiem „Kyrie elejson” w ulice... Łokietkowego Krakowa. I przypomina mądrość jego, żenącą przez pacholków swoich precz za miasto: w świat czy piekło, skąd wyszła, tę szarańczę anarchii spod Chrystusowego znaku, tę zarazę rozpętania pesymistycznego w tłumach ducha „chrześcijan” i czyścowego po miastach Europy zamętu. „Lat temu s z e ś ć s e t p i ę ć d z i e s i ą t!... Ot, kiedy przeżywaliliśmy te rzeczy! – mówił do siebie. – A przedtem, o wiele wcześniej, czynili do nas swe pielgrzymie «ischody» pogodni bogumili słowiańscy; rozbrzmiewały swego czasu i nasze gościńce barankowymi hejnały radosnej pokory franciszkańskiej; nosili po zamkach swą tajemniczą weselność, swą «wiedzę radosną» manicheje wrocławscy; wiazali nas bracia «czescy» i «polscy» w łagodne gromady wspólnoty i prostego ducha chrześcijan, uczyli nie służyć złu w wojsku i urzędach, a nie przeciwiać się złu przemocą... Przeżyliśmy wszystkie burze, zawieruchy i zamęty bogobojnego ducha, tylko przed połową tysiąclecia o tysiąc razy pogodniej i zasobniej w ducha od wszystkich tych człekolubnych zwiastowań wschodniej anarchii.”

– Było! było! – mówił już w głos do siebie. – Wszystko było!...

Z przygnębieniem postrzegał, że jego gromadka cała witała tych pielgrzymów z jawną sympatią w oczach: ich chmurne czoła wypogodziły się nagle rozpromienieniem czujnym, jakby w te głowy uderzało pierwsze tchnienie oczekiwanego od Wschodu wichru. Wandy twarz przybladła, była dziwnie skupiona tymi łzami, zatrzymanymi w oczach. Po raz pierwszy uderzyła go uduchowiona uroda tej twarzy i głęboka prawość jej wejrzenia.

Upokorzony za nich i za siebie za to poddanie swej wrażliwości uczuciom, mimo wszystko przecie obcym, błąkał się oczami w dali, mijał nimi kominy fabryczne i zatrzymał je nagle na ostrej w złotym błysku, niby drugie słońce zimowego ranka – kopule cerkiewnej.

Za pochodem obcych pielgrzymów czyniła się tymczasem procesja coraz liczniejsza. Wszakże więcej od ich niezrozumiałych psalmów, nazbyt uroczystych dla ciekawości widzów, działały w ciżbie swoich żale i miotania się owej baby historycznej, która wzięła na się niespodzianie rolę pośrednika i tłumacza pobożnych intencji obcych ojców brodaczy. Wywodząc z żałośliwymi przekleństwami wszystkie krzywdy i pohańbienia nędzy, objaśniała swoich, że ci ojcowie pobożni świat na pokutę wzywać idą: Antychryst świat ma skończyć, jakby na złość bogaczom i krzywdzicielom wszelkim. I tak oto w aurze miejscowej przeinaczał się w mig ponury demiurg herezji stepowej w mściciela krzywdy ludzi pogwałconych.

Mężczyźni słuchali niechętnie tych miotań się baby. Wszczynali natomiast między sobą gawędy zaciekawień:

„Księży ni popów całkiem oni nie znają; sami sobie popią.” Ktoś tam urągać począł na księża „mamroty” – „kosztowne bardzo”.

I wszczeły się pomruki.

„Kto nad nędzę mocniejszy? Choroba. Mało czego ona z biedy nie wycisnie: a to na dochtów, a to na likarstwa. A kto jeszcze mocniejszy? Ksiądz. Czym byś onym duszom dziecka czy kobiety twej zmarłej nie wygodził, gdy im biednym z życia już nic. Płać, peda ksiądz. Nie ma sposobu!...” – „Który inszy po wsiach to sobie takie stacje jak z tabeli wyznacza. Od kościoła z pogrzebem – po drogę: tela! po karczmę: tela! po wrota cmentarne: tela! A jeżeli przed sam grób: o! płąć, chłopie, kiedyś taki pyszny przed Panem Bogiem.”

Dogadywał warkliwie lud ponury. „Pewnie!” – odzywało się zewsząd echem przytakiwań.

Baba historyczna wgadała się tymczasem w chrypkę i prawiała coś o grzechu wojny największym. Sięgnąwszy w najżywszą dziś własną boleść, dostawała się i do serc ludzi; a odczuwszy to w mig, wybuchnęła wraz i prawdziwymi spazmami. Kobiety sapały, chmurzyli się mężczyźni. Zanikała powoli odległość między pielgrzymami a procesją ciekawych: mieszały się tłumy. Już nie za gapi przyłączali się teraz ludzie z ulicy, lecz jakby niosąc za nimi swoją niedolę czy zaciętość. Niezadługo – a postępowali wokół nich murem. W ruchach mężczyzn jawiło się coś takiego, że baby zaniepokojone uwieszały się tu i ówdzie ich ramion, odciągając precz.

Profesora zagadnęła tymczasem figurka strojna, zwrotna i nerwowa w gestach, bez wieku na wygląd, bez płci, rzekłbyś nieomal, gdyby nie męskie ubranie, wąsik strzyżony i papieros w ustach tańczący: osoba ze sfer inteligencji wielkomiejskiej.

– Od granicy idą ci pobożni jedwabioszwarcy – rzekła jadownicie, błysnąwszy złośliwym oczkiem.

Komierowski przymknął powieki odrazą, jak gdyby mówiąc: „Och, znam aż nadto! Och, słyszę takich codziennie! O, ten wiew swojszczyzny dzisiejszej od sfer naszych!...”

Jakoż profesor podjął mu z warg tymiż myślami:

– Byle tylko przemydlić się nad każdym głębiej sięgającym zagadnieniem życia i duszy...

Osoba inteligentna podsłyszała te słowa z opodal uchem nerwowym i spurpurowiała honorem w jednej chwili. Ustawiwszy jakoś nogi w krzyż, podjęła do ust gałkę laski.

– Pan uważa?... Nas tu życie mniejszych sympatii uczyło – w tamtą stronę. Oczywiście nie zainteresowanych. Bo nie wiem, przed kim popełniłem nieostrożność... użycia naszej tu broni ostatniej. Przy tym samo powietrze stołeczne odbiera nam prowincjonalne sentymenty i naiwności wobec wszelkich naprawiświatów i czyni z nas scep...

– Kawalarzy! – uderzyło w to nagle jak młotem. Nadstawiony bokiem do osoby inteligentnej i pogarbiony ręk zatopieniem w kieszenie, zjawił się tu niespodzianie ów robotnik. Jur – ten oprawca dobrowolny – przypominał profesor.

– No, taka kompania! – wycedził pan zza gałki swej laski i zapalił w oczach taki jad złośliwości, jaki tylko w życiu wielkomięjskim wykształcić w sobie można.

I wsunął się w tłum.

– Odnoś swe kosteczki stąd precz, kawalerze! A prędko: bo tu może się stać niedługo bardzo ciepło. Tu nie conceptami i języczkami szermować ludzie idą, a piersi swe nastawiać.

– Za co? – bąknął ktoś z ubocza.

A on, zaperzony, nie dosłyszał, skąd głos – i, wyrwawszy kułaki z kieszeni, poskoczył ku niemu czerwony na gębie całej.

– A no, żebyś wiedział: za wiarę swą!

– Twojaż to, chłopie? – mruknął tenże głos wstrętu.

– Moja, nie moja – a wiara jest mocna, i tyle! Pod knuty oni leżą, rąbać się dają, gnać po ziemi całej – a nie ustępują. Tobie kułak do zębów przystawię, a zapomnisz wnet ducha w sobie... Idź, idź do labusia swego, ten ma wiarę dla ciebie: gładziutką jak jego atłasy, jak te damule po Wizytkach! Jego grzeczny Pan Bóg rozumie pewno tylko po francusku i brzydzi się nami, jak on, labuś sam, jak te damule jego, jak ty!

W tłumie rozległ się rykiem śmiech zadośćuczynienia.

A Jur wołał już w tłumy z ręką wyrzuconą ku górze, ponad te głowy:

– Powiadają, że te labusie noszą jedwabne pończochy. Psiekrwie!

Szyd tłumów ponury rozlegał się długą salwą naokół.

Komierowski szarpał brodę.

Jego niedobre ożywienie wonczas wśród zaułków minęło rychło, pozostawiwszy niesmak do siebie za wszelkich słów zbyteczność. Zjawienie się tych pielgrzymów obcych rzuciło mu błyski w oczy, lecz ochmurzyło czoło jeszcze bardziej. Naciskał kapelusz głębiej na przepaskę czoła, nastawiał kołnierz: cały człowiek zjeżył się był milczeniem. Jakoż od dłuższego czasu nie odzywał się tu między nimi wcale. Teraz dopiero pod te pomruki i złe śmiechy tłumów ocknął się jakby i zatrzymał na nich głuche wejrzenie. Targał brodę. Wreszcie odezwał się głosem jakby znużonym, z trudem dobywającym z siebie słowa cierpkie:

– Te wasze idiotyczne sympatie, Jur, dla dewocji. Święta „Agapa” była także komunistką, powiedział wam może jaki głupkowaty kleryk. A te muzyki są nimi również.

Ten zmieszał się w pierwszej chwili, lecz niebawem zaciął się wejrzeniem na znak, że o tych rzeczach mówić nie chce.

– Po książkowemu, po waszemu – mruczał tylko – dogadałbym ja się z ludźmi za lat dziesięć pono.

Komierowski zwrócił się gwałtownie do profesora z desperackim rozłożeniem rąk.

– A przecie: zawsze to samo! Na dnie wszystkiego ten przeklęty sentymentalizm narodu! Tam – mówił wskazując w górę, ku miastu – „wieszczów” mądrość biblijna lub dewocje doktrynalne; tu: idealizacja nędzarzy jako „sprawiedliwych w Panu” i naprawiświatów właśnie, powołanych przede wszystkim do „prostowania dróg Jego”.

Profesor spoglądał mu tylko w oczy, jakby potakując milczeniem każdemu jego słowu. Po długiej dopiero chwili podjął:

– Otóż to! Wciąż jeszcze na dnie dusz owieczki Kościoła tylko! potrzebujące przede wszystkim wiary głębokiej w czyjeś wskazania i wyznawań cudów tej wiary; a w nadmiernej żarliwości właśnie – herezji i odszczepieństwa... I bodajże tak we wszystkich objawach życia u nas! Tam na górze – bodajże i w dziedzinie sztuki nawet! Wszelkie wybijanie okien na świat, wprowadzanie nowego zaczynu ducha, nowych czy wolnych tam myśli, wszelka agitacja oto wśród tłumów i ta rzecz najelementarniejsza: walka – wszystko to zamienia się u nas zawsze – chciej, nie chciej! – w malarstwo sekciarskie.

Jur przysłuchiwał się tej rozmowie inteligentów ciekawie i nieufnie zarazem. Odymał się zaciętością swoich, innych myśli.

I odciągnął tym ku sobie uwagę Komierowskiego.

– Słuchajcie, Jur – rzekł niecierpliwie – co znaczy to wścibiarstwo wasze we wszystkie tu sprawy? – tam dobrowolne katowanie jakiegoś łotra, potem to znęcanie się nad figurką złośliwego przechodnia... Czego wy się tu pchacie ciągle w nie swoje rzeczy?

– Bo jestem „na dzielnicy”.

– Nie za policjanta chyba?

– A czemu pan nie przy pracy, nie w fabryce? – zagadnął go profesor z góry.

– A temu! – rzucił hardo, przystępując doń. Lecz profesor krótkim gestem dłoni wypraszał sobie dystans kroku i słowa.

– Uu!... hrabia pewno.

I draśnięty do żywa szlachecką oraz „inteligenczką” wyniosłością polskich panów radykalnych, a poderwany godnością osobistą, powiedział mu, niby szeptem, w nos:

– Mnie inna tera robota nastąpi. Ja jestem na fonduszu partyjnym.

Lecz w tejsze chwili skleiły mu się usta, a twarz przybladła. Profesor odruchowo wejrzał na Komierowskiego.

I przeraził się sam w tej chwili jego oczu, dotychczas zawsze głuchych i wymijających.

Nastąpiła ciężka chwila ciszy.

Jur stał wciąż blady, wyciągając mimo woli ramiona po bokach.

Wreszcie jakby uwolniony spod tego przybicia spojrzeniem, zwrócił się do panów Bogdanowicza i Mikulskiego, pod ich adresem wypowiadając swoją obronę:

– Bo krzywda, moi panowie, to nie po świecie sobie chodzi, tylko po ludziach – czynił zarazem przytyk do ich abstrakcyjnych teorii, których nasłuchiwał się być widocznie, i rehabilitował prawo swego kułaka. – Choćby i tamten „lokatur” on cały. Musowo było z nim się załatwić. Som takie pijawy, po bagnach nędzy osobliwie, których nikt nie wyłowi. Kto go tknie, kto świadczyć będzie, kiedy go się wszyscy strachali? I te dziwek dranie nawet, te łobuzy, zuchy one, a nie poradzi z nim przecie, choć go czasem który swym lichym kozikiem ukłuł... Bo organizacji między nimi nie ma!... A tamtemu co? – w szpitalu się tylko wypysznił. Ledwo wylazł: i ot, jaką stukę urządził onej wdowie. Wszystkie jej przecie wąpiał wydziabnął z brzucha pięknie na wierzch. Nie zobaczysz: mig i już! Uu! – majster on na nóż.

– Zamilczcie, Jur! – syknął Komierowski, znękany już wprost na twarzy. Jur zagryzał wargi.

– Uważenia jeno chciałem za tamtą grzanekę – warknął tonem usprawiedliwienia.

– Jest. I dosyć o tym!

Profesor spoglądał na Komierowskiego z mimowolnym odrzuceniem głowy w tył pod to odstrychnięcie się wewnętrzne. A jednak zdobył się mimo wszystko na tyle rozumnego współczucia w wejrzeniu, że wywabilo ono tamtemu na usta ów uśmiech dawny: chytromelancholijny, pełen udreki i nęku dla siebie czy życia – nie wiadomo.

– O, ja nie miewam złudzeń co do ludzi.

Fala tłumów ponosiła ich tymczasem wciąż w pobliżu pielgrzymów, raz zbliżając do nich, to znów odpychając w dal natłokiem ludzi. Zbite już gromady ciągnęły ulicą.

W zgiełku coraz to większym zgłuszyły się było i zamilkły obcych psalmów monotonne przyśpiewy. Hałaśliwe turkoty po oddalch, metaliczne łomoty z fabryk i głuchy młot walcowni niosły jawę miejsca i czasu oraz ich tu prawa.

Niż jakby targany, w strojeniu się bezładnym, w podszeptach i zagrzewaniach wzajemnych wszczynął się śpiew w rytmach zgoła innych. A z tego głosów zamętu trysnęło nagle akordem pełnym i uderzyło w ulicę surmą pieśni, rzekłbyś, zdziwioną, jakby wytargniętą niespodzianie z pamięci tłumów. Z tym pokrzykiem: „Warszawo!” spadła pieśń w odnęt tłumnego zgiełku – w zaszum ciżby już gorączkowy.

„...świętą a pra – a – wąż!” – zawodził w dalszym ciągu wrzaskliwym dyszkantem głos Jura – w pojedynek tylko.

Wspólny marsz zmógł ten nieład. Przez chwilę dudniało tylko kroków mrowie, słychać było chód: następ tłumów wielki – jak po huku zerwanej tamy ta cisza powodzi najgroźniejsza.

Ktoś wątlą ręką chwycił profesora za ramię: ujrzał Wandy twarz w zadyszce nagłej i uczył przez ten uchwyt ręki gwałtowne zabicie jej serca.

Spojrząwszy przed się, puszcza go natychmiast i rzuca się w tłum.

– Nino! – woła biegnąc.

Lecz oto wyrwało się znów akordem pełnym z bezładnego zgiełku tłumów.

„...świętą a pra – a – wą!” – poniosło tym razem ekstazą zgodną.

Doświadczył przelotnie dziwnego wrażenia, że przestaje tu reagować własnym czuciem, że zapalność wspólnego już nerwu otumania mu głowę. Pchnięty gromady jakiejś naporem, nie tylko że ustąpił łatwo, lecz wpadł krokiem surowym w jej rytmy... Raz! – raz! – raz! – zabębniła marszem krew w żyłach ruszona.

Opamiętał się przecie, odął godnością i chciał się od tej cizby usunąć precz, gdzieś na boki.

Raz! – raz! – raz! – ponosił go następ mas ludzkich zwarty.

W mrowiu szarym postaci jak kloce ciężkich mignęło coś strojniejszego i giętkiego zarazem. Poznał! – ta druga dziewczyna widziana dziś na salonach tamtych. Wyższą zdała się teraz w swym stroju ciemnym i bardziej zwartą w chodzie. Futrzane błamy kołnierza, przetrzucone przez ramiona w tył, a rozchwiane w tym tempie, jaki kołysał, zda się, ulicą całą, dodawały sylwecie – już na oko – rytmu mocnego. Z rozgarem w oczach i na twarzy kroczyła przed najbliższą sobie gromadą ludzi, mimo woli w nią zapatrzonych i fascynowanych tym szparkim krokiem młodości. Ptasimi ruchami niespokojnej głowy obzierała się na nich wszystkich, biorąc od nich w zamian całą burzowość chwili w rozdęte nozdrza.

– Wanda?! – zaklaskała nagle w ręce.

Tłum je objął, wtulił w siebie.

Profesor znalazł się sam wśród obcych naokół twarzy: to zamącenie mrowia ludzkiego rozbiło mu kompanię, a samego Bóg wie gdzie w tłoki wepchnęło.

Ten marsz tłumów, ich następ twardy, nie wiadomo na jakie szanice, kroczył w tej chwili jakby pod rytmy głuchego młota walcowni, bijącego w dali. Chwilami czynił się z tego zgiełku tylko szum jakiś wielki. A gdy oko przecznicą między parkanami ku rzece niespodzianie wybiegło, zdało się przez chwilę, że to Wisła szumi tak wezbranym prądem wód mętnych.

Tymczasem w orkiestrze tłumów pomieszały się jakby nuty: ktoś inny chwycił snadź baturę, bo oto nad te głowy,

nagle znów rozchwiane, wyrzucił się krzykiem śpiew inny:

„...Sędziami będziemy wtedy my!”

Raz! – raz! – raz! – wybijał z dala w przynagleniach rytmem zmylonym młot walcowni swe głucho łomoty metaliczne. „...Sędziami będziemy wtedy my!” – przyniosło wrzaskiem echa z oddali.

Nad głowami ludu zawisał na parkanie Franek, zwinny jak wiewiórka. I rozglądał się ciekawie żółtym łbem – lecz nie za pochodem patrząc, a w przeciwnym kierunku. Nadstawał chrapów, strzygł uszami. Nagle wetknął w gębę cztery palce, świsnął przeraźliwie i rzucił się z góry w tłum jak w wodę.

Nurował w tłoku, roznosił świst donośny: siał popłoch.

Z dala po brukach ostrych dał się słyszeć tętent drobiony. Na łukowy zakręt ulicy wyrzucały się w pędzie kudłate głowy małych koni, twarze ludzkie do ich szyi przywarte i ramiona białym łyskiem zamachnięte.

Nina podźwignęła się dłońmi i przysiadła na brukach, zdziwiona tak nagłą ciszą i pustką naokół.

– Koń! koń biegnie! – wykrzyknęła nagle w głos, widząc, jak okuľbaczone bez jeźdźca zwierzę, wpakowawszy się tupotem ciężkim na trotuar, wacha łbem niespokojnym tę śliską drogę, osadza się przed czymś i w nagłym młynku a iskier skrzesaniu rzuca się w cwał wyciągnięty: pędzi w ogromnym tętcie wśród ulicy głuchej.

Tuż, tuż przed jej stopami przeleciał, bijąc się po bokach rozkoľysanym strzemieniem.

Czyjaś ręka wyciąga się za nim z daleka. Porwał się ktoś prężnym skokiem z ziemi, przebiegł kroków kilka i zwałił się znów, a ramieniem wyprężonym drgawkowo zda się wciąż macać przed sobą wypuszczonej z rąk uzdy.

Na brukach, kędy okiem sięgnąć, widać czapki, kapelusze, laski, ciemne chusty babie i pstre parasolki. Pod płótem samym leży coś, jakby spadłe z niego: okrycie męskie długie, czarne, wzdęte nieco nad bruk...

Targnięta łękiem instynktu, patrzyła z czujnością zwierzęcia nieomal.

Sterczą spod tego palta nogi sztywne.

Serce jej ścisnęło się nagłym skurczem i zaparł oddech przerażeniem rzeczy najstraszniejszej, widzianej po raz pierwszy młodymi oczami. Powieki zapadły ciężko; jak gdyby dłoń jaka opiekuńcza i surowa przysłoniła jej oczy: „Nie patrz! W duszę nie bierz!”

– Koń! koń! – uradowała się znowuż żywemu stworzeniu w tej pustce grobowej. „Wraca!” – myślała z ciepłą jakby otuchą, gdy głowa osłabła opadała równocześnie w tył. Ciemieniem uderzywszy o bruki, słyszy tym wyraźniej rytmiczne podrywy cwału...

– Nie, po co pod mur? Po co? – upierała się kapryśnie w czyichś ramionach. – Kiedy wszystko jedno. Zaraz wstanę. Dziękuję panu.

– Niech się panienska nie boi nic! – wołano nad nią śpiewnie, jak w polu: z akcentem na ostatnim słowie.

– Gdzie jest koń?

– A mnie on co?! Nie mój. I jest o czym myśleć teraz!

– Takie wszystko strasznie dziwne...

– Niby co? Boli głowa? Opatrzą.

Przyklęknął nad nią, by obejrzeć głowę raną. Lecz gdy w twarz jej spojrział, mimo surowości w oczach, błysło w nich coś przelotnego, jak to zawsze u mężczyzn, gdy który z nich znienacka na nią spojrzy. Już nie chylił jej głowy ku sobie, lecz sam się nad nią zginał; kapelusz zdejmował powoli i ostrożnie, aby jak najmniej bólu przyczynić. Patrzył uważnie, włosy rozgarniał – dotknął raz i drugi: syknęła z bólu. A on rozchmurzył się nagle, odjął ręce zakrwawione przy tej robocie i, powstając z kolan, chował Je w kieszenie – z delikatności dla niej: by nie płoszyć.

– Źe aksamit – mówił – to dobrze. I te szpilki. A potem włosów tyle. Na tym się i oślizgłe. Ledwo co skubnął. Tylko wstrząchnął nieco głowę, stąd dygotka i gorączka. I opada stąd głowa podbródkiem... Dobrze, że się nie zasłaniało rękami, jak to młode kobiety najczęściej, wnetkie w ruchu. Mogłyby już ręce leżeć tam – w rynsztoku.

– Ach? – zdumiała się jakoś spokojnie, raczej ciekawością. – Takie wszystko jest strasznie dziwne!

A on tymczasem popatrzał chwilkę uważnie, odwiódł oczy i zamruczał pod nosem: „Matko Boska pomocy nieustającej, miłosierdzie Twoje!...” I potem dopiero odpowiedział jej surowo.

– Nic dziwnego nie jest.

– Tańczyłam całą noc – skoczyła jej dziwacznie myśl gorączkowa.
 Jemu przerzucił się wraz blady i zacięty wyraz twarzy w roztargnienie przelotne.
 – I to mi nie dziwno wcale! – parsknął krótkim śmiechem.
 Popatrzał raz jeszcze na odchodnym. Czuć było, że stara się mówić najłagodniej, jak tylko potrafi.
 – Niech się panienka nie boi nic. Przyjadą doctory, opatrzą. A jeśli tam potem gdzie zabiorą, to dla sprawdzenia tylko. Bo to w tłoku przecie: z ciekawości mogło być, a nie z winy.
 – Kto pan?
 – Jur. I tyle... Nazwisko zgubiłem z pasportem – zaśmiał się zębami.
 – Niech pan ucieka! – rzuciła mu wraz z domyślnością bystrą.
 – He, już tam zagrodzone wszędy: ostępem. Błysło jej w oczach przypomnienie nagle: teraz dopiero spojrzała nań uważniej, z trudem podnosząc głowę.
 – To pan był?!...
 Wmiast odpowiedzi począł się rozglądać naokół.
 – Muszę ja coś z kieszeni podrzucić na ulicę... Ot, temu niemrawcowi, co go z płota zdjęli, wsadzę. Papachę ma na łbie – o!... Na wojnę szedł. Takiemu będzie i do twarzy leżeć z tym oto w łapie. Z ciepłym jeszcze. Chocia sam już zimny.
 Odszedł. Widziała tylko cholewy butów: tak nisko zwisała jej głowa.
 Wcisnąwszy się głębiej w węgiel muru, starała się opanować drzenie nieustanne. Ręce wyciągały się przy tym gdzieś przed siebie i rozkładały bezradnie, z piersi zrywał się płacz i zacinął sucho w gardle. Lecz oto zarzuciły się nagle te ręce na głowę, wczepiły się we włosy i nuż targać je na sobie w furii bezsilnego gniewu. I wtedy dopiero podrzucać nią jęły kurcze spazmu.
 Gorączka nieprzytomna obejmować poczęła tę głowę i upajać szalejem mściwości kobiecej.
 Ktoś podejmował łagodnie jej głowę, powieki rozchyliły się wreszcie, a ramiona zarzuciły się z całej siły na szyję klęczącej nad nią Wandy.
 – Tam ktoś pod parkanem... został – mówi po chwili przytomnie.
 – Nie patrz! – podrzuci się Wanda raptownie przysłaniając ją całym ciałem. – Nie patrz tam!
 – woła, kładąc jej obie dłonie na oczach. I przysłaniając ją tak, szłocha nad nią jak dziecko.
 – Doktorzy zaraz przyjdą. Innych omijają, żeby do ciebie prędzej. Wyprosiłam, wyściskałam u kolan... Idą już! Idą. Patrz!...
 – A konia złapali?

Na pustą niebawem ulicę wylegli z bram stróże z wodą, miotłą i piachem.

Do swej czynności niepochochopi, kupili się w tych głuchych pogwarach oddechu ciężkiego, z których padają pierwsze ziarna zasłuchu, co potem po świecie chodzi i sieje niepokój w rzesze ludzkie. A jednak to najbliższe, co się przed chwilą tu stało, wplatało tylko ubocznie w opowieści inne, przypominane analogią; jak gdyby u tych ludzi była wstydlivość jakaś przed nagością chwil strasznych, widzianych na własne oczy: myśl ich odpychała wprost od siebie realizm zdarzenia nazbyt bliski, który ścisnął już tylko żołądek i cnił zgagą po przełyku.

A przede wszystkim gadać się chciało: głucho, cicho, sapliwie – duszy na ulgę, na spędzenie tej niemrawoty z ramion ocieężałych. Jakże tu imać się czego, kiedy za pierwszym ruchem człek westchnie, zasapie się i stanie gapiem – zadumają mu się ręce same... Wojna! – owóż rzecz podobna, a większa jeszcze. Oto jeden z nich tu stojący już się dziś z rana gotował był do koszar. Buty za swoje kupił – radzili społecznie, oglądali sumiennie – łyżkę drzewnianą za cholewę wsunął, z babą i dziećmi się pożegnał i, złej doli na złość, zaciął się w sobie: zuchem szedł! Aliści zaskoczyło go to na ulicy. Chłopu zrzęda gęba, zgasł w oczach i roztrząsł się cały. Słuchał tedy ludzkiej mowy rad: niech gwarzą, niech zagadają rzeczy nagłość.

Mącił im rozmowę starowina suchy, stróżujący opodal lichemu domostwu robotniczej biedy.

– Z mikołajewskich ja! – bąkał raz po raz. – Dwadzieściam lat z okładem służył. Skoro już stary gadać się napiera, pytali o „sewastopolską”: niech powie, co wie. Staruszek drapał się w głowę, szperał w niej, wreszcie wygrzebał coś z pamięci:
– Bywało, że z onych ich brzuchów, cośmy ich nadźgali, tak kapustą śmierdziało, że hu!...
No, mówię.

Zadumał się, rozkiwał głową, wreszcie podniósł ku nim swe królicze oczy:

– Aż nas co śmierdzieć miało? Razowiec? Kasza?... Gdzie my co innego kiedy widzieli!

Tyle tylko pozostało na starość we łbie wojownika. Ruszały się tylko w zadumie wole jego szczęki, które nie dość się napracowały w życiu nad jadłem i nie mogą tego świata darować nad grobem.

– Medal mam! – poprawił się przecie. – Niedziela, do kościoła to go se i zawieszam.

Urażęli ludzie nad nim.

– Tobie by kielbasę w zęby na niedzielę dawać.

– I zsbaczyć tak! – mruknał ten, co na wojnę dziś szedł.

Zapędzili go w złości samego do tej roboty, która tu na nich wszystkich czekała. Wziął miotłę, piachu kosz i ruszył obojętnie sprawować swoje. A oni zagadali między sobą.

– A pani co uważa?! – rozległ się niebawem za nimi głos tegoż staruszka, lecz tym razem surowy, stróżowski: na urzędzie. – Tu nie wolno wcale! Ja mam prawo aresto... Co ona będzie za taka? – wracał do swej gromady, wskazując im jakąś pomykającą się przy parkanie białą postać kobiecą. – I skąd ona tu się wzięła? Toć bramy zamknięte z przykazu, a ulica puściutka. Skąd ona? Spod ziemi wylazła?...

Zamilkli i patrzeli uważnie na tę kobietę sunącą pod parkanem: drobna była z siebie i szeroko przysłonięta jasną rotundą z białym futrzanym kołnierzem; jakiś strojny błękitny czepiec osunął się z włosów płowych.

– Co ona będzie za taka?... Jakby z tancbudy szła.

– Wszelaki dziwny naród na taką okazję diabeł z całego miasta sprasza.

– Te, pani! co pani tam uważa?... Ruszyli ku niej krokiem prędkim.

– Mnie by tam do niej... – dreptał za nimi staruszek, wlokąc za sobą wielką miotłę – mnie tam do niej nieskoro było. Lepiej z daleka postraszyć. Powiem wam: tu nad kałużą stała białuśka, jakby się przezirala w czerwonym.

– Tfu! – spluwać jęli po kolei.

I przystanęli z obrzydliwością na twarzach.

A staruszkowi podbiegły nagle oczy blaskiem: ruszyła się pamięć i wyrwała coś niespodziewanego.

– Powiadali, których za umarłych na polu ostawili, że gdy wszystko ścichnie, po nocy osobliwie, chodzi takie po polu. Białe jest i mkle jak ognik: to siu, to tam – za wiatrem. Które ciało jeszcze drga, nad nim kucnie; i głaska, i pieści: Mora, latawica!... I za dnia się trafi, gdy po bitwie... A który ją przed bitwą zobaczy, temu znak, że się jej spodobał chłopiec.

– Strasz siebie, dziadku dumny! Nie śpieszyli się już jednak, szli raczej baczyć tylko z daleka: co jest?!...

– Nie daj Bóg, przy broni, na warcie – strzeliłbym.

– Strzelali bywało! – machnął dziad ręką. – Jej to śmich. A temu, kto strzelał, kula w łeb za alarm próżny. I owóż tak go sobie upatrzyła – a co!...

– Pomieszana ona, i tyle – mówił surowo ten, co na wojnę wyruszyć miał. – Ruchy jej som... nieakuratne – baczył na nią i uważał Mazur roztropny. – Właśnie, jak u takich... Struchliła ona duszą pod kopytami i zmyliła się w sobie. I chłopu w bitwie pono się zdarzy. Dziwić się! – panienka przecie. Taż widzę.

– Panienka ona i jest – mrucał stary – kochanica, piękna bardzo.

– Kto?

– Śmirć taka.

Mazur aż przykucnął przed nim w pasji czerwonej:

– Już cię ona kochanica nie obłapi, dziadu! Jeno ta starucha kościana. Więc nie czmuć strachaniem ludzi, co im na wojnę trza!... Ano! żebyś wiedział, żebyś znał naszych.

Poprawił się gniewnie w pasie i ruszył na ona zmorę. Rychło jednak sapnął tak, że mu się piersi jak miechy podjęły: tam pod parkanem, gdzie nie patrzano z umysłu, gdzie – wiadomo – pozostał jeden, nad paltem czarnym i szyją – głowy nie dojrzyć – widać takąż baranią czapicę formy wojennej, jaką mu już dziś Żyd wmówić chciał, by za swoje kupił. Zatem i ten szedł się meldować na wojnę. I tu się ze śmiercią pośpieszył. Ramię, wyciągnięte spod tułowia, przykrywa dłonią płaski rewolwer.

Aliści ona właśnie ku tamtemu sunie i przykłęka mu nad głową, jak ta kopa jasna pod pełeryną swoją. A rękę bieluską kładzie mu na te czarne barany czapy. „Po prawdzie: pieści!” – pomyślał.

I zagrały mu zęby w gębie.

Stanął.

Ona ściągnęła tymczasem tamtemu czapę ze łba. Spojrzy na jego głowę kruczą, przyczesaną gładziutko, z pańska, wstrzepnie się jakoś cała, za skronie uchwyci, pohuśta tak głową w żałości i nuże dźwigać tamten łeb: w gębę zajrzeć chce trupowi.

– Pan Bo – le – sław! – jękło wichrowym zaszeptem, jako wiatr zagada zestrachanemu.

Więc się pewnie osłyszał, myśli, bo i uszy nie chwyciły, jak trzeba, akuratnie: nie wie, co by znaczyć mogło.

Tymczasem już go samo z miejsca rucha bez postanowienia: już nienawiść zdążyła zalać serce; już i garście same imać się czegoś rwały: musowo!

Podjęła się, podhyła i nastawiła mu się w oczy jak to zwierciadło złe – ujrział twarz krasnolicy popielną i złote oczy ogromne...

Więc na tych butach, dziś świeżo na wojnę kupionych, zadudniał Mazur po brukach ostrych jak ten koń zhukany. Tamci już się pomknęli ku bramom. Tupotał tedy pędem do żony i dzieciaków swoich.

– Onaż to jest prawdziwie: Mora na poboisku! Nie wrócić mi już pono do was, moiściewy! nie wrócić z onych Wschodów za Dalekich!

Tu, na tratwiane dyle u samego brzegu Wisły opadł.

Z dłońmi na okularach i twarzy, jakby cały ten zamęt rzeczy widzianych i słyszanych utrzymując rękami.

Tamtą jedną chwilę mijała myśl uparta; pamięć zdała się ranną w tym miejscu: jakiś błysk najbliższego, nie do rzeczy szczegółu, który wtedy właśnie czepiał się oczu, i – przelot chmury apokaliptycznej nad głową. Nawet krzyków zachwyciło ucho tak zdumiewająco mało. Z czyjejś ręki sypnęły się strzały dziwnie głuchym grzechotem. Tyle tylko zatrzymała pamięć. Potem jakaś potworna maskara grozy: czerwona, patrząca krwią zalanyimi dołami; rzecz zgoła nieprawdopodobna i niewidziana. Te jawy nie chcą być dla pamięci realnością; zmysł samozachowawczy rzuca na nie czarną zasłonę, strąca w zmorę senną. „Tak lepiej będzie życiu” – chce natura.

Jaśniej przypominały się dopiero chwile na podwórzu, gdzie spędzono ich wszystkich i przetrzymano kilka godzin.

W słońcu, dzięki Bogu!

Zastanowił go przede wszystkim ten szept po tłumach bab i robotników, że wojsko sprowadzi „lokatur”. Znaleźli się tacy, którzy gotowi byli przysięgać, że go widzieli w tłumie kulejącego, z opuchłą gębą, jak zachęcał do śpiewu i jak potem strzelał dla pogorszenia sytuacji, której, rzecz oczywista, nic ani pogorszyć, ani naprawić nie mogło w tej chwili ostatecznej. Nie dawał wiary tym gadkom, będąc pewny, że osobnikowi, przez Jura tam w zaułkach objanemu, przez długie miesiące zrastać się będą kości. Zastanowiły go jednak te małoduszne gawędy ludzi zahukanych grozą oraz ta wyobraźnia tłumów podrażniona, która pierwszym impetem szuka zdrajców i stwarza własne potwory moralne, obdarzając ich nadprzyrodzonymi siłami. Padały i tu pierwsze ziarna zasłuchu, te grozą tajemniczości i zła najbardziej rozsiewane, niosące niepokój w życie, wyważające je z bierności, docucające się sił w rzeszach bezwładnych stokroć pewniej niżli wszelkie agitacje.

Tworzyło się tu ponadto coś wiodącego głębiej w tajniki dusz ludzkich – wypotwornienie zła w potęgę, jego demonizacja: rodził się zawsze nowy szatan – na fascynację żywotności bezładnych i sił bezsterowych w duszach lichych; splatała się na nowo ta sieć jego fatalna, która onymi czasy nie tylko wylawiała, ale i tworzyła zdrajców wiary wspólnej: wilów i czarownice.

Wreszcie uczynił się na podwórzu ruch ludzi nowo przybyłych – spokojnych i rzeczowo krzętnych. O tym, co tu zaszło, nikt nie wspominał: nie w tym, zda się, rzecz była, lecz ustawianiu się, szykach, porządku i papierach.

Jako profesora i za pasportem cudzoziemskim, puszczono go natychmiast. Innych ustawiono w szeregi na uprowadzenie. Upewniano go zresztą, że dla formalności jedynie i osób sprawdzenia, bo choć i na sąd z czasem przyjść może, to wobec wszczętej wojny – gdzie! kiedy! Wloką się takie sprawy latami, a zatrzymywać nie ma powodu. Strzelający i prawdopodobny prowodyr nie żyje już; właściwych zaś sprawców wszystkiego, owych pielgrzymów, już uprowadzono i załatwią się tam z nimi osobno.

Objaśniano mu to wszystko bardzo uprzejmie, nie tyle ze względu na jego profesorską godność, ile na stojącej opodal Niny urodę i oczy gniewne.

– Pasport! – zaszczekano przy rasy chwacko ostrogami.

– Czego jeszcze?!

Odrzucił głowę w tył i nasrożył się obowiązkowo.

– Pan myśli, że ja się pana boję?

Koniec końców nie dogadał się z nią: musiała i ona być uprowadzoną. Rozłożono ramiona na znak, że wola była lepsza.

Jakoż w mijaniu i zakrzęcaniu się przy czymś innym zdążono ją troskliwie zapytać, czy głowa bardzo boli.

– Choćby nie wiem jak bolała, to... nie boli. Merci.

Krótki ruch głowy bardzo dobry, rasowy nieomal mimo bandaża: rana widocznie nie była poważna, a to odrętwienie na karku ustąpiło łatwo.

Lecz jej ostatnie, półgębkiem rzucone słowo wywołało cały potok wymowy francuskiej. Dziewczyna odęła się w milczkę, a pod zadzierzystymi z dala spojrzeniami wysuwała czubek języka – po części z niedbałego grymasu, po części zaś dla odświeżenia warg, skoro już na nią tak patrzano. Oczy mrużyły się przy tym mimowolną ciekawością, aczkolwiek wciąż gniewnie; tylko że tym razem na siebie: za tę natrętną muchę uśmiechu na policzkach swoich.

Miotał się opodal w gestach kłótliwych, z panami Bogdanowiczem i Mikulskim wraz posprzeczany, pan o rudym zarostcie i krzywo osadzonych binoklach na twarzy niespokojnej. W dyspucie trzymał wciąż dłonie wykładające blisko twarzy, jak kret. Nazwał się Mojżesz Gurewicz z Wilna. – Dziennikarz – dorzucił, spodziewając się wrażenia.

Choć obchodzono się tu z ludźmi spokojnie, jednak Franka łeb żółty, wygolony na śliską kulę, i cała jego sylweta złośliwego karła drażniły ręce. Jakoż oberwało mu się po tym łbie raz i drugi za odbieganie z miejsca i rojenie się nieustanne. Stał tedy, by się nie narażać, i spluwał sobie z nudów: strzykał plwociną sołdackim szykiem, jak człowiek z fantazją, którego nudzi czekanie.

Tkwiał przy nim chłop w sukmanie: wielki i uroczyście niemy. Szedł był od mostu stawić się w koszarach na wojnę, niósł kuferek na ramieniu i chleba bochen pod pachą. Zamieszany w grozę tamtej chwili, kufra nie wypuścił, chleba nie uronił; a wzięty na podwórze, stanął jak wryty na jednym miejscu, nogi tylko z lekka rozkraczywszy – z niedbałości: że to nie rzecz wojenna, a jensza. I stało murem to chłopisko wielkie, jak biały posąg z swym kufrem na ramieniu i chlebem pod pachą; a choć się ludzie w tym rozgardiaszu i zamęcie wciąż od niego odbijali, nie drgnął krokiem z miejsca. Nazwał się opryskliwie: Jędrzej Niemsta z Kęt.

I tyle, tyle innych postaci szarego na pozór tłumu, nad którym czyniła się oczom, tak niedawno jeszcze pogardliwym, tęcza barw człowieczeństwa.

Przeciągały mu w pamięci wszystkie obrazy wśród tamtego gwaru po salonach i nawiodły na wrażenia tam ostatnie.

„Vitae lampadae traditae” – przypomniały mu się własne słowa.

Wyświeciły mu te lampy drogę przez nędzarne zaułki, przez ciemnotę ludzisk narzuconą, spotkały się trafem bożym z niewygasłymi gdzieś po wschodnich stepach pochodniami duszy i wywiodły społem... w okropność tego, co się tu działo niedawno.

„Możeli klęska tak konieczna rodzić optymizm? – zagadywał siebie – lub przynajmniej otuchę na krzepkie osadzenie jego korzeni w energii człowieczeństwa u gromad? – nawet gdyby korona była spróchniała i bezowocna?”

Odpychając od się w myślach tych energii bezster czy skierowanie czasowe, przypominać jednak musiał:

Jura postać w półkożuchu krępą, pogarbioną: ślusarską – chłopą jakby sękatego o następliwym kroku i czole. Potem ów Jędrzej z Kęt: chłopisko jak świeca proste i, rzekłbyś, mурowane z hartu i uporu. Oraz tamte inne Mazury, probierzem wojny tknięte: energie o korzeniach dębów, roztropne lat tysiącem twardej walki o życie, płomienne nie za stów podmuchem czy komendy bębniem, lecz za własnych sił dopiero zagranem; energie cierpliwością długie, wytrzymaniem twarde i nieskore w ruszeniu, jak soki tej gleby ubogiej: siły mazo-wieckie, chlebne...

W oczach, szukających bezwiednie Komierowskiego, stanęło ponure zapytanie:

„Pókiż tego urzeczenia romantyzmu nad każdym tu twardszym czynem gromadnie przodownym?! Pókiż tego zwalczania hydry siłami kolebek i zmagania centaurów ramionami dziewcząt?! Pókiż to poetów «ramię i wicher» będą porywały niedouków nie w dziedzinę ducha na ogarnianie «ludzkości całych ogromów», lecz do przodownego czynu z małych doktryn ciasnoty? Jestże to naprawdę przeznaczeniem młodości, a nie innych sił w gromadzie?...”

Przerwało mu zadumę ustawianie szeregów ostateczne. Przy tej sposobności ofuknięto go surowo, czemu zwolniony nie wynosi się stąd.

Widok jednej grupy na uprowadzeniu wrył mu się w oczy na zapamiętanie długie.

Przodem w ciemne okrycie otulony, z kapeluszem głęboko naciśniętym na przepaskę czoła, cały w sobie chmurnie zebrany, rzekłbyś, zmięty udręczeniem, szedł Komierowski. Obok w jasnej pelerynie i takimż berecie na głowie – Wandy sylweta prosta. Przy niej to chłopisko wielkie w białej sukmanie z kufrem zielonym na ramieniu i bochenkiem pod pachą.

Za nimi w ślad: Franka katorżnie wygolony, żółty łeb w poskokach nieustannych i Jura krok następliw. Przy nich Nina w swych półtanecznych ruchów zuchowatym drygu, rozkapryszona na policzkach i wargach pod zadzierzystymi z dala spojrzeniami.

A im wszystkim po piętach: panowie Mikulski, Bogdanowicz i Gurewicz w poswarze szwargotnym, jak te koguty bojowe: już pod garścią, a jednak wciąż jeszcze w sprzeczce zarzartej.

Pstrych tłumów wymarsz ustawiony w szyki tam na podwórzu tak oto wykraczał na ulice miasta: z tą gromadką na przedzie. Wycisnęła mu się ona na wyobraźni jak czasu idącego znamie, jak wszystkich burz zarodki – same oto z łona społeczności nascentes. A każdy z tych ludzi zdał mu się mieć w sobie coś z fatalności lawiny ruszonej, coś z fatum czasów, wziętego na się sił żywotnością z plemiennego koła.

Opadła myśl i poszła cierpka w tamte ulice śródmieścia, gdzie w zgiełków kakofonii turkocą dorożki niechlujne, rozklekotane w osiach i kołach, jak ten wóz życia cały. Kołacze się ten wehikuł północnego lazaroństwa pod brudno wesołe aspekty gnuśnego śródmieścia, gdzie zasiadł w spiżu posągowym ten, który światy ruszył, zapatrzony wciąż w symbol ich układu wirującego.

Zaś naprzeciw – przypomniało mu się nagle – Chrystus, co z kościoła wystąpił pod krzyżem ofiary pogięty.

A pod ich stopami miasto w bezruchu zastygłe.

Niżej, po padołach, te ponure zbarbaryzowanie nędzy i malarstwo wśród niej wszelakie.

Jeszcze niżej: te kominny czerwone, niby potworne ryje mrówkojadów cudzoziemskich.

I tą oto drogą – przypominał znów – od tych kominów czerwonych przez zaułki nędzarne, w brudno „eleganckie” aspekty śródmieścia kroczą przemarszem tamte tłumy pędzone – z ową grupą na przedzie, niby z czołem wszczętego pochodu dziejów.

„Rzuć za nimi kamieniem!” – szarpały się w nim uczucia, w instynktach tej ich podziemnej robocie na wskroś sporne, płoszące trwogą rozkładu tam właśnie, gdzie zapalają się dla nich gwiazdy nadziei.

Borykał się odstrychnięciem wewnętrznym od nich swej całej natury i nie dawał rady tej sile.

„Tajemniczość!” – owóz to, co niewoli i jarzmi tłumy, pociąga wyobraźnię, a odpycha myśl. „Tajemnica tłumów!” – cofa się przecucie w odrazie mętów człowieczych.

A na przekór tym niechęciom stanął mu w myślach żywot i dola Komierowskiego; potem tamtej dziewczyny, Wandy, młode czoło myślami czyste i bezdenna prawość jej wejrzenia; wreszcie ten chłop, jak posąg wymowny i prosty w ruchu każdym.

„Sąże to męty?...”

Ujrawszy na brukach jakieś dwie książki w błękitnej oprawie, schylił się: przypominał odruchowo, że prosiła go Wanda o podjęcie ich w razie znalezienia.

W pierwszej chwili chciał te książki z odrazą odrzucić:

unurzane były w skrzepie czerwonym. Poświęcił jednak chustkę i otarł je.

Gdy zjrzał w karty, grymas cierpki przeszedł wraz w śmiech, nerwami targany:

„Poezje!...”

Za wiele miał zbyt ostrych wrażeń dziś: ten szczegół drobny wytrącił go dziwnym sposobem z resztek opanowania siebie.

Jak ślepy snuł się pod parkanem ulicznym, minął wóz strażacki, odwozący trupy, skrzył machinalnie w pierwszą przecnicę i znalazł się nad rzeką.

I tu opadł: na kłody tratwiane u samego brzegu Wisły.

Na halizny mazowieckie spoglądał jak na morze. Wiatr hula górą bezgłośny i pędzi przed sobą obłoki jak fale monotonne, zbite na horyzoncie w chmurę dalekiego ładu. Wsie tu i ówdzie widoczne, niby łodzie rybackie w czas morskiej ciszy, tkwią sennie w tej pustce. Śniegu naokół ani śladu: bura zasłona błotnych roztopów pokryła ziemię. Patrzy na to słońce, dołem oparami przymglone, górą roziskrzeń pełne, o tarczy jaskrawej, zmierzającej ku zenitowi, rzekłbyś, naocznie dla długiego wejrzenia i długiego oddechu człowieczej melancholii.

„Oto żółwia ziemi skorupa naga!” – pomyślał, zapadając w tę właśnie zadumę powolnego oddechu.

„Jak wiek długi pracowała kosa śmierci takich po całej tej ziemi w krąg: co kosa ród podcięła, siekiera bór zniosła, ile tężyzny nażęła kosa, tyle wątłego piękna wyszło w bezcieniu, czym kosa życie, tym siekiera zubożała ziemię, a obie ducha. Spod borów wyjrzały mokradła, spod lasów ruszyły piachy na wszystkich wiatrów szerokie gościńce: miasta, dwory i zaścianki, wyłuskane z puszczy na nagą ziemię o zbyt dalekim horyzoncie, kurczyły się jakby i małały w odrębności swojej wśród tej powietrznej perspektywy bez końca, w kapryśnej swawoli wszystkich wiatrów wschodu, zachodu, północy i południa.”

„Ceres deserta!” – pomyślało mu się dziwnie.

W pamięci stanęło z niezmierną nagle wyrazistością twarde oblicze Komierowskiego i oczy jego zamglone nęką, patrzące jakby odbiciem tego wejrzenia ziemi ogołoconej i jej melancholii.

pallere ligustra,
Exspirare rosas, decrescere lilia vidi,

– ocknęły się w jego uwadze teraz dopiero te słowa, umieszczone na pierwszej karcie książki trzymanej w ręku.

Odszukał podpis tego motta: Klaudian, *O porwaniu Prozerpiny...* „Oto i dziecko Ceres – myślał – wiosna, młodość w podziemia porwana.”

„Pesymizmy! optymizmy!” – zabrzczały mu nagle w uszach jak mucha te słowa na brukach zrodzone, hałaśliwe i turkotać, jak cała tu wielkowiejska krzątność i zabiegliwość każdego o siebie.

A jednak...

Dziwnie zgodną wiarę w inne siły i cuda wypracowują tu czasy same zarówno w cichociściach skupień, jak i żywiołowym nurtowaniu wśród tłumów: wiarę w siły i cuda duszy wspólnej, odnowie podległej, przez ofiarę, odzycie, odmłodzenie; prastarą wiarę misteriów onych, przy których odmładzała się przez wieki najdzielniejsza dusza wspólna, jaka kiedykolwiek była: tam w Grecji – w Eleusis!

Nie sprawuję się tu naprawdę misterium podziemi:

odżyłe – eleuzyjskie?

Oto zagubione dziecko Ceres – P e r s e f o n a, młodością najwrażliwsza, przez moce podziemia porwana, wstępuje w głąb.

Homerową wiosnę kwietną zamieniła tak oto głębsza myśl Hezjoda w panią śmierci i przodownicę cieniów, samą licem jak ten kwiat zmrożony, pełną smętu śmiertelnych rozma-

rzeń, które ją w duszy prawości aż do wrót Hadesu dowiodły – z onych tęsknot wymową całą w omartwiających dłoniach: z granatu jabłkiem i pękiem kłosów, za dwojakiej płodności symbole.

Tak też żyje w rzeźbie greckiej.

Oto Ceres deserta, D e m e t e r szukająca, mater dolorosa starożytnych misteriów – ona żalobnica tułacza, „która ze wszystkich ptaków wielkiej czeready obrała za swe towarzysze i przodownik! – żurawie” – powiada ów Homerycki *Hymn o Demeter*, odnaleziony zaledwie przed stu laty – w Moskwie.

Łaskawa pani plonów zamieniła się w bezdomnego upiora mściwości: w D e m e t e r E r y n n i s z pochodniami w rękach i włosów płowych krzykiem na wicherze.

„Niejedno białe ziarno siewu – głosi *Hymn* – padało daremnie na ziemię bezpłodną. Wyszłe siewu spoczywało w grudzie. Daremnie lemiesz krajał skibę...”, póki dziecko Demeter, wiosna i młodość zarazem, w podziemiach żyje.

Zaś u ostatniego wyznawcy starych bogów, Klaudiana, tak oto zawodzi Demeter szukająca:

„Gdzież ma pierwsza radości i szczęście me ostatnie? – przez ciebie wszak byłam ja płodna! Pókiś ty dla mnie s o b ą j a ś n i a ł a, boginią ja byłam, piękną Junonie równa: dziś ja żałosna i licha – squalida et vilis... O, czci moja, o nadziejo, dumo matki cała:

O decus, o requies, o grata superbia matris!...”

I oto do tych dwojga, macierzy i dziecka, które Hades ogarnął, przyłączony tajemniczy i dwoisty bożyc walki o wiosenne odnowy życia: Dionizos. Ongi najpogodniej – szy, winnic stróż, w obliczu ziemi pustynnej zwilczał sam. „I jak Demeter żurawie, Hera pawie, Wenus gołębie, tak on obrał sobie za towarzyszy – wilki.” Niegdyś zapału i szałów młodych winem pojący, teraz i kobiety swe nawet krwią karmi. I tak się święcić każe po najokrutniej szych obrządkach, jakie stworzyła wiara grecka.

I zstępuje ten Dioniz, zokrutniały bożyc walki o wiosenne odnowy życia, zstępuje na – rozszarpanie...

Jak Persefona w Hades porwana i Demeter mściwością ogarnięta dobieły się ku słońcu; jak pani śmierci i przodownica cieniów kwietną wiosną młodości od nowa się stała i stopy swojej śladem kwiaty miłości siać jęła – o tym wiedzano w Eleusis. Pouczano też, jak Apollo ulitował się wreszcie nad swym bratem młodszym i wysłał Herę, aby z roztarganych członków Dioniza ratowała jeszcze nie obumarłe całkowicie, jeszcze bijące serce i przechowała je – w Hadesie, zanim Demeter nowego ciała i nowego tętna pogody nie stworzy dla tego boskiego serca rzeczy wszelkich, które zwano niegdyś – entuzjazmem! póki przez śmierć, odzicie i odmłodzenie nie powstanie tryumfujący weselem bóg życia samego – J a c h o s!

O przebiegu rzeczy tych tajemnych, ich ducha oraz płomieniu zapalnym...

„...puczano w obrządkach świętych misteriów onych, o których żaden język mówić nie śmie! – głosi *Hymn*. – Błogosławiony ten, który je widział, a dola jego po śmierci nie będzie równą doli innych śmiertelnych...”

Ogień tam płonął niepojęty: zagrzewały się przy nim te piersi nieliczne, o które pod Maratonem i Salaminą rozbił się cały ogrom światów obcych; zapalały się tam te dusze i głowy, które górują ponad wszystkim, co ludzkość po dziś dzień stworzyła. Gdyż, co bezwładny natury ludzkiej zwyciężać i bezruchy dusz pokonywać miało, wolę skupiać w piersiach lub głowach najdzielniejszych – żyć to musiało ciągle w duszy wspólnej, płonąć świętym zniczem wiary w odnowę dusz, w entuzjazm dla życia samego!

I tym była może na dnie swoim tajemnica eleuzyjska.

Wraz z nią zapadło w przepaść czasów i nasze dziś rozumienie najgłębszych tajników woli tych, którzy – w dzisiejszego sumienia postaci – wykraczają z kościoła pod krzyżem swej męki, zapatrzeni jak w monstrancję promienistą w symbol jedynej potęgi odnowy życia i dusz: w ruch.

Przekazały nam ponadto wieki i to jeszcze na rozgrzanie piersi własnych.

Z wnąkliwszego ducha północnych ludów Grecji zstąpił na pogodne bogi Hellady ten smęt mistyczny i wiódł je wskrosz przez tajniki dusz ludzkich. Lecz po dziewięciu dniach misteriów eleuzyjskich zmartwychwstawała ta trójca bogów tym, czym była dla ludu: prostymi bogi siewu, żniwa i winobrania – lecz sprawującymi teraz swój siew i plon – i po duszach ludzkich, ogarniając sobą tak oto cud życia cały!... I nie było po onych dniach dziewięciu ani jednej duszy nie przepehnionej nadzieją, ani jednego serca bez ukochania życia nad miarę wszystkiego. Czyniła się drogą świętą do Aten narodu pielgrzymka wśród bogomolnego szału radości. Nad tłumnym zamętem dionizyjskich upojeń królował niesiony posągiem on sam: odżyły Jachos, bóg uświęcający wesele.

A duszom, wyzwolonym w ufność do siebie, radośnie świętym było wszystko, co tętno życia wybija: i miłość, i namiętność, i nienawiść, i wróżda, i wojna, i zażycie, i rozkosz, i czyn, i pieśń, i lekkość pustoty, i skupienia mądrość; wszystko, ku czemu przyzywa z kolei życia i piersi człowieczych pełnia. Weselnie świętą była nadziejom i śmierć nawet, bo za nią w świętym kole ruchu następować miało – odżycie, odmłodzenie! Bezsilny był tu Hades, chłonaący jednostki śmiertelne: za Jachosa pochodem tłumnym szedł człowiek jeden – wieczny.

I nic to, że naokół jesień bura całuny sinych cieniów rozesała po skałach i grudzie, sypiąc na drogę liście umarłe: nadzieją pijane serca wiązały się – nią właśnie najbardziej! – w jedno żywe serce narodu.

„Wstań i uderz w pieśń, któryś w prochu żył!” – zawodzili przodownic kapłani pod wysokie tony fletni. A bachiczny krzyk ludu we wtór głużył szumy morza bijącego skały.

Schroniło się echo tych wołań tam, gdzie echo zamieszkuje od prawieków – w górach. I dziś jeszcze usłyszysz ucho baczne po winnicach alpejskich i po halach karpaccyckich tenże, co i drzewiej, dziki krzyk żądzy życia i jej tryumfu:

„J a – c h o o! J a – c h o o!... J a c h o s!”

Na halizny mazowieckie spoglądał jak na morze. Wiatr hula górą bezgłośny i pędzi przed sobą obłoki jak fale monotonne, zbite na horyzoncie w chmurę dalekiego ładu. Wsie tu i ówdzie widoczne, niby łodzie rybackie w czas morskiej ciszy, tkwią sennie w tej pustce. Bura zasłona błotnych roztopów pokryła ziemię. Patrzy na to słońce, dołem oparami przymglone, górą roziskrzeń pełne, o tarczy jaskrawej, zmierzającej ku zenitowi, rzekłbyś, naocznie dla długiego wejrzenia i długiego oddechu człowieczej melancholii:

pallere ligustra,
Exspirare rosas, decrescere lilia vidi...

Zaś ręka tajemna, co pod tej omartwicy kirem Wiosnę odmłodzeń w podziemia porywa, jestże to duch zatracenia czy śmierć sama, porywająca nadzieje ostatnie:

Nosse nec aurigam licuit: seu mortifer aestus
Seu mors ipsa fuit?!...

W pamięci jawiła mu się znów przodowna trójka owej gromadki na uprowadzeniu; a między tym jak chmurą skrytym posepnikiem i chłopem białym z chlebem pod pachą – tamtej dziewczyny, Wandy, uroda coraz to dziwniejsza wspomnieniom: opal twarzy i oczu wielkich fiolet w ramie włosów niby kora schnącej krzewiny, a oblicze to całe jakby prześwielone skupieniem przeznaczenia i smętu.

Ujrzał ją w wyobraźni nieżywą na tle murów i wieżyc miasta – am, gdzie Chrystus pod krzyżem występuje z kościoła i gdzie zasiadł w spiżu ten, co ziemię ruszył. Widział ją tam pod kirem pyłu miejskiego, a tym jaśniejszą obliczem cichym, dzierżącą w dłoniach martwych granatu jabłko i kłosów pęk: symbole dwojakiej płodności ziemi.